

• NIEMCOM JEST
coraz gorzej

• WSTRZĄSAJĄCE RAPORTY
DZIECI NIEWOLNICZY

DODATEK
SPECJALNY:
PRZEWODNIK
„POLSKA:
MORZE,
I JEZIORA”



PRZEKROJ

UWAGA! MASZ WYBÓR.
MOŻESZ KUPIĆ
„PRZEKROJ”
za 5,50 zł
z PRZEWODNIKAMI
MIEJSKIMI
BERLIN
i POZNAŃ

Nr 23 / 3128 • 2 czerwca 2005

• cena 14,99 zł z dodatkiem /w tym 7% VAT/

NAJSZTUB pyta

12
Teraz
już mogę
wszystko

odpowiada
JERZY DUDEK

Carlsberg

FAKTY LUDZIE OPINIE

ISSN 0033-2488 23
9 770033 248519
Indeks 371424

Sztuczna inteligencja istnieje



Trzy bogato wyposażone wersje: X, Trend X i Ghia X zapewniają najwyższy komfort. Najsilniejszy w klasie Diesel o mocy 155 KM i maksymalnym momencie obrotowym 400 Nm – niezrównane wrażenia z jazdy. Inteligentny System Bezpieczeństwa IPS – ochronę w każdej sytuacji drogowej. Ford Mondeo X-line teraz także z 4-letnią gwarancją*. www.ford.pl, infolinia: 0 801 50 60 70**

Ford Mondeo X-line. Komfort. Moc. Bezpieczeństwo.



* Program przedłużenia gwarancji Ford Protect – 4 lata / 150 000 km. ** Koszt: 1 jednostka taryfikacyjna TP S.A. za każdą rozpoczętą minutę połączenia. Zużycie paliwa oraz emisja CO₂: Ford Mondeo Duratorq 2.0 TDCi 130 KM, 6-bieg, w wersji Ambiente – 5,8 l/100 km, 154 g/km (wg dyrektywy 1999/100/EC, cykl mieszany).



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o tym, że Sojusz Lewicy Demokratycznej dysponuje niespotykanymi pokładami wiary: wierzy, że Jerzy Szmajdziński (obecnie minister obrony narodowej) ma szansę jako kandydat na prezydenta; wierzy, że nowy i młody szef Wojciech Olejniczak wyciągnie partię z dna; a po wystąpieniu Leszka Millera sojusznicy uwierzyli, że nie mają się czego wstydzić, nawet Krystyna Łybacka. Bo tak daleko nasza otwartość na innowierców nie sięga.

...o profesor Zycie Gilowskiej, która porzuciła Platformę Obywatelską, twierdząc, że to niezbyt lojalne grono chciało ją upokorzyć, kierując do sądu koleżeńskiegoprawy zlecenia synowi ekspertyz prawnych za pieniądze PO. Bo pani profesor jest wygadana i brać jej w obronę nie ma sensu.

Bo pani profesor jest wygadana i nie wierzymy, że to jej ostatnie publiczne wystąpienie. Bo pani profesor jest zbyt wygadana.

...o profesorze Zbigniewie Relidze, który już się oficjalnie zarejestrował w Państwowej Komisji Wyborczej do startu w wyborach prezydenckich. Bo my na pewno też nie leżymy w polu zainteresowań profesora – po prostu nie mamy dla niego serca.

...o tym, że prokuratura umorzyła śledztwo i Roman Giertych może spać spokojnie – Jan Kulczyk nie dowiódł, że był kuszony na Jasnej Górze w sprawie dostarczenia „kwitów” na prezydenta Kwaśniewskiego. Bo chyba nie myślicie, że Roman Giertych może spać spokojnie? Spokojnie to będzie spał dopiero, jak wyłapie wszystkich wrogów.

...o tym, że na fali moralnego oczyszczania politycy różnych stron zaczęli zwalniać rodziny z posad (na przykład senator Henryk Dzido z Samoobrony zwolnił własną żonę ze swego biura, a Renata Beger pozbawiła pracy córkę). Bo czekamy na protesty Ligi Polskich Rodzin – to są przecież oburzające przykłady polityki antyrodzinnej. Nie można jedną ręką przyznawać „becikowego”, a drugą odbierać podstawowego przywileju człowieka władzy do zapewnienia własnej rodzinie wsparcia finansowego.

...o tym, jak się odmienia słowo „prowokacja”. Bo pełną odmianę podaje ostatnio prasa codzienna. Natomiast jeśli chodzi o wyjaśnienie, co znaczą to słowo, zdania są podzielone między różne podmioty wydawnicze. Co też wygląda na prowokację.

CYTAT tygodnia

Nie wiem, skąd to wynika, że aż taka wielka chęć odmłodzenia SLD jest dzisiaj, ale jest takie coś, i odmłodziliśmy się

GRZEGORZ NAPIERAŁSKI (31 lat), nowy sekretarz generalny Sojuszu, o wynikach konwencji SLD, podczas której przewodniczącym partii został Wojciech Olejniczak (31 lat)





Fot. KHIO PARK/KISTONE



Fot. KONRAD-KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM

60

Koreańscy potrafią klonować człowieka

POWIĘKSZENIE

6 WYWROTKARKI

NAJSZTUB PYTA

12 PŁACZ BRAMKARZA
– Teraz myślę, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych – wyznaje Jerzy Dudek

18 KOMENTARZE
PIOTRA NAJSZTUBA
I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA

22 NIE DZWOŃCIE NA POLICJĘ
Komu zależy na słabej policji w Polsce?

26 PREZYDENT MARZENIE
Sztaby wyborcze usiłują dopasować swoich kandydatów do ideału polskiego prezydenta

ZAGRANICA

30 I PO KRZYKU?
Po francuskim „nie” zmieniają się plany na przyszłość Unii, ale jak?

32 NIEMCOM JEST O WIELE GORZEJ
Gospodarka Niemiec nadaje się do generalnego remontu

36 POMARAŃCZOWY ROZWÓD?
Czy ukraińska wojna na górze zagrozi nowo powstałej demokracji?

LUDZIE

38 SOFTWARE TONIE W INSULINIE
Ryszard Krauze zajął się biznesem farmaceutycznym oraz budownictwem i... zaczął biednieć

42 ANTY-PUTIN
Eduard Limonow – pisarz skandalista i lider rosyjskiej

Partii Narodowo-Bolszewickiej. Stalina uważa za mięczaka, a Putina za obrońcę kapitalizmu

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

46 KUPUJ POGŁOSKI,
SPRZEDAWAJ FAKTY
– i będziesz bogaty

TEMAT NUMERU

48 KTO RZĄDZI W WIELKICH
MIASTACH
Są potężni, obracają wielkimi pieniędzmi, rozbudowują miasta i zabawiają poddanych – burmistrzowie to współcześni królowie

OBYCZAJE

52 WOLNA PRASA PO WYROKU
Prasa więzienna robiona przez redaktorów na bardzo długich kontraktach

56 KRAKÓW – WIEDŃ
Przygotuj się z „Przekrojem” do wakacji

NAUKA

60 W FABRYCE KLONÓW
Koreańscy naukowcy chcą, by ich eksperyment miał ludzkie oblicze

PATRZĄC I CZYTAJĄC

64 ŻYWIĄ I BRONIA
Czy wiesz, że złoto na twoją obrączkę wydobycie

38

Dokąd zmierzają Ryszard Krauze?

z kopalni trzyletnie dziecko? A koszulę twojego męża uszyła dziesięciolatka? Na świecie niewolniczo pracuje 250 milionów dzieci

72 KSIĄŻĘ CIEMNOŚCI
H.R. Giger – twórca piekła na ziemi

KRÓTKA ROZMOWA

90 WRACAM ZA MIESIĄC
– mówi Leszek Miller, były premier na uchodźstwie

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

76 FILM „Roboty”
78 MUZYKA Oasis „Don't Believe the Truth”
80 KSIĄŻKI Amos Oz „Opowieść o miłości i mroku”
82 TEATR „2007: Macbeth”

ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
16 TECZKI OSOBOWE I ZALEWAJKA
KAZIMIERZA KUTZA
47 CENNIK
58 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
87 RACZEJ RACZKOWSKI
88 PIÓRO I BIEŃCZYK, KRZYŻÓWKA,
JOLKA

Tak na zdrowy rozsądek:

Czemu tracisz się odsetki wypłacając wcześniej z lokat?

- bo co nagle, to po diable
- żeby uczyć ludzi dyscypliny
- bo banki już tak mają

Na zdrowy rozsądek – tak nie powinno być. Na Otwarte Konto Oszczędnościowe wpłacasz i wypłacasz kiedy chcesz, bez straty odsetek. Zaczynaj oszczędzać w ING Banku Śląskim. Pieniądze, które teraz wpłacisz będą oprocentowane **4,5% + dodatkowe 2%** do 22 lipca. Odwiedź www.ing.pl lub zadzwoń: 0 800 111 222.

słuchaj audycji PRZEKROJOWA SPRAWA

RADIO



W czwartek 2 czerwca
o godzinie 21.00
Tomek Kin zaprasza
na program pod tytułem
„DZIENNIKARSTWO
WIĘZIENNE”

Warszawa 94 FM
Katowice Radio Flash 106.3 FM

ING

ING BANK ŚLĄSKI



WYWROTKARKI

Noszą wyzywająco seksowne stroje, ale w walce potrafią okładać się pięściami, łamać sobie ręce i nabijać sińce. Oto roller derby – sport amerykańskich twardzielek

TEKST RADOMIR WOCIAŁ
ZDJĘCIA NINA BERMAN/REDUX/EAST NEWS

Drużyna pięciu gotowych na wszystko bojowniczek z Brooklyn Bombers wychodzi na mecz z rywalkami z Manhattan Mayhem



BRUTALNA SIŁA
I SZYBKOŚĆ TO NIE
WSZYSTKO, BY WYGRAĆ
MECZ. CZASEM TRZEBA
UMIEĆ PRZECHYTRZYĆ
PRZECIWNIKA.
OBRONA MUSI
BYĆ CZUJNA.
A NAPASTNICZKI SPRYTNE

Brooklyn Bombers
w ścisłym kółku
ustala taktykę gry



Obok: Nowe zawodniczki na hucznej imprezie
otwierającej sezon - poznaje się je po białym stroju

Na samym dole: Ostatnie chwile przed wyjściem na tor



M

ecz zaczyna się od niemrawej przejażdżki. Dwie drużyny wrotkarek ruszają po owalnym torze, nagle zaczyna się przepychanka, pościg, publiczność ożywia się, pierwsze rywalki leżą na torze. Za chwilę podcięte padają kolejne, czasem sędziowie zmuszeni są rozdzielać co bardziej krewkie zawodniczki. Wszystko to odbywa się w mało sportowej oprawie - kabaretki na pasie, miniówki i ostry makijaż.

Tylko ochraniacze i kaski świadczą o tym, że to wciąż sport, w którym łatwo o ostre zranienie i kontuzję. Od dwóch lat odradza się zapomniany sport Ameryki - roller derby, czyli brutalna walka dwóch drużyn na torze wrotkarskim. Tyle że zamiast napakowanych facetów na wrotkach leją się seksowne dziewczyny z wielkich miast odziane w wyzywające stroje. W kwietniu dwie ekipy - zespół Gotham Girls i ich rywal-

ki z Manhattan Mayhem - zainaugurowały w Nowym Jorku rozgrywki ligowe. Takich lig w całych Stanach gra już ponad 20. Tę z Nowego Jorku miejscowa telewizja chce przekształcić w 13-odcinkowy reality show, a tysiące widzów płacą po 10 dolarów za oglądanie morderczego starcia wrotkarek w wyzywających strojach. - Roller derby to twardy, kontaktowy sport, a nie go-go na wrotkach - zarzeka się



wych, a w przerwach zawodów często występują mniej popularne kapele. Sport niezadko schodzi na drugi plan, bo to jego bojowo-seksualna otoczka przyciąga widzów.

A sportowi wrotkarze, ci od jazdy szybkiej, figurowej, zjazdu czy hokeja na wrotkach, nie uznają zawodniczek roller derby za swoich. – Nie wiem, czy można nazwać to mianem sportu, uprawia się to tylko w Ameryce, my nie zajmujemy się wrotkarstwem agresywnym – mówi szef Polskiego Związku Sportów Wrotkarskich (PZSW) Jerzy Andrzej Byk. Roller derby jest uprawiany jedynie w Ameryce, dla Europejczyków, a zwłaszcza Europejek jest chyba zbyt brutalny.

POKAZ DLA FACETÓW

Amerykańskie drużyny reklamują się tak, jakby bardziej chodziło o pokaz dla facetów niż oglądanie drużyn zdobywających punkty. Gotham Girls piszą o sobie: „Nasza drużyna składa się z zadymiarских dziewczyn z największego i najgorszego miasta świata. To specjalistki od doprowadzania tłumu do ekstazy, gotowe są zerwać się ze smyczy i skopać dupę przeciwniczkom. Każda Gotham Girl to połączenie sportsmenki, wystrzałowej dziewczyny, rockandrollowy i dzikuski”.

A kibicom tego sportu kluby radzą, by nie przesadzali z odwagą, bo widzowie siedzący blisko toru często sami padają ofiarą kraks przygnieceniu przez rozpędzone, spocone

zawodniczki. „Dorosłych zapraszamy do pierwszych rzędów – reklamuje się jedna z drużyn – ale tylko odważnych, takich, którzy są gotowi na to, że rozpędzona napastniczka wyładuje im na pełnej prędkości na kolanach”.

WALKA DO KOŃCA

– Na początku uważałam, że ten sport to eksploatacja kobiet, potem przestałam zwracać na to uwagę – twierdzi występująca w Texas Rollergirls Amy Hutchins. Jest gwiazdą w swojej drużynie. Zdeklarowana lesbijka i feministka dawniej grała w softball, kobiecą odmianę baseballu. W nowym sporcie nic innego poza śmiesznym ubiorem jej nie przeszkadza. Amy jest twarda, przyzwyczajona do walki wręcz i gotowa na kontuzje. Wymienia całą litanię możliwych złamań i otłuceń.

– Wiele z nas miało połamane ręce, kontuzje grzbietu, przemieszczenia barku, pęknięte obojczyki i połamane żebra, ja w ubiegłym roku zламаłam trzy palce – opowiada jednej z gazet. – Pewnie, że w czasie gry można dostać piąchą w twarz, ale większość kontuzji to efekt małego doświadczenia – dodaje. Hutchins nic nie jest w stanie zniechęcić do szybkiej jazdy. – Jak łapiesz kontuzję, to cię leczą, a potem – możecie nazywać nas kretynkami – zawsze chcę nam się grać dalej.

RADOMIR WOCIAŁ

51-letni Greg Spencer, trener i twórca zespołu Jersey She Devils (Diablice z Jersey). – Na pewno jest to widowisko z elementami „tylko dla dorosłych”, ale ja bym nie chciał, żeby to zaszło za daleko.

POMYSŁ NA SHOW

– Wszystko to superzabawa i świetny sport do czasu, aż ktoś dostanie wrotką w twarz – mówi jedna z zawodniczek. Hurricane Lilly, która występuje w Rat City Rollergirls, nie boi się niczego. – Ten sport to wszystko, w co wierzę – twarde, mocne kobiety, feminizm i rock and roll.

Roller derby wyglądało na początku jak każdy sport. Wymyślił go w 1935 roku przedsięwzięca z Chicago Leo Seltzer, gdy siedział znudzony na wyścigach wrotkarskich i obserwował, jak zawodnicy ścigają się, raz po raz okrążając niewielki tor. Zauważył, że publiczność ożywia się tylko wtedy, gdy dochodzi do

kraks i kolizji. Pomysł miał prosty – sport, w którym będą same kolizje i zderzenia.

Zawodników podzielił na dwie pięcioosobowe drużyny – z przodu czterech obrońców, z tyłu napastnik, cel – pogoń za przeciwnikiem. Reguły pozostały do dziś. Zawodniczki zaczynają, jadąc razem po torze. Napastniczki przebijają się do przodu, gdy którejś się uda, następuje dwuminutowy pościg i jazda robi się naprawdę szybka. Publiczność szaleje, a przedzierająca się napastniczka, określana po angielsku jammer, okrąża tor, dubluje i przegania przeciwniczki, za każdą zbierając jeden punkt dla drużyny.

Ale rywalki nie ułatwiają jej zadania, próbują ją powalić, czasem faulują – w ruch idą łokcie, wszystko to przy prędkości 40–50 kilometrów na godzinę. Raz po raz dochodzi do przepychanek, czasem bijatyk. Mecz – nie licząc przerw – trwa 2 razy po 15 minut. To dość, by dobra drużyna zdobyła ponad sto punktów.

WROTKARSTWO AGRESYWNE

Dawne roller derby przyciągało po 30–40 tysięcy widzów. Później jednak wrotkarze fight-ry zaczęli tracić popularność.

W latach 70. dobrze prosperujące niegdys ligi jedna po drugiej bankrutowały. Dzisiejsze roller derby, uprawiane niemal wyłącznie przez dziewczyny, to po części rodzaj show przyciągający miłośników nie tyle szybkiej jazdy, ile szybkich i wystrzałowych „girls”.

Niektórym dziewczynom to się podoba. – Zanim trafiłam do roller derby, byłam nieśmiałą dziewczynką, która bała się własnego cienia – mówi w wywiadzie dla „New York Timesa” 29-letnia Leslie Sisson z Gotham Girls, poza torem technik komputerowy. – Teraz czuję się sexy, jestem twardą kobietą i mam szafę pełną miniówek.

W ostatnich latach wrotkarki znalazły wspólny język z miejskimi subkulturami, ich kibice to bywalcy koncertów punkrocko-



Codziennie rano świeże informacje

Spróbuj!



**Polacy oszaleli, a JERZY DUDEK – nie.
Najpopularniejszy polski piłkarz ostatnich dni
trzeźwo mówi o emocjach, alkoholu i polityce**

D Pańskie życie dramatycznie się zmieniło, odkąd został pan bohaterem finału Ligi Mistrzów?

– Będę już zawsze miał w swojej biografii zdobyty Puchar Champions League. I kiedyś zdejmę ten medal z szyi, ale nieprędko. Więc teraz jestem człowiekiem z medalem na szyi.

To było pańskie marzenie sportowe?

– Najpierw moim marzeniem było w ogóle grać w piłkę zawodowo, dostać tę szansę i z tego żyć, być zawodowcem. Później, kiedy udało mi się być zawodowcem, to marzyłem o grze w pierwszej lidze, później w reprezentacji. Trzy lata temu, kiedy miałem szansę grać w ćwierćfinale w Champions League przeciwko Bayernowi Leverkusen – wtedy odpadliśmy – to sobie powiedziałem: „Ciekawe, czy dostanę od losu jeszcze jedną szansę gry w takim finale”, i to się spełniło. Człowiek do końca musi wierzyć w swoje marzenia.

O czym teraz marzy Jerzy Dudek?

– Teraz myślę, że nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Moim marzeniem jest, żeby z reprezentacją Polski jechać na mistrzostwa świata i powalczyć o wejście do ćwierćfinału.

Jak już marzyć, to chyba lepiej o mistrzostwie świata?

– Jak już będziemy w tym ćwierćfinale, to wszystko jest w rękach losu. Wszystko gdzieś u góry jest zapisane.

Jak to losu? Przecież pan jest sportowcem, a sportowcy muszą walczyć o kolejne awanse, walczyć o kolejne miejsca, a nie zdawać się na los.

– Rzeczywiście, każdy z nas trenuje mocno, każdy z nas trenuje z wielką wiarą w to, co robi.

A pan mi tu wyjeżdża z „losem”.

– Bo jedno z drugim gdzieś się będzie wiązać. Kiedy w finale przegrywaliśmy do przerwy 3:0, to ciężko było powie-



PŁACZ BRAMKARZA

nić, że coś się może odmienić. I los zrzucił, że ktoś gdzieś strzelił rzut wolny, karny jakiś się zdarzył, Hitchcock by takiego scenariusza nie wymyślił. Trudno nie wiązać naszej ciężkiej pracy z łutem szczęścia.

Bramkarz chyba szczególnie zależny jest od szczęścia, bo tak naprawdę w sytuacjach krytycznych umiejętności niewiele pomagają.

– Ale szczęściu trzeba pomóc. Także poprzez to, że człowiek maksymalnie musi się poświęcić swojej pasji. To trzeba zrobić, żeby nie mieć później do siebie pretensji o to, że coś się zaniedbało, że coś można było zrobić lepiej. Choć na pewno jakaś tam ręka Wszechmogącego zadziałała przy szale Szewczenki w ostatniej minucie, kiedy uderzył raz głową, a później poprawił. Nie wiem, jak to obroniłem.

Pamięta pan karne z finału? Zamyka pan oczy i je widzi?

– Nie, wtedy byłem w takim transie, że ja nie starałem się wysłać o niczym, pewnie też o zapamiętywaniu. Kiedy obrotnie ostatni strzał, przez ułamek sekundy myślałem sobie: czy to już jest koniec, czy to będzie jeszcze jeden karny, nie jestem pewny. Obroniłem, leciałem na ziemię i w ułamku sekundy zobaczyłem kolegów, którzy już lecieli na mnie. I wtedy już wiedziałem, że to jest koniec. Wybuch radości, wielogóra emocji. Naszej i kibiców. Bo kibice Liverpoolu i ich, nasz, magiczny hymn „Nigdy nie jesteś sam” to rzecz niesamowita. Kiedy po pierwszej połowie schodziliśmy do szatni, na tablicy było 3:0 dla Milanu, a dostaliśmy od naszych kibiców wielki aplauz, wielkie brawa. Aż strach pomyśleć, jak było z innymi kibicami, a oni wszyscy wstali, bili brawo, jakby mówili: Panowie, nie takie rzeczy były do odegrania!

Teraz, kiedy ogląda pan powtórki karnych, to myśli pan, że jeszcze coś można było inaczej, lepiej zrobić?

– Wszyscy mnie pytają o ten „taniec Dudka”, o te ruchy, a ja po prostu byłem w takim transie, że nie starałem się o niczym innym myśleć, tylko o tym, jak przechytrzyć strzelającego, jak spóźnić swoją reakcję do momentu strzału, bo tu trzeba – bramkarz powinien – spóźnić reakcję do maksimum, ale jeszcze mieć szansę skoczyć.

Wie miał pan takich myśli, co to będzie, jak nie obronię? Że mnie rozszarpią?

– Nigdy nie myślałem w ten sposób. Bramkarz przy karnych nie jest narażony na wielką presję, to strzelający jest narażony na dwa razy większą presję. Bramkarz może obronić karny, nie musi, a strzelający musi strzelić. Zresztą zawsze starałem się jeszcze podnieść presję na strzelającego, tylko o to mi chodziło. Bo oprócz tego, że to jest piłka, fajna zabawa, to jeszcze jest to wielkie obciążenie psychiczne, które czasami można wykorzystać.

Miał pan jakieś zajęcia z psychologiem?

– Dla mnie największymi psychologami są moi najbliżsi. Jak dzwonię do mamy czy do swojego przyjaciela i rozmawiam z nimi o tym, co się dzieje wokół mojej osoby, to potrafimy rozmawiać tak, że na koniec rozmowy czuję się nowym człowiekiem. Taki mechanizm dotyczy nie tylko sportowca. Jeżeli górnik bardzo ciężko pracuje na kopalni, wraca do domu i widzi, jaką ma szczęśliwą rodzinę, to jest mu też dużo łatwiej zaakceptować ciężki los.

A pan po tej pierwszej połowie finału miał do siebie pretensje?

– Byłem bardzo zły, byłem tak zły, jak jeszcze nigdy w życiu. Przychodzi do mnie trener i mówi: „Jurek, głowa do góry, głowa do góry!”. Ja mu na to: „Jak głowa do góry?!

JERZY DUDEK
JEST RODOWITYM
ŚLĄZAKIEM, SYNEM
GÓRNIKA, SAM PRZEZ
PEWIEN CZAS
PRACOWAŁ W KOPALNI
POD ZIEMIĄ. DZIĘKI
WSPANIAŁYM
INTERWENCJOM
W FINALE LIGI
MISTRZÓW
DOSZLUSOWAŁ
DO WIELKIEJ DWÓJKI
NASZYCH
BRAMKARSKICH ŚLAW
– JANA
TOMASZEWSKIEGO
I JÓZEFA
MŁYNARCYKA.
URODZIŁ SIĘ 32 LATA
TEMU W RYBNIKU,
ZACZYNAŁ
W CONCORDII
KNURÓW, A PÓTEM
TRAFIŁ DO
PIERWSZOLIGOWEGO
SOKOŁA TYCHY.
SZOKIEM DLA NASZYCH
PIŁKARSKICH
ZNAWCÓW BYŁO
PRZEJŚCIE DUDKA
DO FEYENOORDU
ROTTERDAM
W 1996 ROKU. NIKOMU
NIEZNANY CHŁOPAK
POJAWIŁ SIĘ NA
STADIONIE DE KUIP.
NA POCZĄTKU BYŁ
TYLKO REZERWOWYM,
ZMIENNIKIEM EDA
DE GOEYA,
REPREZENTACYJNEGO
BRAMKARZA HOLANDII.
TRENOWAŁ,
PODPATRYWAŁ I UCZYŁ
SIĘ PRZEZ CAŁY SEZON.
CZĘKAŁ NA SWOJĄ
SZANSĘ. A GDY
WRESZCIE JĄ DOSTAŁ,
STAŁ SIĘ WIELKĄ
GWIAZDĄ LIGI
HOLENDERSKIEJ. LATEM
2001 ROKU PODPISAŁ
KONTRAKT Z LIVERPOOL
FC, GDZIE GRA DO DZIŚ.
DUDEK BUDZI SYMPATIĘ,
NIE UDAJE GWIAZDY,
CHOĆ NIĄ JEST.

Tracimy bramki po takich błędach, byliśmy zupełnie bezradni!”. Powiedział mi: „Nie, jeszcze jest 45 minut, jeszcze nic nie skończone”. Mówię: „Kurczę, 3:0, jak to zrobić po takiej połowie, że już praktycznie nie istnieliśmy, nie potrafiliśmy się niczym przeciwstawić, to co będzie po przerwie, tu trzeba jeszcze grać raczej o uratowanie twarzy”. A trener na to: „Wychodzimy po przerwie, jeżeli uda nam się strzelić w początkowej fazie gola, to kto wie, może druga, może później wpadnie trzecia bramka, jest szansa, pamiętajcie o tym”.

Kiedyście wygrali, po karnych, jak już się pan nacieszył, to współczuł pan Milanowi, bo to oni byli zrozpaczeni?

– Tak, ja już wcześniej powiedziałem, że wolałbym odpaść w początkowej fazie Champions League, niż przejść do finału i przegrać w finale, bo jest to wielka szpila w serce. Wtedy wszyscy oglądają twoją rozpacz, twoją porażkę. Na samym początku nie ma żadnych oczekiwań, człowiek odpada i tyle, a tu jest wielka, wielka rozpacz. Potem, kiedy emocje opadły, podchodziłem do swoich znajomych w Milanie i trochę żartując, mówiłem im: „Słuchajcie, wy dwa lata temu mieliście ten puchar, znacie to uczucie, teraz my to poczujemy, nam ten puchar bardziej potrzebny niż wam, bo Liverpool czekał na to 20 lat”.

Grając, albo po meczu, pamięta pan o tym, że wasza radość i rozpacz pokazywane są na zblizeniach w milionach telewizorów na całym świecie? Ma pan świadomość, że my to wszystko widzimy?

– Jesteśmy na pewno częścią spektaklu. Jakiegoś teatru granego bez scenariusza. Wszyscy dokładnie zdajemy sobie sprawę, że taki mecz jest pokazywany w kilkunastu krajach i ludzie nas obserwują i te zachowania czasami są odgrywane, kontrolowane przez zawodnika. Ale kiedy rozgrywa się już 70. mecz z rzędu, przeżywa własny dramat czy smak własnego zwycięstwa, to już się nie myśli o tym, nie myśli się o kamerach, o publiczności. W czasie meczu trzeba być bardzo zdyscyplinowanym, skoncentrowanym, ale nie na tym, żeby w telewizji korzystnie wyglądać.

Kiedy pan widzi piłkę wlatującą do swojej bramki, to jest wściekłość, rozpacz, bezradność?

– Złość.

Zdarzało się panu popłakać z tej złości?

– Tak, i to była najgorsza rzecz, jaką grając, zrobiłem. I powiedziałem sobie, że już nigdy nie będę tego robił. To było po meczu z Manchesterem, kiedy przegraliśmy u siebie 2:1. Płakałem jak dziecko, pytałem samego siebie i pytałem na głos tego naszego Wszechmogącego, dlaczego to się stało? Bardzo źle to wspominam, bo jako dorosły chłopak nie powinienem się tak zachowywać.

Mężczyźni nie mogą płakać, nawet ze sportowych powodów?

– Chłopaki nie powinni płakać.

Na filmach też pan nie płacze?

– Płacę, płacę, są filmy, na których ślina tak podchodzi wysoko pod gardło, to są emocje. Z tym że iza mi się ciśnię do oka, ale pięść mam zaciśniętą i mówię sobie: „Nie możesz tego zrobić, nie możesz tego zrobić”.

Angielskie gazety czasem pana nie oszczędzają. Nie płacze pan ze złości na te złośliwości?

– Nie, tylko czasami mam tego dosyć, bo nie zasłużyłem na taki los, i myślę: „Muszę się gdzieś przeprowadzić, zrobić coś innego”. Ale następnego dnia uspokajam się. Mówię

sobie: „Jeszcze dasz radę, nie takie rzeczy cię jeszcze w życiu spotkają”.

Ma pan wizję swojej przyszłości?

– Nie, nie mam żadnej wizji, bo ja nie wyobrażam sobie jeszcze siebie w przyszłości.

Co mógłby pan – jako 50-latek – robić?

– Najlepszą funkcją dla mnie byłby dyrektor sportowy w jakimś dobrze poukładanym klubie.

A mógłby pan być kibicem, ryczeć na całe gardło, zagrzewać?

– Do 14. roku życia byłem wiernym kibicem sportowym, kiedy miałem 16 lat, jeździłem na każdy mecz pierwszoligowego zespołu, lepiej nie wypowiadać konkretnej nazwy, później jeździłem na mecze ligowe i patrzyłem już, jak się rozgrzewają bramkarze, jak grają taktycznie. Teraz też mógłbym być dobrym kibicem.

Czyli ma pan głowę całkowicie wypełnioną piłką?

– Od początku do samego końca, piłka dała mi po prostu wszystko, głębszy horyzont, usposobienie, dystans do życia, piłce wszystko jest u mnie podporządkowane.

A jak pan sobie poradzi z na pewno gwałtowną teraz miłością Polaków? Będziemy chcieli pana kochać, i to tak na zabój.

– Miłość niepielęgnowana jest szybko zapomniana. Mamy wiele doświadczeń, sukcesów sportowców, którzy później sukcesów nie odnoszą i muszą być przygotowani na to, że ta miłość będzie powoli gasła. Jeśli chodzi o miłość, to najlepiej byłoby, gdybym teraz skończył karierę.

Jeżeli miałby pan dojść do finału mistrzostw świata, to może lepiej nie kończyć.

– No, to muszę dwa lata pograć.

Myśli pan, że los sportowca, który był wielki, sławny, ale potem o nim zapomniano i który ucieka w alkoholizm, może pana dosięgnąć?

– Przypomina mi się wywiad z panem Kulejem, naszym sławnym bokserem, który mówił, że sportowiec zawsze musi się przygotować na jedno – że jak reflektor nad nim zgaśnie, już nikt na niego nie będzie spoglądał, to już nie będzie to życie tak łatwe. Nie będzie tak, że się wchodzi do biura czy do fryzjera i się mówi: „Dzień dobry, czy ja mogę poza kolejnością” i się to ma. Przy wyłączonych reflektorach słyszy się w odpowiedzi: „Proszę poczekać, poczytać prospekci, bo przyszedł pan X i bardzo mu się spieszy”. Trzeba się będzie zapisywać na listę i czekać w swojej kolejce. Takie po prostu jest życie i do tego musimy się przyzwyczajać.

Nie zostanie więc pan alkoholikiem?

– Alkohol jest w naszym życiu codziennością i wszyscy mamy jakiś do niego pociąg, ale raczej mi alkoholizm nie grozi. Alkohol pobudza nasze umysły, wszyscy patrzmy na mecze, trzymając piwo w ręku, alkohol jest na chrzcinach, „roczku”, weselu. Towarzyszy nam, żeby rozjaśniać umysł, po części zabijać nasze wewnętrzne problemy, kompleksy.

W Liverpoolu możecie po udanym meczu usiąść i napić się wina, wiedząc, że za chwilę jest kolejka ligowa, czy macie zakaz?

– Jeżeli zaraz mamy kolejkę ligową, to jest to zabronione. Poza tym jesteśmy dorosłymi ludźmi, a selekcja na ten szczyt

– Na pewno nie wyrzucam pieniędzy, nie szastam nimi. Ja zresztą tych pieniędzy nigdy jakoś szczególnie nie potrzebowałem

jest szczególnie przeprowadzana i raczej potrafimy wszyscy się sami kontrolować i mieć zawsze trzeźwy umysł.

Jaki będzie pański los w Liverpoolu? Prasa angielska od dawna namawia trenera, żeby z pana zrezygnował.

– Teraz, z tym medalem na szyi, nie wyobrażam sobie, że bym miał ten klub opuścić.

Ma pan takie wrażenie, że tym finałem uratował pan sobie życie w Liverpoolu?

– Tym finałem po prostu spełniłem oczekiwania wielu ludzi w stosunku do mojej osoby i to na pewno w jakiś sposób będzie tam pamiętane. Najważniejsze jest to, co się parę dni temu stało, a to, co będzie za miesiąc, dwa, kiedy wrócę do klubu, jest jakby rzeczą drugoplanową.

Jest pan człowiekiem, można powiedzieć, majętnym, a pochodzi pan równocześnie z robotniczej rodziny, czyli nie wyniósł z domu zamiłowania do luksusu. Jak pan wydaje pieniądze? Jest pan oszczędny czy rozrzutny?

– Na pewno nie wyrzucam pieniędzy, nie szastam nimi. Ja zresztą tych pieniędzy nigdy jakoś szczególnie nie potrzebowałem. Pamiętam, jak dostałem w szkole stypendium, to ono zawsze było gdzieś tam odkładane, starczała mi jedna para spodni, jedna koszula, para skarpet. W dalszym ciągu jest tak samo.

Największa ekstrawagancja, na jaką pan sobie pozwolił?

– Zakup zegarka. Wszyscy mówią o zegarkach – mężczyźni nie towarzyszy w życiu zegarek, dobry samochód i kobieta.

Jaki to jest zegarek?

– To jest zegarek, o którym wszyscy mówią – oczywiście rolex.

A samochód?

– Zaraz, zaraz, czy kiedyś miałem samochód? Po prostu normalne życie mnie podnieca, a nie żadna ekstrawagancja! Nie chcę jechać najdroższym mercedesem po polskiej drodze po to, żeby się na mnie patrzyli. To mi wręcz przeszkadza, niekomfortowo się z tym czuję.

Wzroku ludzi i tak pan nie uniknie, bo wszyscy pana rozpoznają.

– Kiedy na przykład jadę autobusem, nikt mnie nie rozpoznaje, mówią: „Nie, to nie może być Jurak Dudek”.

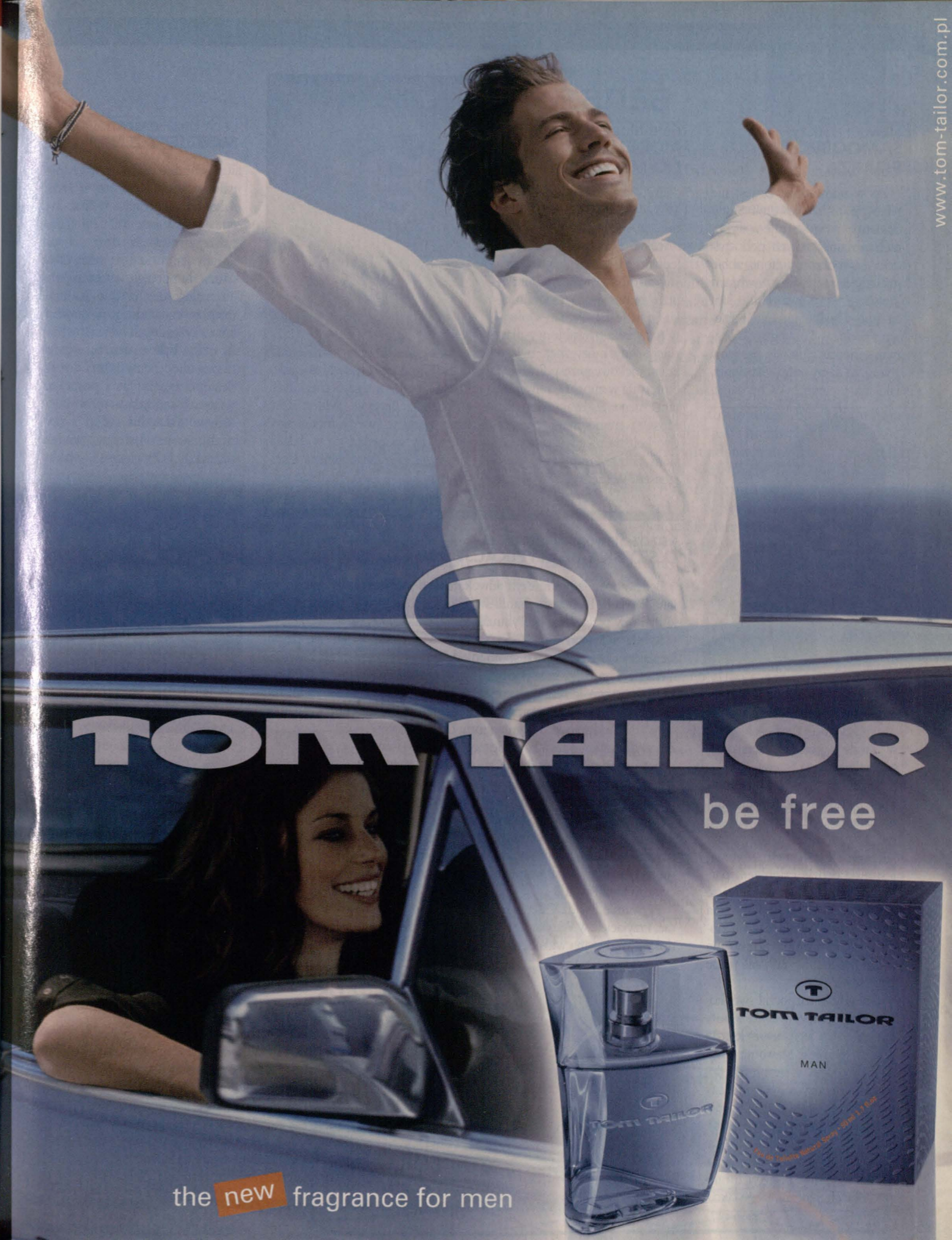
Od dziewięciu lat mieszka pan za granicą. Chodzi pan do polskich konsulatów głosować w wyborach parlamentarnych, prezydenckich?

– Nie. Czasami nawet jestem na wakacjach w Polsce i mam okazję głosować, ale nie robię tego. Choć ostatnio, może to głupio zabrzmie, nie czytam gazet sportowych, a tylko i wyłącznie gazety polityczne, bo dużo więcej się dzieje.

I co pan myśli o naszej polityce?

– Mniej więcej porównuję ją do piłki. Jest identycznie, ludzie źle grający zmieniają kluby, zmieniają barwy po to, żeby mieć jeszcze następną szansę, znowu możliwość porównania się w innym klubie, pod inną nazwą, i to jest identycznie tak samo. Dobry zawodnik zmienia klub na jakiś lepszy, a słaby zmienia na gorszy, żeby mieć szansę gry w świetle jupterów. Identycznie jak w piłce.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 28 MAJA 2005 R.



the new fragrance for men

**Sławomir Shuty:
SAMOOBRONA
PISARZA**

Znów udowadnia, że jest nie tylko pisarzem. Sławomir Shuty deklaruje, że wystartuje w wyborach parlamentarnych pod szyldem Samoobrony. Zrobił sobie już zdjęcia w biało-czerwonym krawacie. – Nowa Huta stoi za mną. Chodzę po bloku i zbieram podpisy. Po targu okolicznym chodzę. Jak się wszyscy zbiorą, to damy radę – zapewnia. Jaki ma program? – Chyba jaki



Fot. PATRYCJA MUSIAŁ/HAIART

problem?! Afera za aferą, tak nie może być! Musimy się bronić! – wykrzykuje. Czyli jak pisał w „Zwale”: „polskasyfinciedziatalakjakpowinno”.

Kazimierz Wójcik z małopolskiej Samoobrony nie ujawnia na razie list wyborczych, ale też nie kojarzy takiego kandydata jak Shuty. – Jeśli spełni kryteria, jest albo będzie członkiem partii, zobowiąże się wykonywać polecenia partyjne, to nie ma sprawy – zapewnia. Stawia dodatkowe warunki: Shuty nie może być karany, no i nie może być byłym TW.

Czy artysta rozpoczął swój kolejny happening w stylu Monty Pythona? Do jego nowej książki „Produkt Polski Sławomir Shuty™” (recenzja na stronie 80) dołączono między innymi krawaty Samoobrony. Wydawca, Korporacja Ha!art, zapowiada też sesje zdjęciowe Shutego jako Małyszka. Niewykluczone więc, że wkrótce pisarz wystartuje także w Turnieju Czterech Skoczni. (KD.)

**Kate Moss:
MODELKI
DO MIKSERÓW!**

Brytyjska topmodelka Kate Moss występuje w teledyskach, ma za sobą próby aktorskie i wokalne. Przede wszystkim jednak 31-letnia gwiazda dostarcza rozrywki czytelnikom prasy bulwarowej – ostatnio jako partnerka Pete’a Doherty’ego, enfant terrible wyspiarskiej sceny muzycznej, byłego lidera rockowego zespołu The Libertines. Z jego inicjatywy Moss zadebiutowała w zupełnie nowej roli – didżeja – podczas tegorocznej edycji tanecznego festiwalu Homelands w Wielkiej Brytanii. Widok Kate Moss za gramofonami potwierdza nowy trend w świecie modelingu. Oto kolejna piękność zstępuje z wybiegu, by sprawdzić się w didżejskim fachu. Za klubową konsolą odważyła się stanąć Helena Christensen. W czerwcu rezydenturę w słynnym klubie Pacha na Ibiza rozpoczyna Jade Jagger, córka lidera The Rolling Stones. (BW)



Fot. REUTERS/FORUM

**Ksiądz Sławomir Piotr Oder:
O SZYBKĄ BEATYFIKACJĘ**

Będzie postulatorem, czyli adwokatem w procesie beatyfikacyjnym Jana Pawła II. Po przesłuchaniu świadków, zebraniu i opracowaniu dokumentów przedstawi je Trybunałowi Beatyfikacyjnemu.

Ksiądz Sławomir Piotr Oder skończy w sierpniu 45 lat, ale dzięki szczupłej sylwetce wygląda sporo młodziej. W Polsce ukończył z wyróżnieniem ekonomikę transportu na Uniwersytecie Gdańskim w 1985 roku, a do wyższego seminarium w Pelplinie wstąpił jeszcze w czasie studiów (1983). Do Rzymu przyjechał 20 lat temu, by kontynuować naukę w Wyższym Papieskim Seminarium Duchownym. Został doktorem prawa kanonicznego na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim. Od czterech lat jest przewodniczącym Trybunału Apelacyjnego Wikariatu Miasta (Rzymu). Oszałamiającej karierze Polaka trudno się dziwić, jeśli to prawda, że jest pupilkiem kardynała Ruiniego, wikariusza Rzymu i przewodniczącego Konferencji Episkopatu Włoch. To Ruini powierzył mu obowiązki postulatora procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II.

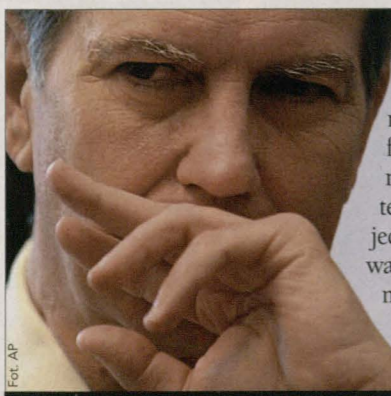
Prywatnie ksiądz Oder lubi jeździć konno i czytać. Przyjaciele w Watykanie nie mogą się nachwalić limoncelli jego produkcji (tradycyjna włoska nalewka cytrynowa na spirytusie). (KOW)



Fot. KS. ROMAN WALCZAK/KA

**Walter Jones:
FRYTKI JUŻ OK**

Republikański kongresman z Karoliny Północnej Walter Jones dokonał politycznej wolty. Polityk zasłynął w marcu 2003 roku. Oburzony francuskim oporem wobec inwazji na Irak domagał się usunięcia z menu restauracji obsługujących członków amerykańskiego Kongresu frytek uważanych w USA za tradycyjną francuską potrawę. Dziś Jones jest jednym z najbardziej zagorzałych krytyków ataku na Irak. Korytarz prowadzący do jego biura zdobią zdjęcia licznych polityków i urzędników zamieszanych w fabrykowanie nieprawdziwych danych na temat irackiej broni masowego rażenia. Pytany o swoją antyfrancuską akcję sprzed dwóch lat mówi: – Chciałbym, żeby tego nigdy nie było. (QBA)



Fot. AP

**Lech Budkiewicz:
MOC JEST Z NIM**

„Gwiezdne wojny” podbiły nie tylko polskie kina, ale i ulice. A konkretnie jedną – w Grabowcu pod Toruniem. Kilka dni temu piaszczysty kawałek drogi uchwałą rady gminy stał się ulicą Obi-Wana Kenobiego, rycerza Jedi. To zasługa Lecha Budkiewicza, miejscowego radnego i zarazem fana „Gwiezdných wojen”. – Kiedy trzeba było znaleźć nazwę dla naszej ulicy, pomyślałem, że tak dostojna i pozytywna postać to najlepszy kandydat – mówi Budkiewicz. Ponieważ żaden z radnych nie jest partyjny, pomysł przeszedł jednogłośnie. – Jakby

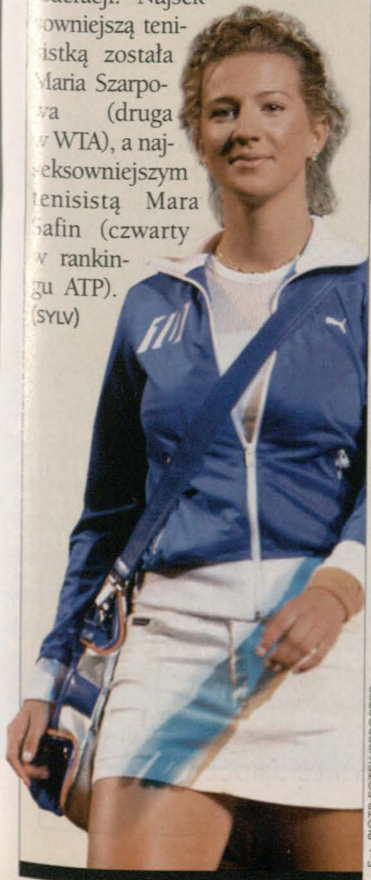


Fot. JACEK SZWARZ/REPORTER

były partie, każdy by pchał swojego kandydata. Zakładam się, że LPR wołałby ulicę Macieja Giertycha – dodaje Budkiewicz. Protestowała tylko jedna osoba. – To moja sąsiadka, bo pomyślała, że to na cześć założyciela hipermarketu Obi. Ale już jej wytłumaczyłem i nazwę zaakceptowała – opowiada radny. Na nazwie ulicy fascynacja Lecha Budkiewicza „Gwiezdnymi wojnami” się nie kończy. Jego pies wabi się Leia. Za to dzieci mają imiona rdzennie polskie: Michał Gniewomir i Maria Ligia. (JULL)

**Marta Domachowska:
BO W NIEJ JEST SEKS**

W ciągu dwóch lat 19-letnia Marta Domachowska przeskoczyła z trzeciej setki rankingu tenisistek WTA na miejsce 52. W ostatnim rankingu brytyjskiego magazynu tenisowego „Ace” na najseksowniejszą tenisistkę świata w roku 2005 pojawiła się natomiast na wysokim dziewiątym miejscu. Nigdy nie udało jej się wprawdzie wygrać turnieju tenisowego, ale jak wiadomo, tenisistki nie tylko muszą grać, ale i wyglądać. Turniej, w którym Marta ostatnio wystąpiła, czyli wielkoszlemowy Roland Garros, zakończyła na drugiej rundzie. Druga runda jest przekleństwem Domachowskiej, która wielokrotnie już kończyła grę w turniejach na tym etapie i nigdy nie udało jej się przejść dalej. Mimo to powoli i, jak widać, skutecznie pnie się w rankingach oraz kolekcjonuje wygrane z kortów – w tym roku już ponad 240 tysięcy złotych. Awans Marty w rankingu „Ace” jest o tyle ważny, że graze z jego pierwszej dziesiątki są zazwyczaj też na szczycie notowań federacji. Najseksowniejszą tenisistką została Maria Szarpo-wa (druga w WTA), a najseksowniejszym tenisistą Mara Safin (czwarty w rankingu ATP). (SYLV)



Fot. PIOTR FOTEK/REPORTER

Dziejowa szansa

Dla polityków czas przedwyborczy jest jak kwitnienie kasztanów dla maturzystów, choć społeczeństwu daleko do kompetencji komisji egzaminacyjnej. To wielki strach przed małym poparciem wyborców, a nie egzamin przed nimi. Bo władza jest jak miód dla łakomych niedźwiedzi. Jak dotąd (w III RP) nasi politycy nie byli w stanie sprostać obietnicom wyborczym. I nie o nie szło, zwłaszcza u nas, gdzie utrwaliło się mniemanie, że ze społeczeństwem polskim nie da się niczego porządnego zrobić. Nie sięgając w czasy zbyt odległe: Piłsudski, Gomułka, Gierek i Wałęsa pod koniec życia potwierdzali tę smutną prawdę. I vice versa – społeczeństwo nigdy nie było z nich zadowolone. Z czasem niektórych się idealizuje, jak Piłsudskiego czy Gierka, ale to skutek naturalnej właściwości ludzkiej pamięci, w której zło umyka szybciej niż dobro. Piłsudski miał szczęście, bo udało mu się zrealizować mit niepodległościowy. Zaś wszystkie jego wady i fatalne dokonania stały się mało istotne: zamach majowy, likwidacja instytucji demokratycznych, Brześć, Berezka Kartuska, BBWR, pułkownikowska klika, antysemityzm, bieda czy zacofanie cywilizacyjne to też jego dzieło. Był charyzmatyczny i stało za nim wojsko, ale ukształtowany w zaborze rosyjskim miał demokrację w Polsce za niestosowność, bo jej nie rozumiał. Ponadto wschodnia granica nie była limitowana międzynarodowymi uchwałami, dlatego go nęciła. Dlatego prowadził na niej wojny. Granicę zachodnią zostawił łaskawemu losowi.

Potem był zamach wojskowy, który kosztował 379 istnień ludzkich, później twierdza brzeska, w której osadził przywódców opozycji parlamentarnej i skazał wyrokami. A w 1934 roku w Berezie Kartuskiej uruchomiono obóz dla więźniów

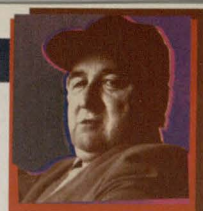
politycznych. Ten polski półfaszizm realizowany był w imię sanacji moralnej społeczeństwa.

Dziś najdalej idącym hasłem wyborczym jest rewolucyjna odnowa moralna lansowana pod patronatem i w kulcie Józefa Piłsudskiego. Ponieważ niepodległość mamy, wolność także mamy, wojna nam nie grozi, myślę zatem, że idzie o nawiązanie do tradycji piłsudczykowskich w sprawach wewnętrznych – jego pozamachowych form realizacji i konsekwencji politycznych. Oczywiście mechaniczne przenoszenie tamtych doświadczeń jest absurdalne, bo kalkomania w historii jest niemożliwa, ale idzie o sprawy fundamentalne dla demokracji. „Nie we wszystkich dziedzinach moralności można zmuszać – powiada Lech Kaczyński w wywiadzie w „Przekroju”. – Natomiast tam, gdzie chodzi o zapobieganie przemocy, korupcji i ochronę bezbronnych, trzeba przynajmniej próbować”. A pytany o pozytywną rolę wojska mówi: „Jestem bardzo umiarkowany, jeżeli chodzi o wewnętrzną rolę armii. Konieczna jest tutaj olbrzymia powściągliwość. Armia może być użyta na potrzeby wewnętrzne tylko i wyłącznie w ekstremalnych warunkach. Nie przewiduję raczej takich sytuacji”.

Cóż, jeśli nie przewiduje się „takich sytuacji”, to raczej nie powinno się o nich mówić, a skoro się mówi, to raczej domyślać się należy, że pragnienie panowania na miarę marszałka Piłsudskiego zaprzęta głowę i jest nie do ukrycia. Zwłaszcza jeśli chce się realizować rewolucję moralną i uszczęśliwiać Polaków na siłę. „Trzeba przynajmniej próbować”.

Rozumiem – cóż to za interes być marszałkiem bez wojska.

www.przekroj.pl/kutz



Fot. BOGDAN KRZEL



Fot. MAREK RACZKOWSKI



Oleksy w Sekwanie

Wiadomo, że SLD nie ma u nas lekko, że jego idee są najpierw wypaczane, a później wyśmiewane przez złośliwych publicystów, a z owoców wiekopomnych osiągnięć tej partii, tylko przez niechęć społeczną, korzysta tylko ona itd., itd. Polacy przestali SLD kochać i myślę, że nawet Józef Oleksy, Polak, bał się już rano spojrzeć w lustro, bo a nuż „Polak” zwyciężyłby w nim z „Oleksym” i od rana by się na temat swojej partii przykrych rzeczy nasłuchał. Ale oto decydujący cios nadszedł z nieoczekiwanej strony! To potomkowie Napoleona urządzili ostateczne Waterloo Sojuszowi, odrzucając eurokonstytucję! I w ten sposób czyniąc właściwie nieistotnym polskie referendum w tej sprawie. A przecież to kampania referendalna w sprawie przyjęcia tego dokumentu miała na powrót pokazać nam odpowiedzialne, mądre oblicze SLD. Uwolnione od Sobotki, Pęczaka, Millera, Łapińskiego, Rywina etc., etc., bo nic o nich nie ma w eurokonstytucji, a o niej mieli dyskutować politycy z narodem. To na niej mieli się skupić działacze Sojuszu, o niej mówili jako o najważniejszej sprawie w tym roku dwóch wyborów, parlamentarnych i prezydenckich. Teraz nic z tego.

PIOTR NAJSZTUB

Wdzięczni Francuzom

Miał być meteoryt tunguski, upadek Atlantydy, śmierć dinozaurów i Armageddon w jednym. Nic z tego. Dinozaur odszedł tylko jeden, ale nawet Jacques Chirac nie zaniósł się szlochaniem po europejskiej konstytucji. Zamiast żałoby pożegnał ją wrzask uradowanych tłumów na placu Bastylli i ciche westchnienie ulgi kilkudziesięciu milionów Europejczyków. Powiedzmy to sobie wprost: w duchu jesteśmy wdzięczni Francuzom, że zwolnili nas z obowiązku zapoznawania się z 482-stronicowym dowodem wyższości polityków nad obywatelami, brukselskiej technokracji nad żywą demokracją, utopijnych idei nad trudnymi realiami oraz politycznej poprawności nad prawdami historycznymi i zdrowym rozsądkiem. Europa potrzebuje nowego traktatu, ale zasługuje na coś lepszego. Konsekwencje niedzielного referendum wykraczają jednak daleko poza odrzucenie ułomnej konstytucji. Prawdziwym przełomem jest fakt, że 70 procent Francuzów wzięło losy Unii w swoje ręce i podjęło decyzję ponad głowami polityków. O motywy Francuzów i samą decyzję można się spierać, ale jedno nie ulega wątpliwości – jeszcze nigdy mieszkańcy Europy w takim stopniu i z taką determinacją nie wpłynęli na jej przyszłość. Wygwizdując Chiraca, pośrednio odrzucili elitarno-biurokratyczny styl rządzenia Unią, który uosabiał prezydent Francji. Co to zmienia? Europa przestała być zamkniętym boiskiem biurokratów i europejskich przywódców. Politycy stracili zakłęcie, które pozwalało im mamić wyborców europejskimi wizjami, szantażować ich dobrem przyszłych pokoleń i uzurpować sobie prawa do dyktowania Europie jej wartości i celów. Głos obywateli Unii będzie odtąd o wiele donośniejszy, i to niezależnie od tego, czy ktoś będzie się ich akurat pytał o zdanie. Instytucjonalna integracja na pewno się spowolni, ale wspólna Europa ma szansę stać się bardziej demokratyczna, a dzięki temu bardziej rzeczywista i bliższa obywatelom. A przecież o to tak naprawdę chodzi.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

MACIEJOWSKI

Po pierwsze człowi



PO DRUGIE NIE DOSTANIECIE
NAWET ZŁAMANEGO GŁOSU.

© MARCIN MACIEJOWSKI

2 LATA ROZMÓW ZA DARMO W TWOJEJ FIRMIE



**NOKIA
6020**

od 1 PLN NETTO
(1,22 PLN Z VAT)

WYSTARCZY, ŻE AKTYWUJESZ JEDNĄ Z TARYF ERA KOMFORT BIZNES, A BĘDZIESZ MÓGŁ ROZMAWIAĆ ZE SWOIMI PRACOWNIKAMI ZA DARMO, OD 3 DO 24 MIESIĘCY! WYBIERZ ODPOWIADAJĄCĄ CI TARYFĘ. ABONAMENT JUŻ OD 25 PLN (30,50 PLN Z VAT). CZY SŁYSZAŁEŚ O LEPSZEJ OFERCIE DLA DYNAMICZNIE ROZWIJAJĄCYCH SIĘ FIRM? NIE ZWLEKAJ, CZEKAMY NA CIEBIE DO 15 CZERWCA.

OFERTA PRZEZNACZONA DLA FIRM POSIADAJĄCYCH CO NAJMNIEJ 3 KARTY SIM.



BIZNES
MOŻESZ WIĘCEJ

SPRAWDŹ WWW.ERA.PL LUB DZWOŃ 0 801 602 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE. SZCZEGÓŁY WARUNKÓW OFERTY PROMOCYJNEJ W REGULAMINIE DOSTĘPNYM W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.

Planeta po polsku

Polacy najwyraźniej wyspecjalizowali się w odnajdywaniu odległych planet. Pierwszą z nich, leżącą poza Układem Słonecznym, odkrył Aleksander Wolszczan. Niedawno kolejną znalazł zespół astronomów z Uniwersytetu Warszawskiego.

Odkryty glob to olbrzymia gazowa kula bez stałej, skalistej powierzchni – podobna do naszego Jowisza, tyle że blisko trzy razy od niego większa. Planeta krąży wokół gwiazdy oddalonej od Ziemi o mniej więcej 15 tysięcy lat świetlnych, w kierunku środka Drogi Mlecznej.

Znaleziono ją dzięki zjawisku mikrosoczewkowania grawitacyjnego. Polega ono na odchyleniu biegu promieni światła przez niewielkie obiekty, na przykład



FOT. OPTICAL GRAVITATIONAL LENSING EXPERIMENT

Uwierzyć nam, że w miejscu oznaczonym krzyżykiem znajduje odkrytą przez Polaków planetę

gwiazdy. Jeśli zdarzy się, że między odległą gwiazdą a Ziemią znajdzie się inna gwiazda, jasność tej pierwszej gwałtownie wzrasta. Wygląda to tak, jakbyśmy umieścili na trasie promieni światła soczewkę, tyle że zamiast szkła działa tu pole grawitacyjne. Jeśli wokół gwiazdy-soczewki krąży planeta, zmiany biegu światła będą miały charakterystyczny przebieg – dzięki jego analizie możemy dowiedzieć się sporo o odległym układzie planetarnym.

Na razie stwierdzono obecność dużej i ciężkiej planety, jednak dzięki tej metodzie można znaleźć również mniejsze obiekty, nawet tak niewielkie jak nasza Ziemia. (PSTAN)

UCIEKAJĄCE SIOSTRY



FOT. SEBASTYAN WOLNY/AGENCE EAST NEWS

Z 280 tysięcy zarejestrowanych w Polsce pielęgniarek za granicę wyjechało już 80 tysięcy

O POLSKIE PIELĘGNIARKI WALCZY EUROPA Z AMERYKĄ. WKRÓTCE PANIE W BIAŁYCH CZEPKACH STANĄ SIĘ W POLSCE TOWAREM REGLAMENTO-WANYM JAK KIEDYŚ CUKIER

Pielęgniarki znikają najpierw z wielkich aglomeracji, takich jak Warszawa, Łódź, Kraków czy Śląsk. Przewodnicząca Warszawskiej Izby Pielęgniarskiej zaproponowała już, by każdej pielę-

gniarence, która przeniesie się do Warszawy, płacić dodatkowo 500 zł. Pomysł upadł, ale problem został. – Od lat alarmowaliśmy kolejnych ministrów i premierów, że w 2005 roku pielęgniarek zabraknie – przypomina Ewa Przesławska z Warszawskiej Izby Pielęgniarskiej. Po likwidacji średnich szkół medycznych i pomaturalnych pielęgniarki kształcą się tylko w szkołach wyższych. Ministerstwo sądziło, że gdy zwiększy się limity przyjęć na studia pielęgniarskie, problem spadającej liczby pielęgniarek sam się rozwiąże. Tymczasem, jak

twierdzi Maria Marczak z Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych większość studentek to czynne pielęgniarki, które podnoszą swoje kwalifikacje. – A koleżanki spoza służby zdrowia, które rozpoczynają w Polsce – mówi Maria Marczak.

Prawdziwa ucieczka pielęgniarek rozpoczęła się rok temu, gdy po wejściu do Unii otworzył się dla nich rynek pracy. Tylko z okręgu warszawskiego w ciągu roku wyjechało dwa tysiące pielęgniarek, czyli co 10. w regionie.

– Ministerstwo twierdzi, że luki wypełnią koleżanki ze Wschodu – mówi Marczak. – Ale one Polskę traktują jako tranzyt, a nie kraj docelowy.

Z 280 tysięcy zarejestrowanych pielęgniarek w kraju pracuje już tylko 200 tysięcy. A będzie jeszcze mniej, bo head-hunterzy reprezentujący firmy z Niemiec, Włoch i USA walczą o polskie pielęgniarki. Organizują dla nich kursy językowe w szpitalach i oferują co najmniej czterokrotnie wyższe zarobki niż w Polsce.

Czesi ochronili się przed ucieczką pielęgniarek, dając im w lutym wysokie podwyżki. W Polsce nie ma żadnych pomysłów na zatrzymanie pielęgniarek.

CEZARY ŁAZAREWICZ

ŁOWY BEZ GŁOWY

KRAJOWA RADA RADIOFONII I TELEWIZJI CHCE WYDAWANIA KONCESJI DLA INTERNETOWYCH STACJI RADIOWYCH

Rada zapisała swe wygórowane chęci w liczącej około 200 stron „Strategii państwa polskiego w dziedzinie mediów elektronicznych na lata 2005–2020”. KRRiT zrównuje w niej radia internetowe z tradycyjnymi. Te pierwsze też musiałyby starać się o koncesję i zgodę na nadawanie reklam. Rafał Rasławski, rzecznik Rady, nie potrafił jednak dokładnie wyjaśnić, po co przyznawać koncesje na nadawanie w Internecie, skoro nie trzeba w nim rozdzielać częstotliwości.



Nad sensownością „Strategii” będą się jeszcze zastanawiać rząd i ewentualnie Sejm.

Pomysł, gdyby go przyjęto, postawiłby w kłopotliwej sytuacji na przykład rozgłośnie studenckie, które często nadają informacje o konferencjach naukowych, nowych książkach czy muzyce. Nie pobierają opłat ani same na tym nie zarabiają.

– Kontrolowanie i regulowanie czegoś, co z zasady nie ma granic, jest poronionym pomysłem – ocenia Dawid Koperski, założyciel internetowego Radia Zum. By zacząć skutecznie kontrolować Internet, należałoby utworzyć setki nowych etatów i przekazać miliony złotych z kasy państwa. Być może o to chodzi Radzie. Bez względu na intencje każde pieniądze wydane na realizację pomysłu KRRiT będą wyrzucone w błoto. – Wystarczy nadawać z zagranicznego serwera i nasi urzędnicy nie będą mogli zrobić – mówi Dawid Koperski. (MUSZ)

Internetowe rozgłośnie radiowe raczej uciekną z polskich serwerów, niż pozwolą sobie nakładać koncesje

GWIAZDY SPADAJĄ

JOLANTA KWAŚNIEWSKA USIĄDZIE 25 CZERWCA PRZED KOMISJĄ ŚLEDZĄ DO SPRAW ORLENU. CZY UDA SIĘ JEJ ZATRZYMAĆ UCIEKAJĄCĄ OD KOMISJI WIDOWNIĘ?

Z biegiem czasu i posiedzeń komisji śledczych – od stycznia 2003 roku odbyło się ich łącznie 183 – oglądalność transmisji systematycznie spada. Oczywiście najchętniej oglądano rywińską komisję – podczas jej obrad przed telewizorami zasiadało średnio 638 tysięcy widzów (dane za AGB Polska). Ale już obrady komisji do spraw Orlenu i do spraw prywatyzacji PZU cieszą się znacznie mniejszą popularnością – ogląda je 548 tysięcy widzów (dane za jedno posiedzenie obu komisji łącznie). – Niewątpliwie Rywińskie było najbardziej medialne. Był klarowny wątek centralny, czyli spisek grupy trzymającej władzę. Sprawy następnych komisji są na tyle skomplikowane, że obie mylą się widzom – wyjaśnia medioznawca Marek Mrozowski.

Absolutnym hitem był występ Jolanty Kwaśniewskiej. Jego przesłuchanie oglądało blisko dwa miliony widzów. Kolejne miejsca najchętniej ogląda-

nych świadków zajmują: Robert Kwiatkowski, Jan Kulczyk i Adam Michnik. Do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych świadków weszły tylko dwie panie – Aleksandra Jakubowska i Helena Łuczywo z ponad 1,2 miliona widzów.

W tym rankingu komisja do spraw PZU wypadła blado. Największą oglądalność spośród jej świadków miała Alicja Komasińska, była wiceminister skarbu, której prze-

sluchanie obejrzało ledwie pół miliona widzów.

– Wątpię, aby Kwaśniewska przyciągnęła tłumy. Ona w sprawie jest raczej aktorem drugoplanowym. Sam jej występ potrzebuje wykreowania, aby wzbudzić zainteresowanie – stwierdza Mrozowski. – Jedynie, co mogłoby rzeczywiście zwiększyć oglądalność, to wykreowanie jakiejś afery w życiu, ale tylko prywatnym, Kwaśniewskiej. (SYLU)



Największą oglądalnością cieszyła się komisja do spraw Rywińskiego

FOT. MACIEJ FIGURSKI/FORUM

EGZEKUCJA W SEJMIE?

SEJM MA WYPŁACIĆ SZEŚĆ MILIONÓW ODSZKODOWANIA W PIERWSZYM PRAWOMOCNYM WYROKU DOTYCZĄCYM „USTAWY 203”

Polski parlament musi przełacić na konto powiatowego szpitala w Inowrocławiu sześć milionów złotych – sądowy wyrok w tej sprawie właśnie się uprawomocnił, a Sejm nie odwoływał się od wyroku.

Uchwalona w poprzedniej kadencji „ustawa 203” nakazywała podwyższenie zarobków pielęgniarek o 203 złote. Posłowie nie wskazali, skąd wziąć te pieniądze, podwyżki musiały więc wypłacić same szpitale. Sytuacja zmieniła się w 2003 roku, gdy Sąd Najwyższy orzekł, że Sejm – jako winny prawnego bubla – może być pozwany o odszkodowanie.

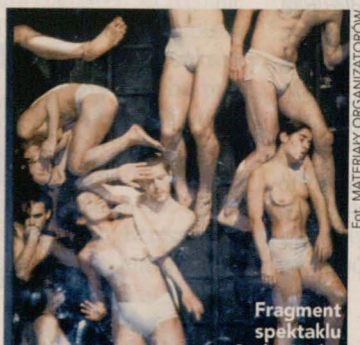
Szpital skorzystał z podpowiedzi – w tej chwili tylko powiatowe szpitale z województwa lubelskiego sądzą się o 45 milionów złotych. Budżet Sejmu wynosi 353 miliony złotych.

Dyrektor inowrocławskiego szpitala Eligiusz Papalas wysłał już Kancelarii Sejmu wezwanie do zapłaty. – Sejm ma dwa tygodnie na odpowiedź. Po tym czasie wystąpię do sądu o egzekucję należności, czyli uruchomimy komornika – zapowiada. W Kancelarii nie udało się nam potwierdzić odbioru wezwania z Inowrocławia. – Gdyby Sejm, jako władza ustawodawcza, musiał wypłacić odszkodowanie ze swojego budżetu, doszłoby do zmiany ustroju w Polsce – skomentował sprawę wicemarszałek Sejmu Tomasz Nałęcz.

Komornik na ewentualnej egzekucji sześciu milionów zarobi 75 tysięcy złotych. Jak usztycheliśmy w Krajowej Radzie Komorniczej, wyegzekwowanie tych pieniędzy nie jest trudne – wystarczy zająć pieniądze na rachunku bankowym Sejmu. (RAF)

TANIEC UMYSŁU

Szósty Międzynarodowy Festiwal Tańca Współczesnego „ciało umysł/body mind” rozpoczyna się w Warszawie 4 czerwca występem Sasha Waltz & Guests. Improwizacje, z których składa się spektakl 42-letniej gwiazdy z Niemiec, łączy motyw nagiego ciała: przedmiotu handlu, terenu eksperymentów, spełniania marzeń o doskonałości. Z ciał tancerzy Waltz komponuje obrazy przypominające „Grupę Laokoona” czy „Sąd Ostateczny” Memlinga. Obok niej wystąpią między innymi: Good Girl Killer, Jérôme Bel, Rafał Dziemidok, 7273, Boyzie Cekwana i Krzysztof Leon Dziemaszkiewicz. Impreza potrwa do 11 czerwca. (SZY)



Fragment spektaklu

FOT. MATERIAŁY ORGANIZATORÓW

WYJĄTKOWE PREZENT DLA CZYTELNIKÓW „PRZEKROJU ODPOWIEDZ NA PYTANIE I WYGRA

Kto jest reżyserem filmu „Ocean’s Twelve: Dogrywka”?
A) Oliver Stone,
B) Steven Soderbergh,
C) Ridley Scott?



PŁYTY DVD, VHS i KOSZULKI



Pierwsze 10 osób, które w dniach od 2 do 8 czerwca 2005 roku prześlą SMS-a z prawidłową odpowiedzią, otrzymają płytę DVD i kasety VHS z filmem „Ocean’s Twelve: Dogrywka” oraz filmową koszulkę. Aby otrzymać nagrodę, wyslij SMS-a z prawidłową odpowiedzią pod numer 72702 w dniach od 2 do 8 czerwca 2005 roku. Odpowiedź poprzedź słowem PRK (np. PRK.A).

Koszt wysłania SMS-a 2 zł netto (2,44 zł z VAT). Szczegółowy regulamin konkursu dostępny jest w siedzibie Edipresse Polska SA, ul. Wileńska 19, 00-480 Warszawa

GRZEGORZ RZECZKOWSKI
JULIUSZ CWIELUCH

NIE DZWOŃCIE NA POLICJĘ

Femeryt Mieczysław Romel, który jeszcze kilka miesięcy temu był komendantem radomskiej policji, nie owija w bawełnę: – Po tych wszystkich aferach wstyd się w ogóle przyznać, że pracowałem w policji. To nawet nie jest burdel, bo w burdelu jest porządek. To bagno.

Jednak nie o wstyd tutaj chodzi. Polska policja Anno Domini 2005 to stutysięczna armia, która od siedmiu lat nie może znaleźć zabójcy swojego byłego komendanta głównego. Kolejnego byłego komendanta ogląda na ławie oskarżonych. A generała Kluka, który uchodził za szeryfa co się zowie, aresztowano. Podejrzewany jest o wzięcie gigantycznej łapówki od mafii paliwowej. Czarę goryczy przelało łódzkie Centralne Biuro Śledcze, które w świetle kamer przechwytywało kilogramy narkotyków. Ale w policyjnym magazynie doszło do cudownej przemiany heroiny w proszek do pieczenia.

Do tego dochodzi jeszcze historia z Wrocławia. Dziewięciu policjantów przez dwa lata przesłuchiwało młodociane źródło informacji tak dogłębnie, że teraz grożą im procesy o molestowanie seksualne. Na internetowym forum policji szeroko dyskutowano ten przypadek. Prostacko podsumował go jeden z mundurowych: „Jak suka daje, to pies bierze”.

Ostatnia podpucha, na którą dała się nabrać „Gazeta Wyborcza”, daje sporo do myślenia. Komendant wojewódzki nadaje temat dziennikarzom, bo – jak teraz tłumaczy – boi się, że jego przełożeni ukręcą sprawę łeb. To już nie kryminał, to mafia w mundurze. – Państwo, w którym stróża prawa popełniają tyle poważnych przestępstw, nie ma prawa istnieć – mówi kryminolog profesor Brunon Hołyst.

LEWICA PRZECZYSZCZA GŁĘBOKO

X chce mówić, ale w żadnym wypadku pod nazwiskiem. Po pierwsze, obowiązuje go tajemnica, po drugie, nie kała się własnego gniazda, nawet jeśli już się je opuściło. Swego czasu był wysoką figurą w CBS. Jego ludzie rozbijali kolejne gangi.

– To przeszłość. Ostatnie dwa lata dla CBS to mało działania, dużo intryg. Ludzie, zamiast pracować, zastanawiali się, czy ktoś im nie podłoży świni albo nie zbierze na nich kwitów,

Polska
policja
jeszcze
nie miała
tak fatalnej
passy.
Polska
nie miała
jeszcze tak
fatalnej
policji

POLICJA

bo robienie na kogo się da papierów to ostatnio bardzo modne zajęcie w policji – mówi X. Papiery robi się na tych, którzy są zbyt niezależni albo zbyt krytyczni, szczególnie jeśli chodzi o sprawy kadrowo-politycz-

Ja i moi ludzie jesteśmy od łapania złodziei. I to chcieliśmy robić.

Chcieli, bo Jakubowski jest już na emeryturze. Młodszy inspektor Przemysław Woźniak, jeden z jego podwładnych i naczelnik wydziału kryminalnego, w kwietniu odebrał nagrodę z rąk komendanta głównego. A w maju otrzymał telefon od jego ludzi, że ma złożyć rezygnację.

Poznański CBS przez kilka dni szantażowano, że wszyscy zostaną zwolnieni i od nowa zweryfikowani. Potem po cichu się z tego wycofano. Ale teraz policjanci dwa razy się zastanowią, jakiego koloru jest aresztowany i czy czasem nie tego samego co obecny minister.

– To nie przypadek, że takie afery wybuchają w podwójnym roku wyborczym. Słaby CBS jest wielu osobom na rękę. Kto rozpracowywał skorumpowanych polityków? Ta zadyma może opóźnić wiele spraw, na przykład związanych z mafią paliwową – tłumaczy X. Do tego w ostatnich latach do CBS na stanowiska naczelników trafiają ludzie, którzy nigdy w nim nie służyli. Trudno więc wymagać, by podwładni szanowali szefa przyniesionego w teczkę. CBS miał być elitarną formacją. Chętni do służby musieli znać obcy język, mieć nieposzlakowaną opinię i przechodzić badania na wykrywaczu kłamstw. Teraz wariograf jest używany sporadycznie.

Z założenia apolityczna, w rzeczywistości policja jest upolityczniona do szpiku kości. – Jedni chcą utrzymać

ne. Właśnie tu szuka wytłumaczenia ostatnich afer, jak chociażby tej z poznańskim CBS, gdzie decyzją ministra spraw wewnętrznych rozwiązano całą strukturę. – Jurek nie wytrzymał i trochę wyciągnął na wierzch – podsuwa trop. Chodzi o słowa cytowane przez „Gazetę Wyborczą”, które miał powiedzieć Jerzy Jakubowski, naczelnik poznańskiego CBS: – Mam być ukarany, bo nie wiem, o czym przez telefon rozmawiał mój zastępca? Mam w dupie taką policję! W dupie mam to, czy ministrem jest czarny, czerwony czy zielony.

stanowisko, inni je zdobyć. Główną, pod którego postła się powiesić, z kim trzymać, kogo się słuchać, by po wyborach było jak trzeba. Tym się zajmują, a nie łapaniem bandytów. To wstrząsające – mówi młodszy inspektor Romel.

Przejęcie kontroli nad funkcjonariuszami w niebieskich mundurach to jeden z głównych priorytetów każdej partii rządzącej. Szczególnie leży to na sercu SLD, które stołek ministra spraw wewnętrznych i administracji traktuje niezwykle poważnie. Dlatego do gmachu przy ulicy Batorego w Warszawie delegowani są wypróbowani działacze, którzy o policji nie mają bladego pojęcia, ale swoją obecnością gwarantują, że będzie jak trzeba. Ministrami spraw wewnętrznych byli: Leszek Miller, Krzysztof Janik i Józef Oleksy. Ostatnio jest nim Ryszard

Kalisz, zaufany człowiek prezydenta Kwaśniewskiego. Zastępcami odpowiedzialnymi za służby mundurowe w bieżącej kadencji SLD byli skompromitowany aferą starachowicką Zbigniew Sobotka i odwołany niedawno Andrzej Brachmański.

Nim dobrze usadowią się na swoich stołkach, już rozpoczyna się czyszczenie. Na pierwszy ogień idzie komendant główny, niedługo po nim wymieniani są komendanci wojewódzcy. Efekt – od utworzenia policji w maju 1990 roku było aż ośmiu komendantów głównych. Najdłużej urzędujący Jan Michna utrzymał się na stanowisku przez trzy lata i dziewięć miesięcy. Poległ zaraz po objęciu resortu przez Janika w 2001 roku. Ten sam minister ma jeszcze na sumieniu Andrzeja Borka, szefa CBS, i jego zastępców. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat zmieniono 12 z 17 komendantów wojewódzkich.

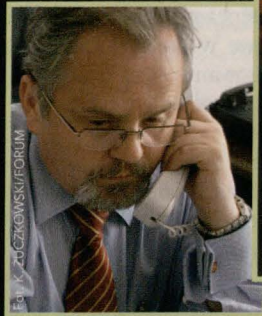
Czyszczenie szeregów szczególnie boleśnie odczuł CBS. Czystka w tej formacji była do przewidzenia. Wrogość SLD do niego wybuchła przed wyborami w 2001 roku, gdy na imprezie Sojuszu na strzelnicy w warszawskim Rembertowie pojawili się policjanci z CBS. Zamierzali oni zatrzymać pruszkowskiego gangstera Pawła M. „Małolata” (zbieżność nazwisk z byłym premierem przypadkowa), zresztą członka SLD. Gangster na imprezie jednak się nie pojawił. Polityków SLD o akcji policji ostrzeżono. Przygotowali się. Zrobili policjantom zdjęcia, po czym pobiegli do gazet, krzycząc o prowokacji.

Już w dniu zwycięskich dla SLD wyborów było jasne, że najbliższe lata rządów lewicy nie przyniosą niczego dobrego dla Centralnego Biura Śledczego. Tym bardziej że trop policyjnych śledztw często prowadziły do SLD-owskich notabli lub ich rodzin.

KRAKÓWEK I UKŁADY

Najsilniejszą frakcją w policji jest tak zwany układ krakowski. – Jest takie powiedzenie, że awansować może każdy, byle był z Krakowa – mówią nasi rozmówcy. To efekt wpływów otoczenia Aleksandra Kwaśniewskiego w policji, a ściślej nadinspektora Bogusława Strzeleckiego – członka Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy prezydencie RP. Strzelecki 38 lat służył w resorcie. Był komendantem MO w Zakopanem. W mundurze doszedł do funkcji komendanta wojewódzkiego policji w Krakowie.

Obecny zastępca komendanta głównego Eugeniusz Szczerbak w latach 1998–1999 był zastępcą, potem szefem krakowskiej policji. Także i drugi zastępca komendanta głównego Marek Hebda należy do „krakowiaków”. Na początku lat 90. służył w Nowym Sączu. W latach 1996–1999 był naczelnikiem wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną w Nowym Sączu i Krakowie. Z Krakowa pochodzi także jedna z szarych eminencji w MSWiA za czasów Krzysztofa Janika – generał Józef



Od lewej: Były wiceszef MSW Andrzej Brachmański, główni komendanci policji Antoni Kowalczyk (były) i Leszek Szreder (obecny) oraz były komendant śląski Mieczysław Kluk

OFICJALNA WYKRYWALNOŚĆ

przestępstwa drogowe – 99,2% (+ 0,1)
 przestępstwa gospodarcze – 95,9% (- 1)
 zabójstwa – 90,8% (+ 3,3)
 gwałty – 82,7% (- 3)
 pobicia – 75,8% (- 0,6)
 rozboje i wymuszenia – 50,4% (+ 2,4)
 kradzieże z włamaniem – 21,1% (+ 0,9)
 kradzieże – 19,9% (+ 0,1)

Dane dla 2004 roku (porównanie z 2003)
 Źródło: Biuro prasowe Komendy Głównej Policji

nad dwóch tysięcy. Pomimo nieprawidłowości włos mu z głowy nie spadł. Niedawno został szefem komendy w Białobrzegach. Ten sam komendant wojewódzki, który go mianował, nie miał sobie nic do zarzucenia, że jeździł samochodem wypożyczonym przez miejscowego diler.

W SZPONACH STATYSTYK

Na policyjnych przetasowaniach i ciągłych zmianach najlepiej wychodzą przestępcy. – Mimo że liczba wypadków drogowych wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie, w Komendzie Głównej likwiduje się biuro ruchu drogowego – mówi kryminolog Brunon Hołyst.

Ostatnio coraz głośniej mówi się o pomysle rozbitcia jedności CBS i podporządkowaniu poszczególnych wydziałów i zarządów pod komendantów wojewódzkich. – To będzie oznaczało koniec CBS. Komendant wojewódzki z założenia musi utrzymywać dobre relacje z lokalnymi elitami. A niezależny CBS jest od tego, by patrzeć im na ręce – mówi Marek Biernecki, były minister MSWiA, za którego czasów powołano CBS.

W ciągu minionych sześciu lat programy szkolenia zmieniały się kilkakrotnie, nawet dwa razy w roku. – Policjant zaczynał kurs według jednego programu, a kończył według drugiego. Kompletny bałagan – mówi były kadrowiec. W efekcie wielu policjantów drogowki nie wie nawet, że przepisy zabraniają im polowania na kierowców, stojąc w kioskach z radarem.

Profesor Hołyst pamięta przypadek studenta-policjanta, którego komendant nie chciał zwalniać na seminarium magisterskie. – Wykazywał się przy tym skrajną złośliwością, bo wyznaczał mu w tym czasie dyżury. Tymczasem własnej córce na wykłady podpisywał delegacje i dawał służbowe auto.

Ale najważniejsze, żeby zgadzała się statystyka. Wykrywalność najbardziej uciążliwych dla ludzi przestępstw, jak kradzieże czy rozboje, wciąż jest na zenująco niskim poziomie. – Połowa policjantów w Polsce oszukuje, po prostu nie przyjmując zgłoszeń o przestępstwie. A jeśli już przyjmują, to drobne sprawy, które się umarza, bo tak jest najłatwiej – mówi inspektor Romel.

Statystykami się manipuluje. By zwiększyć wykrywalność, wystarczy złapać więcej pijanych kierowców, bo od niedawna jest to przestępstwo. Statystyka decyduje o „być albo nie być” komendanta. Żeby przetrwać, najlepiej się nie wybijać. – Jak masz za dobre wyniki, to trudno je później utrzymać i przybyle wahańcu liczy przestępstw statystyka leci

na łeb na szyję – tłumaczy meandry policyjnej logiki jeden z byłych komendantów.

Żle dzieje się nawet w elitarnym Centralnym Biurze Śledczym. Ponad 1400-osobowa formacja powstała w 2000 roku i miała zwalczać najbardziej zatwardziały gangsterów i tropić największe afery. Dla niej nie liczyła się ilość spraw, ale ich kaliber.

– Ostatnio dostało się tam wiele miernot. I to tylko dlatego, że mogli liczyć na protekcję – przyznaje profesor Hołyst. – Upycha się ich tam, bo zarobki w CBS są o tysiąc-półtora tysiąca złotych wyższe niż w normalnej służbie – tłumaczy oficer z kadr. To budzi zazdrość i niezdrową rywalizację. Nie może być jednak inaczej, gdy świetny antyterrorysta ma 1,6 tysiąca złotych pensji. Dlatego po godzinach policyjni komandosi dorabiają jako ochroniarze w dyskotekach, pubach, czasem na ślubach znanych osób.

NAPRAWIANIE PRZEZ ODWOŁYWANIE

W tym tygodniu mija czas, jaki minister Kalisz dał komendantowi głównemu na wprowadzenie zmian w policji. Leszek Szreder zapowiedział czyszczenie szeregów i wzmocnienie biura spraw wewnętrznych. Przykład dał mu Kalisz, który po ostatnich skandalach zaczął zmiany od zwolnień. W policji nie pracują już inspektor Janusz Tkaczyk, były szef komendy wojewódzkiej w Łodzi, i Jan Markowski, szef olsztyńskiego CBS. Gdy zamykaliśmy ten numer, szykowały się kolejne zwolnienia.

Według profesora Hołysta, gdyby takie skandale miały miejsce w którymś z krajów zachodnich, poleciałby cały rząd, a nie paru skompromitowanych policjantów. – Niech ludzie z góry uderzą się w piersi i zadadzą sobie pytanie, czy nadal mogą pełnić swoją funkcję – dodaje profesor Hołyst.

Co prawda za dwa-trzy miesiące zmieni się rządząca ekipa, ale policjanci już nie wierzą, że zmienią się metody. – Bo widzi pan, z policją jest jak z rybą. Ona psuje się od głowy, a my od polityki – mówi były komendant policji jednego z miast wojewódzkich.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI
 JULIUSZ ĆWIELUCH
 WSPÓŁPRACA GRZEGORZ INDULSKI

Nic dodać. 3500 zł ująć.



Aveo już od 30 490 zł

Więcej dodać się nie dało: poduszka powietrzna kierowcy, centralny zamek, radioodtwarzacz z CD i mnóstwo poręcznych schowków. Ujęliśmy za to całkiem sporo: dla Aveo 3-drzwiowego 2500 zł upustu, dla Aveo 5-drzwiowego do 3000 zł upustu, a dla Aveo Sedan aż 3500 zł upustu. W sumie wsiadać i jechać.

Oferta dotyczy aut wyprodukowanych w 2005 roku.

CHEVROLET. WIĘCEJ NIŻ PLUS

www.chevrolet.pl



CHEVROLET

Białystok, TOP AUTO Andrzej Arefiew, tel. (085) 661 68 02; Bielsko-Biala, Wawrosz, tel. (033) 811 02 49; Bydgoszcz, Mikołajczak, tel. (052) 320 31 00; Chorzów, Delta Plus, tel. (032) 346 34 66; Częstochowa, Polaczek, tel. (034) 361 52 25; Dąbrowa Górnicza, Rokicki, tel. (032) 639 04 90-92; Elk, Kwiatkowski, tel. (087) 521 69 12; Gdańsk, Motor Centrum, tel. (058) 321 88 00; Gdynia, Serwis Haller, tel. (058) 667 38 88; Gorzów Wilk., Szykowski Auto, tel. (095) 721 66 10; Grudziądz, Dekarczyk, tel. (056) 461 23 41; Inowrocław, Mikołajczak, tel. (052) 353 99 42; Katowice, M&M Cars, tel. (032) 203 60 03; Kielce, Obręcki, tel. (041) 368 10 25; Kraków, Euromarket, tel. (012) 646 26 00; Marimex, tel. (012) 270 35 04; Krosno, MJM, tel. (013) 436 88 99; Lublin, Autolux, tel. (081) 740 40 20; Łódź, BSP, tel. (042) 684 39 91; Trax, tel. (042) 632 28 00; Nowa Ruda, Euro-Auto, tel. (074) 872 24 09; Olsztyn, Mibo, tel. (089) 535 25 75-78; Opole, J & R (Auto-Salon), tel. (077) 474 77 29; Płock/Nowe Gulczewo, Autoserwis Mazowsze, tel. (024) 264 33 41; Płońsk, Olczak Motors, tel. (023) 662 68 20; Poznań/Sady, Witold Bońkowski, Tarnowo Podgórze, tel. (061) 896 22 10; Poznań/Suchy Las, Niedbała, tel. (061) 811 51 61; Poznań/Swarzędz, Szpot, tel. (061) 817 30 11 w. 102; Przemyśl, Auto-Styl, tel. (016) 675 15 01; Przystawice, Kanclerz, tel. (032) 301 99 99; Radom, Dixi-Car, tel. (048) 360 98 26-27; Ruda Śląska, Kanclerz, tel. (032) 242 08 83; Rybnik, Fijałkowski, tel. (032) 423 97 00; Rzeszów/Krasne, Auto-Styl, tel. (017) 855 52 71; Skierniewice, Trax, tel. (046) 832 77 66; Sosnowiec, Śródula, tel. (032) 290 80 80; Szczecin, Jerzy Bogacki, tel. (091) 435 88 55; Kozłowski, tel. (091) 432 63 30; Świdnica, Euro-Auto, tel. (074) 851 40 93-96; Toruń, Auto-Toruń, tel. (056) 623 40 96; Tychy, Mucha, tel. (032) 325 00 00; Warszawa, Auto-Pol-Service, tel. (022) 642 59 69; Auto Żoliborz, tel. (022) 336 10 00; Nivette, tel. (022) 673 02 44; Wrocław, Autoserwis Dolny Śląsk, tel. (071) 362 85 13.

Cena uwzględnia upust. Oferta obowiązuje od 23 maja 2005 i jest dostępna u dystrybutorów biorących udział w promocji. Liczba aut oraz czas promocji ograniczone. Zużycie paliwa (1999/100/EC) w cyklu mieszanym wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 6,6 do 7,6 l/100 km. Emisja CO₂ (1999/100/EC) wynosi w zależności od wariantu i wersji auta od 153 do 181 g/km. Informacje na temat złomowania samochodu, przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne pod adresem internetowym www.chevrolet.pl

TEKST CEZARY ŁAZAREWICZ
ILUSTRACJE MARCIN MACIEJOWSKI

Będzie to mężczyzna dojrzały, mający co najmniej 55 lat, dobrze wykształcony. Mąż stanu, znający się na gospodarce. – Żaden z tych spoconych facetów snujących się w sflaczonych koszulach po gmachu Sejmu i knujących po kątach nie ma szans – mówi Eryk Miśiewicz, specjalista od marketingu politycznego.

Prezydent będzie żonaty. Najlepiej, jeśli jest to pierwsza żona, choć nie jesteś pod tym względem ortodoksyjni. Będzie miał jedno lub dwoje dzieci. Niezbyt bogaty – bo pieniądze nie sprzyjają polityce. Nie lubimy bogaczy, nawet jeśli bogactwo pochodzi z solidnie udokumentowanego źródła.

Plus – jeśli skończy dobrą uczelnię. Ale żaden Harvard, Oksford czy Cambridge, bo to onieśmiela elektorat. Najlepiej, jeśli własną pracą wspiął się na szczyt i sprawdził się gdzieś za granicą. Jakieś wykłady w USA lub stypendium w Europie Zachodniej. Jeśli w Związku Radzieckim, lepiej w ogóle o tym nie wspominać, bo to duży minus.

Gorsze od ZSRR jest tylko bycie kobietą, która nie ma żadnych szans. Nie wiadomo dlaczego – mówią specjaliści. Ostatni raz według sondaży płeć piękna mogła wygrać w 1995 roku. I nawet Hanna Gronkiewicz-Wałt próbowała to wykorzystać, ale jej start zakończył się katastrofą.

Dobrze dla prezydentury robi ciężka praca. Przy sprzedaży dzinsów – jak Marek Borowski – lub przy malowaniu kominów – jak Donald Tusk.

No i najważniejsze: prezydent będzie kryształowo uczciwy. To znaczy nieprzekupny, transparentny i niewikłany w żadne interesy spod ciemnej gwiazdy. Poglądy nie są tak ważne, choć preferowane są konserwatywno-liberalne.

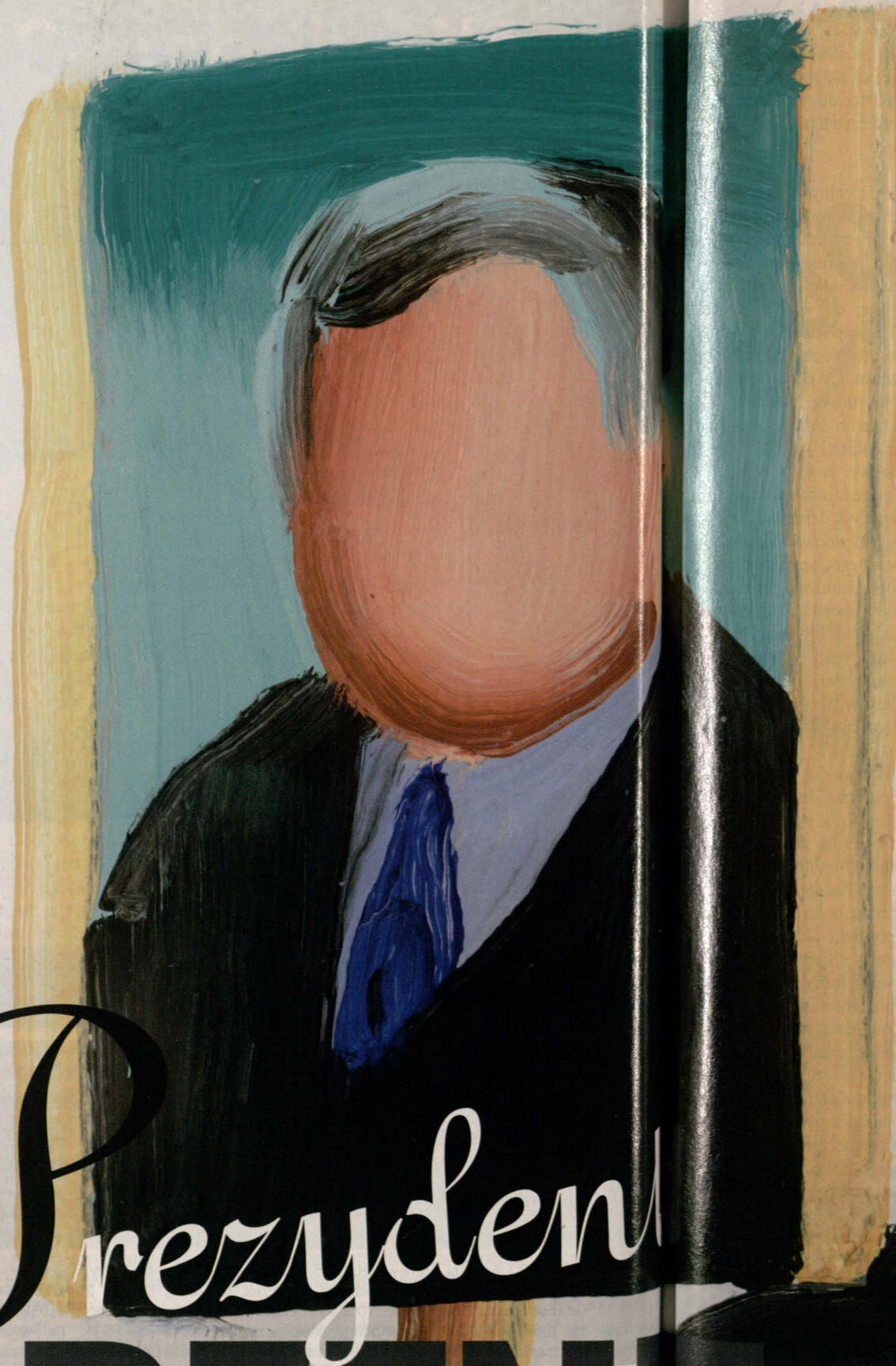
WYGLĄD NIE POGLĄD

Tak wygląda idealny prezydent wylaniający się z przedwyborczych sondaży, które od kilku miesięcy

Wiemy z badań, jaki powinien być następca Aleksandra Kwaśniewskiego. Nie znamy tylko jego nazwiska

Prezydent

MARZENIE



na zlecenie partii politycznych prowadzą najważniejsze ośrodki badawcze.

Skoro wszystkie sztaby wyborcze wiedzą, jak wygląda ideał, wystarczy teraz tylko dopasować do niego odpowiedniego kandydata, by zwyciężył jesienią w wyborach prezydenckich. Ale, jak przyznaje poseł Arkadiusz Kasznia ze sztabu Marka Borowskiego, nie jest to takie proste.

– Nawet jeśli Polacy zażyczą sobie kudłatego prezydenta, to nie będziemy naszemu kandydatowi wszczać cebulek włosowych – mówi. – Co z tego, że badani chcą prezydenta, który ma co najmniej 175 centymetrów wzrostu? Przecież jak będzie miał 160, to żaden sztab mu nie dosztukuje brakujących centymetrów. Ważniejsze jest, co mówi, niż jak wygląda.

Zdaniem posła Kasznia najistotniejsze są poglądy. – Nie da się teraz zrobić z Marka Borowskiego liberała i odciąć go od przeszłości, tylko dlatego że to jest teraz w modzie – mówi Kasznia. – Na podstawie badań nie można stworzyć jakiegoś superkandydata bez poglądów i bez przeszłości.

I tu się poseł Kasznia myli. Bo z badań amerykańskiego psychologa Alberta Mehrabiana z Uniwersytetu Kalifornia prowadzonych jeszcze w XX wieku wynika, że tylko dla 7 procent wybor-

ców ważne jest to, co polityk mówi, a aż dla 55 procent – jak wygląda.

OSTROŻNIE Z IMPLANTAMI

Bez badań i szybkiej reakcji nie da się dziś prowadzić nowoczesnej kampanii prezydenckiej.

– Nikt rozsądny nie wyda dziś milionów złotych na kampanię w ciemno, nie rozpoczynając startu od głębokich analiz elektoratów – mówi Maciej Grabowski, odpowiedzialny za wizerunek medialny Donalda Tuska. Twierdzi, że badania nie służą dopasowaniu kandydata do idealnego wzorca, ale poznaniu oczekiwań wyborców.

Czego oczekują wyborcy od Donalda Tuska? To najpilniej strzeżona tajemnica, bo – jak mówi Grabowski – w zebranych opiniach tkwi klucz do zwycięstwa. Podobnie uważa SdPi. Choć kampania jeszcze się nie zaczęła, Socjaldemokracja przetestowała już 10 haseł wyborczych. Na tej podstawie wybrano trzy, które będą wykorzystywane: „M jak miłość, B jak Borowski”, „Polska równych szans” i „Borowski – prawy człowiek lewicy”.

Nawet decyzję o ogłoszeniu startu Borowskiego poprzedziły badania. – Wynikało z nich, że postrzega się nas jak odszczepieńców z SLD, którzy na pewno zaraz tam wrócą – mówi Kasznia. – Wykorzystaliśmy to i daliśmy jasny sygnał, że jesteśmy samodzielnym bytem, ogłaszając Marka Borowskiego naszym kandydatem na prezydenta.

Podobny użytek z badań zrobiło Prawo i Sprawiedliwość. W jednym z ostatnich sondaży działacze PiS dowiedzieli się, że są postrzegani jako partia nienowoczesna i pozbawiona członków. PiS musiał pokazać tłumy zwolenników i fajerwerki.

– Naszą odpowiedzią było wynajęcie Sali Kongresowej na konwencję wyborczą – mówi Adam Bielan, odpowiedzialny za przygotowanie kampanii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego.

A w środku był wielki show jak na konwencji Republikanów w Ameryce. Balony, teledyski, klipy oraz światło i dźwięk. Ten polityczny spektakl z piosenkami Lombardu, Rynkowskiego, Geppert, filmami i teledyskami jest jak objazdowe kino i dociera już do największych miast w Polsce. Każdy może się przekonać, że kampania Lecha Kaczyńskiego to rozmach, nowoczesność i tłumy na widowni.

– Jednak z przeszczepianiem sprawdzonych zagranicznych wzorów na nasz grunt trzeba bardzo uważać – mówi Adam Bielan.

10 lat temu najnowocześniejszą kampanię prowadził Aleksander Kwaśniewski. Wykorzystał między innymi autobus, którym jeździł od miasta do miasta, znany w USA co najmniej od lat 70.

Gdy dwa lata wcześniej Kongres Liberalno-Demokratyczny wśród upadłych pegeerów i bankrutujących zakładów pracy poprowadził parady z cheerleaderkami, został wyśmiany i odrzucony. Bo taka kampania nie pasowała do Polski roku 1993.

WAŁĘSY PORTRET CHIŃSKI

Pionierem wykorzystywania badań socjologicznych w kampanii prezydenckiej 1990 roku był sztab Lecha Wałęsy. Poza nimi nikt się wtedy takimi nowinkami nie interesował. Maciej Grabowski,

JAKI POWINIEN BYĆ PREZYDENT WEDŁUG POLAKÓW

1990

z silnym charakterem, twardy i nieustępliwy, obdarzony zdolnościami przywódczymi, rozliczający ludzi odpowiedzialnych za błędy i niesprawiedliwości poprzedniego systemu, patriota

1995

kompetentny, inteligentny, tolerancyjny wobec odmiennych poglądów, zdolny do rozsądnych ustępstw, zawsze przestrzegający zasad demokracji

2000

uczciwy, mający wiedzę o gospodarce, orientujący się w problemach społecznych, bezstronny, wrażliwy na krzywdę

2005

uczciwy i nieprzekupny, dobrze wykształcony, zdecydowany w działaniu, bezkompromisowy, znający się na gospodarce

DANE DLA ROKU 1990, 1995 I 2000 WEDŁUG KOMUNIKATÓW CBOS; DLA ROKU 2005 – UJAWNIŁONE NAM PRZEZ KOMITETY WYBORCZE

odpowiedzialny dziś za marketing Platformy Obywatelskiej, mówi, że jednym z pierwszych zadań było stworzenie tak zwanego chińskiego portretu Lecha Wałęsy. Badanie to polega na opisanu stosunku respondentów do danej osoby poprzez odpowiedzi na pytania typu: Jeśli Lech Wałęsa miałby samochód, to jaki najbardziej pasowałby do niego?

Polacy chcieli wtedy silnego przywódcy, który zmieni kraj. – Wałęsa był postrzegany jako siła sprawcza przemian, która powinna jeździć wielkim terenowcem – mówi Grabowski. – Pięć lat później stosunek do Wałęsy tak się zmienił, że większość twierdziła, iż najlepiej pasuje mu luksusowa limuzyna.

Z badań CBOS wynika, że w 1995 roku Polska czekała już na zupełnie innego prezydenta. Po kadencji Wałęsy, który walczył z kolejnymi rządami i parlamentami, Polacy stawiali na prezydenta arbitra, który zapewni zgodę, stabilizację i pojednanie narodowe. Przy tym jest miły, przystojny, inteligentny, dobrze się prezentuje i zawsze działa zgodnie z prawem. Chcieli prezydenta zdolnego do kompromisu, nieangażującego się w spory.

Oczekiwania te niewiele się zmieniły pięć lat później – choć najwyższą była już w kampanii ceniona uczciwość. Ale Aleksandrowi Kwaśniewskiemu nie zaszkodziło nawet wcześniejsze kłamstwo dotyczące jego wykształcenia. Zupełnie nie liczyła się pracowitość (tylko 13 procent respondentów uznało, że to ważna cecha prezydenta) i odwaga cywilna (10 procent).

ZA LUSTREM WENECKIM

Ale Polska to nie Ameryka, gdzie bada się wszystko: hasło wyborcze, wygląd kandydata, reakcje na wypowiedź, przepływ elektoratu, a nawet każdy gest. Spot wyborczy sprawdzany jest tam przed emisją, w jej trakcie i po niej.

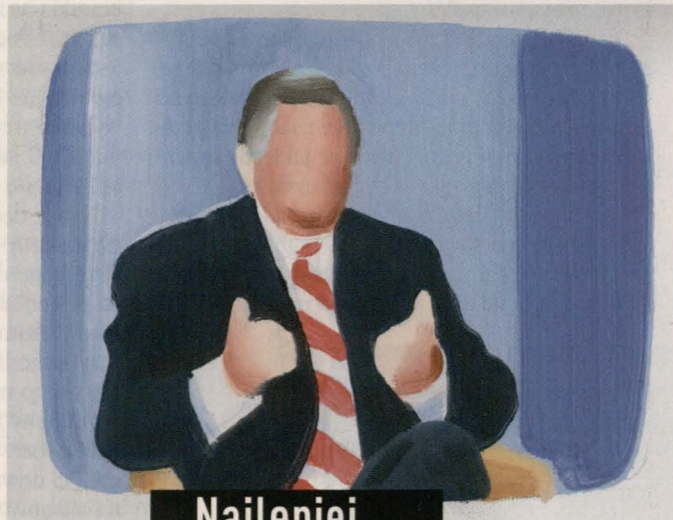
– U nas nie ma takiej tradycji – mówi Bielan. – Badania są drogie i nikt nie ma tyłu pieniędzy, by prowadzić je tak szeroko.

Zresztą takie rzeczy można robić z kimś w ogóle nieznanym, kto chce ukształtować swój publiczny wizerunek. Z Lechem Kaczyńskim to niemożliwe. Przy rozpoznawalności ponad 90-procentowej ludzie mają o nim wyrobione zdanie i trudno ten wizerunek zmienić. Choć i to w ciągu ostatnich 10 lat się zmieniło.

– Kiedyś o Kaczyńskim respondenci mówili, że jest kłótniwy, a teraz, choć się przecież nie zmienił, postrzegany jest jako polityk bezkompromisowy – mówi Adam Bielan i dodaje, że właśnie to jest największym atutem kandydata PiS. – Jak się czyta dużo sondaży, to widać, że Polacy oczekują zmian. Nie chcą już prezydenta od przecinania wstęg i wręczania meda-

li. Chcą zdecydowanego polityka, który potrafi pójść pod prąd, a przy tym jest uczciwy. Bo uczciwość to najważniejsza oczekiwana cecha przyszłego prezydenta, o której mówią wszyscy respondenci po 10-letniej kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego.

Jednym z najważniejszych badań wykorzystywanych w kampanii prezydenckiej są fokusy. W ten sposób PiS bada swoje spoty, ulotki i hasła wyborcze. Stojąc za lustrem weneckim, Adam Bielan patrzy na elektorat i może się dowiedzieć, co go boli. – Bo jak siedzi się latami na Wiejskiej i obraca się w tym samym środowisku, można stracić poczucie rzeczywistości – mówi.



Najlepiej do idealnego wzorca pasuje Tomasz Lis, ale właśnie on nie ma żadnych szans

Na fokusie, na który zaprasza się 10–12 osób, można sprawdzić, czego oczekują po przyszłym prezydencie gospodynie domowe, emeryci czy samotne matki. Pod warunkiem że grupa została dobrze wybrana. Dlatego najważniejsi są łowcy, którzy mają znaleźć odpowiednią grupę, a nie bazować na znajomych.

Ważny jest moderator – on ma wyeliminować ze spotkania ewentualnych liderów, którzy narzucają innym swój punkt widzenia. Chodzi o to, by wysłuchać wszystkich, a nie jednego gaduły. Z takiego spotkania powstaje 150-stronicowy szczegółowy raport. Lech Kaczyński, jeśli w ogóle czyta, to najwyższą skrót raportu. Całość analizuje sztab wyborczy.

Największy wpływ na wizerunek Lecha Kaczyńskiego ma jednak nie żaden sondaż, ale żona, która dobiera mu krawaty i garnitury.

– Kaczyński nie jest politykiem, który podejmuje decyzje na podstawie sondaży – mó-

wi Bielan. – Retusze są możliwe, ale forsownie wyuczonych zachowań nie wchodzi w grę. Bo Kaczyński jest w polityce od tylu lat, że wo- li uczyć się na własnych błędach.

POZA KONTROLĄ

Nie ma kandydatów idealnych: Kaczyński jest za niski (dlatego filmowany jest od dołu), Borowski – zbyt sztywny i przemądrzały (więc ostatnio tryska dowcipem), Tusk – za bardzo związany z bieżącą polityką, a Religa nie zna się na gospodarce. Najlepiej do wzorca pasuje ktoś taki jak Tomasz Lis – apolityczny, z dobrą prezentacją, znany, któremu nie można zarzucić ani partyjniactwa, ani ciemnych interesów, choć jest trochę za młody. Ale właśnie z ostatnich sondaży wynika, że Lis nie ma żadnych szans.

– Na podstawie samych badań nie da się wykreować idealnego prezydenta – przyznaje Eryk Mistewicz. – Tak można by wypreparować kandydata chemicznie czystego, bez żadnej przeszłości. A dobry kandydat musi mieć jakieś ludzkie słabostki i ułomności. Bo lubimy takich jak my sami – mówi.

Badania służą przede wszystkim do korygowania zachowań kandydatów. Jeśli z sondaży wynika, że kandydat postrzegany jest jako słamazara, trzeba go zdynamizować, a jeśli jest zbyt agresywny i mówi do elektoratu na przykład: „Spieprzaj, dziadu”, to trzeba koniecznie ocieplić jego wizerunek.

Mistewicz twierdzi, że standardem wśród kandydatów są niebieskie koszule i łagodne szkła kontaktowe. Każdy sztab już wie, że jak chce mieć prezydenta, to trzeba go ochudzić, opalić i usportowić. Zdaniem Mistewicza wszystkie badania wskazują, że prezydentem zostanie człowiek, który zna Polskę nie tylko z okien samolotu, InterCity, sejmowych lancii, który potrafi powiedzieć najgorszą prawdę i umie rozmawiać z ludźmi. Rozmawiać, a nie przemawiać do nich. – A wygra ten, kto będzie miał najmniejszy elektorat negatywny – mówi. Bo kampania może być bardzo brudna. Kandydaci muszą mieć skórę nosorożca z gracją przepływającego rzekę. I świadomość, że tylko jeden z nich dopłynie do brzegu.

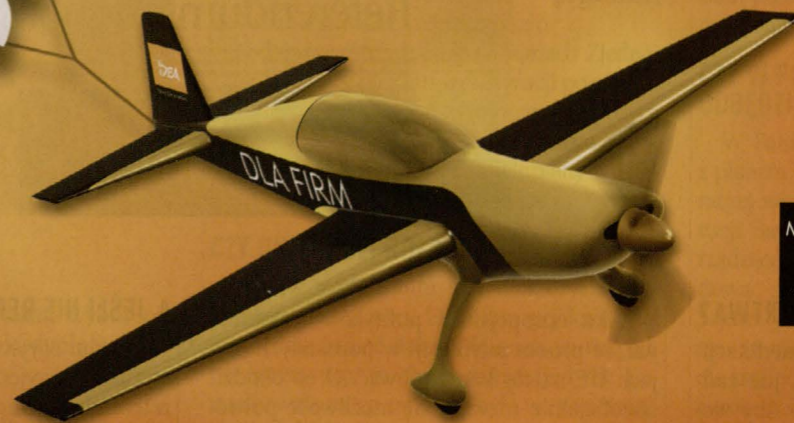
Przed tworzeniem kandydatów z niczego ostrzega też Piotr Tymochowicz, twórca sukcesu wyborczego Samoobrony sprzed czterech lat. Dzięki badaniom wykreował wizerunek Leppera w biało-czerwonym krawacie. Dziś dość sceptycznie odnosi się do tamtego sukcesu.

– Każdy eksperyment może wyrwać się spod kontroli – mówi Tymochowicz. – Najlepszym dowodem jest bolesna porażka doktora Frankenstein.

CEZARY ŁAZAREWICZ

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

1000 Minut na Firmę



Wspólny Pakiet Minut na Firmę dla Ciebie i Twoich pracowników

Jeśli szukasz oszczędnego rozwiązania, to mamy dla Ciebie Pakiet Minut na Firmę:

- nawet 1000 minut w abonamencie,
- minuta połączenia już od 0,10 zł (0,12 zł z VAT),
- **Bezpłatne Rozmowy dla Firm** nawet z 5 wybranymi numerami w sieci Idea lub sieciach stacjonarnych,

Oszczędzaj więcej i kup aktywację już dziś!

Oferta dostępna jest we wszystkich punktach sieci Idea i Telepointach. Szczegóły oferty w regulaminie promocji. Informacja Handlowa dla Firm: *525 dla obecnych Abonentów bezpłatnie lub 0801 100 501. Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TP S.A. www.idea.pl

DLA FIRM

Siemens S65
49 zł
59,78 zł z VAT

z wbudowanym
aparatem
cyfrowym



Nokia 6020
1 zł
1,22 zł z VAT

z wbudowanym
aparatem
cyfrowym



Motorola V547
1 zł
1,22 zł z VAT

wspiera
technologię EDGE



Powyższe ceny telefonów obowiązują dla planu taryfowego Nowa Idea dla Firm 200. Telefony są dostępne w zależności od stanów magazynowych



Łączysz Cię z ludźmi

I PO KRZYKU ?

Francuzi z hukiem odrzucili europejską konstytucję. Przeciwnicy traktatu triumfują, euroentuzjaści udają, że nic się nie stało, a Unia, o dziwo, wciąż istnieje. Co dalej – w pytaniach i odpowiedziach



CZY KONSTYTUCJA JEST MARTWA?

Jeżeli trzymać się zasad ratyfikacji, to konstytucja UE nie ma już żadnych szans na uchwalenie. Aby weszła w życie, wszystkie państwa Unii powinny ją ratyfikować do października 2006 roku.

Weto Francuzów i Holendrów powoduje jednak, że co najmniej dwa państwa tego nie uczynią. Nie ma żadnej prawnej możliwości, by konstytucja zaczęła obowiązywać przy sprzeciwie choćby najmniejszego kraju członkowskiego. Konstytucja jest zatem w stanie śmierci klinicznej.

CZY TRAKTAT MOŻNA REANIMOWAĆ?

Choć wszyscy politycy powtarzają, że „plan B” nie istnieje, twórcy konstytucji próbowali się zabezpieczyć na czarną godzinę. Ustalili, że jeśli do jesieni przyszłego roku dokument ratyfikuje 80 procent państw, to Unia zwoła specjalny szczyt. Nie ustalono jednak żadnego mechanizmu obalenia ewentualnego weta.

Kilku europejskich polityków oznajmiło już, że proces ratyfikacji w pozostałych krajach UE należy kontynuować. O co chodzi? Nieoficjalnie rozważa się możliwość powtórzenia francuskiego referendum. Już przed głosowaniem „wymknęło się” to kilku liderom UE. – Kraje, które powiedzą „nie”, będą musiały zadać sobie to pytanie jeszcze raz – mówił premier Luksemburga Jean-Claude Juncker, który obecnie przewodniczy pracom Unii. Powtórka referendum nie byłaby niczym nowym – Dania i Irlandia powtarzały ratyfikację traktatów z Maastricht i Nicei.

Premier Francji Jean-Pierre Raffarin wyklucza powtórkę głosowania, ale gdy ukaże się ten numer „Przekroju”, może on już nie być szefem rządu. Co wtedy? Nowy rząd po odczekaniu jakiegoś czasu może znów wrócić do referendum, na wszelki wypadek tłumacząc obywatelom, że zmieniły się okoliczności, a ich „non” było jedynie wotum nieufności wobec Raffarina i prezydenta Jacques’a Chiraca. Po wychłodzeniu emocji dumę narodową da się obejść.

A JEŚLI NIE REFERENDUM?

Drugim wyjściem jest „okrojenie” konstytucji i przyjęcie kilku jej rozdziałów bez referendum. Teoretycznie nic nie stoi na przeszkodzie, by rządy państw Unii uzgodniły mały traktat wprowadzający nowe zasady głosowania czy poszerzający uprawnienia Parlamentu Europejskiego. Taki ruch zostałby jednak odebrany jako wyraz pogardy dla wyborców. Czy przywódcy Unii na to pójdą? Na pewno nie wszyscy. Eurodeterminacja Tony’ego Blaira i Silvia Berlusconi’ego nie jest aż tak duża, by chcieli ratować dokument za cenę własnej popularności.

Możliwe jest jeszcze wiele innych rozwiązań: częściowe wejście konstytucji w życie, zgoda na opóźnienie ratyfikacji lub zawarcie nowego traktatu. – Unia jest mistrzynią w wynajdywaniu dziwnych formułek. Nie zdziwi się, jeżeli po klęsce któregoś z referendum powstaną pojęcia „dwa poziomy ratyfikacji” lub „kompromis siedmiu mędrców” i podjęta zostanie próba przepchnię-

cia konstytucji ponad głowami wyborców – mówi „Przekroju” polski dyplomata.

KTO SIĘ CIESZY Z ODRZUCENIA KONSTYTUCJI?

Niedzielne głosowanie ma wielu zwycięzców, najwięcej w samej Francji. Socjaliści, mimo że formalnie popierali głosowanie na

„tak”, z łatwością zwałą teraz winę na centroprawicowy rząd i prezydenta. Powody do radości ma też Nicolas Sarkozy, według sondaży następca Chiraca z jego własnej partii. Chirac prawdopodobnie nie podniesie się po klęsce referendum i zrezygnuje z ubiegania się o reelekcję w roku 2007.

Cieszy się premier Wielkiej Brytanii Tony Blair, który ma teraz wygodny pretekst, by odwołać referendum u siebie. Większość Brytyjczyków jest przeciwna eurokonstytucji, a premier, który zwywałby do jej poparcia po nieudanym referendum, musiałby odejść.

W Polsce raduje się centroprawicowa opozycja, bo lewicy i Partii Demokratycznej trudno będzie teraz oprzeć kampanie wyborczej na tematyce europejskiej i walce o pozytywny wynik polskiego referendum.

Mieszane uczucia panują w Rosji. Według redaktora naczelnego rosyjskojęzycznej edycji „Foreign Affairs” Fiodora Łukjanowa Moskwa woli obecną Unię, gdzie realizuje swoją politykę poprzez dobre stosunki z Francją i Niemcami. Im większa centralizacja, tym trudniej Moskwie rozmawiać z Brukselą. Inni komentatorzy podkreślają jednak, że po niedzielnym głosowaniu francusko-niemiecki tandem słabnie, a to on jest w Unii największym przyjacielem Rosji. Część rosyjskich mediów ma po prostu zwykłą Schadenfreude – popatrzcie, znów na Zachodzie coś nie wyszło.

Podobny nastrój panuje w Stanach Zjednoczonych, gdzie ideę eurokonstytucji postrzegano często jako próbę wzmocnienia pozycji Unii Europejskiej względem Waszyngtonu, a za jej architekta uchodził nielubiany w USA Jacques Chirac.

CZY UNII GROZI ROZPAD?

Wbrew rozzwierzeniu szat niektórych zwolenników konstytucji Unia Europejska istnieje i będzie istnieć dalej. Nie grozi jej rozpad, bo konstytucja w dużej mierze jedynie porządkowała to, co zapisane było we wcześniejszych traktatach.

Po francuskim „nie” zmieniają się natomiast plany na przyszłość Unii. Konstytucja miała zapoczątkować ewolucję w kierunku fe-

deralnego superpaństwa, nadawała Unii podmiotowość prawną, ustanawiała stałego „przewodniczącego Rady Europejskiej”, który z czasem byłby po prostu postrzegany jako prezydent Unii, wprowadzała nowy urząd ministra spraw zagranicznych wyraźnie sugerujący, że 25 państw UE prowadzi wspólną politykę zewnętrzną. Jednoznacznie stwierdzała wreszcie, że obywatele państw członkowskich są „obywatelami Unii Europejskiej”. W końcu samo użycie pojęcia „konstytucja” stwarzało pozory, że Unia ma w sobie coś z państwa. Wielki start do federacyjnego biegu okazał się falstartem.

CZY UNIA MOŻE SPRAWNIE DZIAŁAĆ BEZ KONSTYTUCJI?

W przededniu referendum mieszkańców Francji straszono widmem „paraliżu unijnych instytucji”. Znaczący brukselskiej polityki twierdzą, że Unia powinna jak najszybciej przyjąć tryb podejmowania decyzji przez „podwójną większość”, zmniejszyć liczbę komisarzy i stworzyć urząd przewodniczącego Rady Europejskiej oraz unijnego ministra spraw zagranicznych.

Z kolei eurosceptycy upierają się, że Unia może dalej sprawnie działać na podstawie traktatu nicejskiego – bez federacyjnych symboli, preambuł i urzędów pozbawionych rzeczywistej władzy.

CZY W POLSCE ODBĘDZIE SIĘ REFERENDUM?

W Polsce głosowanie odbędzie się zgodnie z planem, choć jego wynik nie będzie mieć już raczej większego znaczenia dla losów konstytucji. Samo referendum jest ważne jedynie dla rządzącego SLD, który chce wokół niego zbudować swoją kampanię przed wyborami do Sejmu. Według dzisiejszych sondaży konstytucja ma więcej zwolenników niż przeciwników, ale trudno sobie wyobrazić, by partyjna kampania wokół z góry nieistotnego referendum zdołała porwać tłumy. Francuzi popsuli lewicy przedwyborcze szyki.

PIOTR BUKOLIŃSKI

DECYDUJĄCE BITWY • MAPY TEATRU WOJNY • BOHATERSCY ŻOŁNIERZE • WYBITNI DOWÓDCY • SZCZEGÓŁY UZBROJENIA • KULISY DYPLMACJI • KALENDARIUM WYDARZEŃ

II Wojna Światowa
BERLIN 1945

Niezbędne kompendium wiedzy o II Wojnie Światowej

Tom 1 BERLIN 1945 z filmem i plakatem: broń pancerna tylko 9,99 zł
Już w kioskach!

Tajemnica zamachu na Hitlera

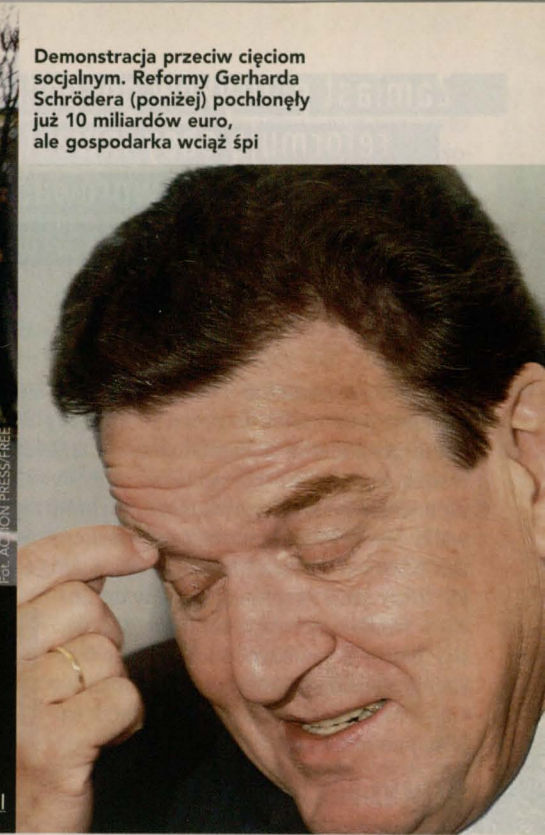
OBRAZY WOJNY



NIEMCOM JEST GORZSZEJ O WIELE

PIOTR CYWIŃSKI

Trzy miliony nowych bezrobotnych, inwazja obcego kapitału i bezwzględne reformy. Po beztrudnym dobrobycie naszym sąsiadom zostały wspomnienia, a niemiecką maszynę gospodarczą czeka pilny remont



Demonstracja przeciw cięciom socjalnym. Reformy Gerharda Schrödera (poniżej) pochłonęły już 10 miliardów euro, ale gospodarka wciąż śpi

awina ruszyła. W niedzielę 22 maja największy land Niemiec powiedział „dość”. Dość recesji, dość bezrobocia, dość bolesnych reform i dość rządów lewicy. Wybory do lokalnego parlamentu Nadrenii Północnej-Westfalii wygrała chadecja. Dla rządzącej krajem koalicji klęska nie mogła być bardziej zawstydzająca: SPD straciła władzę we własnej twierdzy, landzie, który od 39 lat na nią głosował. W Berlinie siedzi jeszcze Lewicowy kanclerz, ale chadecy rządzą już w 11 spośród 17 krajów związkowych. Gerhard Schröder uznał, że czas oddać głos obywatelom, i zapowiedział na wrzesień przedterminowe wybory do Bundestagu.

Jeszcze na dzień przed porażką towarzysze z SPD łudzili się, że zdołają przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść. Na tle reszty Niemiec bilans gospodarczy Nadrenii Północnej-Westfalii za ubiegły rok jest optymistyczny: produkcja stali osiągnęła 46,4 miliona ton, produkt krajowy Nadrenii wyniósł 480 miliardów euro, więcej niż całej Federacji Rosyjskiej. Wzrost gospodarczy przekroczył w tym roku 1,1 procent (0,7 będzie w całych Niemczech), powstało 10 tysięcy miejsc pracy, a górniczo-hutniczy region przekształcił się w zagłębie usług. Jeśli więc jest tak dobrze, to czemu jest tak źle?

Bo jest druga strona medalu. W ubiegły piątek pod fabryką armatur Grohe w nadreńskim Hemer urządzono kilkusetosobową demonstrację. Pracownicy protestowali przeciw prze-

jęciu fabryki przez amerykański fundusz inwestycyjny. Grohe przynosi zyski, ale nie dość wysokie. Menedżerowie z USA wiedzą, jak to zmienić. Zwolnią jedną trzecią pracowników w niemieckich zakładach, a produkcję przeniosą do Chin. Budżet miasta Hemer schudnie wkrótce o pięć milionów euro, a miejscowy urząd pracy zasili kilkusetosobowa grupa bezrobotnych.

ZBAWICIELE CZY SZARAŃCZE?

Nowy właściciel Grohe to jeden z zagranicznych funduszy hedgingowych, które od roku niepostrzeżenie przeobrażają niemiecką gospodarkę. Między Odrą a Renem działa dziś około 30 takich funduszy, tylko w ubiegłym roku ulokowały w Niemczech 22,5 miliarda euro. Ich strategia jest prosta: przejmują przedsiębiorstwa borykające się z problemami, restrukturyzują je, a potem wprowadzają na giełdę lub sprzedają ze znacznym zyskiem.

Jesienią amerykański fundusz Blackstone nakupił w Niemczech przedsiębiorstw za pięć miliardów euro, w tym koncern chemiczny Celanese z 10 tysiącami pracowników. Centralę przeniesiono do USA, a niemieckie zakłady pracują już według amerykańskiego modelu zarządzania. W ubiegłym roku na celowniku funduszy znalazł się nawet koncern DaimlerChrysler i Deutsche Bank. Na razie oba symbole niemieckiej gospodarki oparły się planom przejścia i restrukturyzacji.

Mniej szczęścia miała Deutsche Börse AG, spółka zarządzająca niemieckimi giełdami. Trzy tygodnie temu kontrolę nad nią przejął fundusz Children's Investment Fund (TCI) z Londynu. Zaraz potem finansjera w RFN przeżyła jeszcze większy szok: 38-letni menedżer TCI doprowadził do dymisji szefa Deutsche Börse Wernera Seiferta, jednego z tuzów niemieckiej giełdy.

Zagraniczni inwestorzy od roku prowadzą cichą, oddolną przebudowę gospodarki RFN. Szerzą anglosaski kapitalizm – nastawiony na maksymalizację zysków, a nie pielęgnowanie pracowniczych przywilejów. Działają bezwzględnie, ale nie wszędzie restrukturyzacja kończy się utratą miejsc pracy. Są przykłady uzdrowionych przedsiębiorstw, zwiększania zatrudnienia i powrotu firm w niemieckie ręce. Wygląda na to, że spekulanci z zagranicy aplikują gospodarce RFN intensywną kurację, na którą niemieccy politycy z obawy przed wyborcami nie potrafią się zdobyć.

Politycy rządzącej jeszcze SPD wolą grać na niepokoju, jaki budzi w Niemczech rosnący wpływ spekulacyjnego kapitału na gospodarkę. Tuż przed wyborami w Nadrenii Północnej-Westfalii szef SPD Franz Müntefering rozpetał „debatę o kapitalizmie”. Zagranicznych inwestorów porównał do „szarańczy” żerującej na niemieckiej gospodarce. Żli to kapitaliści, do brzyzy to wyzyskiwany i rujnowany lud pracujący, którego lewica będzie bronić do upadłego – tak brzmiało przedwyborcze przesłanie Münteferinga. W RFN zapachniało walką klasową.

Zamiast polityków gospodarke reformują obcy inwestorzy. Skupują firmy i wprowadzają w nich anglosaski kapitalizm



Gelsenkirchen 22% bezrobocia

W rzeczywistości w Niemczech toczy się zupełnie inna walka. To próba sił między globalną gospodarką a kapitalizmem z ludzką twarzą, który przez dziesięcioleci utrzymywał niemieckie państwo opiekuńcze. Efektów tej walki Niemcy doświadczają na własnej skórze. Masowo znikają miejsca pracy, niemieckie firmy same przenoszą zakłady do Europy Środkowej i Azji. Te, które zostają, tną płace, a państwo odchudza świadczenia socjalne. „Grohe dobiła globalizacja” – można było przeczytać w piątek na transparentach w Hemer.

SIEMENS DO CHIN

Niemieckie firmy wyeksportowały już trzy miliony miejsc pracy. Produkty made in Germany powstają dziś od Polski po Daleki Wschód, ale coraz rzadziej w samych Niemczech. Producent części samochodowych TRW Automotive zainwestował w Czechach, BASF buduje fabrykę chemiczną w Chinach, grzejniki Vaillant odlewa się w Europie Wschodniej, opony Continental tłoczy się dziś w Rumunii i Czechach, a telefony Siemensu będą niabawem składać Koreańczycy i Chińczycy.

Delokalizacja dotyczy nie tylko wielkich koncernów. Z Niemiec zaczynają wynosić się także średnie i małe firmy. Przenoszą produkcję nie tyle dla większych zysków, ile po to, by w ogóle przetrwać wśród rosnącej liczby konkurentów, którzy już produkują to samo dwa razy taniej w Polsce, na Litwie czy w Chinach. Dla firm, które muszą produkować w Niemczech, jest jeden sposób na obniżenie kosztów: tania siła robocza ze wschodu.

To, co jeszcze rok temu wyglądało na przeciągającą się niemiecką recesję, zaczyna coraz bardziej przypominać kryzys ładu gospodarczego. W styczniu liczba bezrobotnych przekroczyła psychologiczną granicę pięciu milionów osób. 12,5 procent to mało w porównaniu z Polską, ale w Niemczech tytu bezrobotnych było ostatni raz w roku 1932. Kilka tygodni temu obniżono o połowę prognozowany wzrost gospodarczy na bieżący rok – PKB Niemiec wzrośnie w najlepszym razie o 0,7 procent. Po beztrzymnym dobrobycie dawnej RFN zostały już tylko wspomnienia.

79 procent Niemców jest dziś zdania, że państwo nie chroni ich dostatecznie przed skutkami dzikiego kapitalizmu i globalizacji. Politycy SPD chcą ograniczyć wpływy fundu-



Tutów 62% bezrobocia

sz inwestycyjnych. Ale gospodarki nie da się włożyć pod klosz, podobnie jak nie da się odwrócić rozszerzenia Unii ani zatrzymać napływu obcego kapitału do niemieckich przedsiębiorstw. Interwencje jeszcze bardziej zadławiłyby rozwój.

ZASILEK NA PROSTYTUTKI

Aby miejsca pracy wróciły do Niemiec, państwo musiałoby stworzyć przedsiębiorcom warunki do opłacalnej działalności. A to wymaga poświęceń przede wszystkim od obywateli, bo konkurencyjność niemieckich firm zabijają wysokie płace i podatki na utrzymanie państwa opiekuńczego. Pierwsze już idą w dół, ale podatków nie da się radykalnie obniżyć, dopóki Niemcy nie zrezygnują z części socjalnych dobrodziejstw. A z tym jest najtrudniej.

– W niektórych regionach panuje mentalność zaopatrzenia – powiedział niedawno minister komunikacji i odbudowy nowych landów Manfred Stoppel. Problem wygórowanych oczekiwań obywateli wobec państwa nie dotyczy bynajmniej tylko byłej NRD. Po dziesięcioleciach prosperity Niemcy z zachodu przywykli do nadopiekuńczości, więc okrojenie niejednokrotnie absurdalnych świadczeń socjalnych nie kojarzy się z sukcesem, tylko z narodową klęską.

Nadużywanie opieki socjalnej w Niemczech nie jest sporadyczne. Do groteskowych przykładów należy przypadek Rolfa J. Gdy w latach 80. rozpadło mu się małżeństwo, wyjechał szukać szczęścia na Florydzie. Otworzył firmę handlu nieruchomościami, a gdy w 1995 roku splajtował, wysłał podanie o zapomogę do urzędu socjalnego w Dolnej Saksonii. Za przyznany zasiłek wynajął mieszkanie wyłożone marmurem, z tarasem i widokiem na Miami Beach.

Przez dziewięć lat rząd federalny co miesiąc wpłacał na jego amerykańskie konto 783 euro na czynsz, 645 na utrzymanie, 124,60 na lekarstwa i środki medyczne, 78,60 na środki higieny osobistej i czystości, 129 euro na „inne potrzeby” oraz dodatek na opłacenie sprzątaczk – ogółem 1906,20 euro. Suma ta przelewana była na podstawie obowiązujących do dziś przepisów o pomocy socjalnej dla Niemców poza granicami kraju.

Przed kilkoma dniami sąd w Koblencku przyznał pewnemu urzędnikowi zwrot kosztów za zakup viagry. Wcześniej rozgłos uzyskał Helmut H. z Asbach, który podał urząd socjalny do sądu, bo ten odmówił mu refundacji wizyt w domu publicznym. Jak uzasadniał ów 30-letni mężczyzna, z usług prostytutek korzystał dla zachowania „równowagi psychicznej”. Helmut H. żądał też zwrotu pieniędzy za wypożyczenie 32 filmów pornograficznych, kupno gumowej lalki oraz dwa egzemplarze gazety z anonsami

o „kontaktach towarzyskich”. Ponieważ najbliższe domy publiczne są w Norymberdze, a wypożyczalnia kaset wideo w powiecie Weissenburg, prosił również o dopisanie stu euro za dojazdy. Pan Helmut ma żonę pochodzącą z Tajlandii, która wyjechała z wizytą do ojczyzny. Gdy zabrakło jej pieniędzy na powrót, osamotniony mąż wystąpił do urzędu o zakup biletu lotniczego.

PÓŁ KRAJU NA KROPLÓWCE

Ale niemiecką gospodarkę dławi nie tylko globalizacja i wygórowane oczekiwania obywateli wobec państwa. W nadreńskim Gelsenkirchen, mieście piłkarskiej jedenastki Schalke 04, bezrobocie sięgnęło 25 procent. Gelsenkirchen tonie w długach, nie ma pieniędzy na walkę z własnym bezrobociem, musi za to płacić miliony na konto byłej NRD. Nadburmistrz Oliver Wittke jest zirytowany: – My mamy większe potrzeby niż oni – mówi.

W państwo Ericha Honeckera wpomówiono już prawie dwa biliony euro, a różnica w rozwoju gospodarki po obu stronach Łaby zamiast zniknąć, stale się utrwała. Jak obliczano w chwili zjednoczenia, aby dogonić RFN, dawne państwo robotników i chłopów powinno przez 15 lat wykazywać trzykrotnie większy wzrost gospodarczy. Takie tempo

okazało się fikcją. 15 lat minęło, a nowe landy wciąż nie są samowystarczalne.

Demmin to wschodnie Niemcy w mikro-skali: pięknie odrestaurowany kościół na rynku wyłożony polbrukiem, wokół odnowione fasady domów, nowe pasáže handlowe, podziemny parking, nowy bank, tylko z pracą jest po staremu. Jak nie było, tak nie ma. Klaus Welke z miejscowego zakładu kształcenia zawodowego rozkłada ręce: – Nic nie można zrobić. Tu wszyscy żyją na kroplówce.

Jürgen Höppner przed zjednoczeniem pracował w fabryce musztardy w pobliskim Tutowie. Po 1990 roku jego firma padła, a on w wieku 58 lat przeszedł na rentę. Dziś jest przedterminowym emerytem”. Syn pracujeorywczco „przy transporcie”, a drugi pojechał szukać szczęścia w Regensburgu. W Tutowie zatrudnienia nie ma 62 procent mieszkańców. To niemiecki rekord.

Podczas gdy miasta na wschodzie pachną farbą, na zachodzie odpadają tynki, bezrobocie w wielu aglomeracjach jest wyższe niż w dawnej NRD. Klub automobilowy ADAC alarmuje: remontu wymagają obecnie przede wszystkim drogi w starych landach. Według „Paktem solidarnościowym II” Niemcy wschodnie otrzymają do 2019 roku

dopłaty w wysokości 156 miliardów euro, ale od 2008 roku państwowa kroplówka będzie stopniowo odstawiana.

PAT SCHRÖDERA

W Nadrenii Północnej-Westfalii SPD zapłaciła za spóźnienie reform. Cięcia socjalne z pakietu „Agenda 2010” i reforma rynku pracy „Hartz IV” działają dostatecznie długo, by obywatele odczuli ich negatywne następstwa, ale zbyt krótko, by mogli już zobaczyć pozytywne skutki swoich wyrzeczeń.

Niektórzy mają wątpliwości, czy reformy kiedykolwiek przyniosą oczekiwane efekty. Niemiecka gospodarka potrzebuje zmian strukturalnych, a nie liftingu. Schröder zdaje sobie z tego sprawę i byłby pewnie gotów je przeprowadzić, ale ma przeciw sobie niechętnie społeczeństwo i lewe skrzydło własnej partii, któremu nie podobają się nawet trwające już reformy. Na początku maja kanclerz musiał zrezygnować z zapowiedzianej obniżki podatków dla firm, bo nie znalazł wystarczającego poparcia nawet we własnej koalicji.

Zamiast zadbać o niemieckich przedsiębiorców, szef SPD wolał wsiąść na inwestorów. Müntefering liczył na to, że w ten sposób obłaskawi partyjny beton i zmobilizuje rozczarowanych wyborców lewicy w Nadre-

nii Północnej-Westfalii. Po siedmiu latach rządów „towarzysza bossów” nikt nie uwierzył w szczerą nagłą powrotu SPD do socjalistycznych ideałów. Nadrenia przepadła.

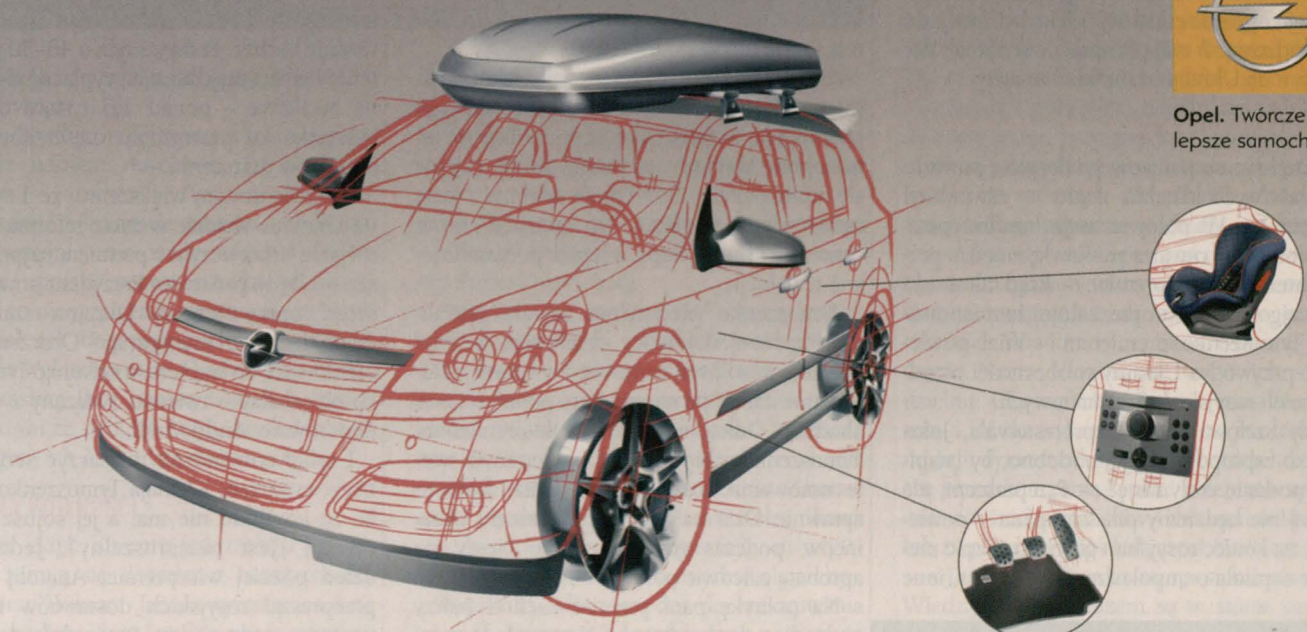
Schröder uciekł tymczasem do przodu. Zarządzając przedterminowe wybory do Bundestagu, zaskoczył wszystkich. Towarzysze z SPD muszą wybrać między wiernością tonącemu państwu opiekuńczemu a nieuniknionymi reformami. Chadecy też znaleźli się w trudnej sytuacji. Liczyli na to, że czarną robotę wykona za nich lewica, a po przejęciu władzy w 2006 roku ograniczą się do zbierania plonów reform. Teraz muszą w błyskawicznym tempie przedstawić własny program wyprowadzenia gospodarki na prostą.

Jeśli wybory odbyłyby się dziś, SPD przegrałaby je z kretesem. Ale Gerhard Schröder nie traci nadziei na reelekcję. Pytani, kogo woleliby na czele państwa – szefową CDU Angelę Merkel czy urzędującego kanclerza – Niemcy wskazują na tego ostatniego. Jedno wszakże jest pewne: bez względu na to, kto wygra, po jesiennych wyborach rozpocznie się nowy etap przebudowy Niemiec.

PIOTR CYWIŃSKI, BERLIN

Podyskutuj na ten temat w portalu Wirtualna Polska w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Oryginalne akcesoria Opel. Idealne dopasowanie.



Opel. Twórcze myślenie – lepsze samochody.

Wybieraj tylko oryginalne akcesoria marki Opel. Jedyne, które zostały zaprojektowane z myślą o Twoim samochodzie oraz takie, które gwarantują wysoką jakość i bezpieczeństwo. Odwiedź Autoryzowany Serwis Opla. Skorzystaj z atrakcyjnej oferty na oryginalne akcesoria audio, akcesoria przestrzeni bagażowej, felgi ze stopów lekkich, wyposażenie elektryczne oraz wiele, wiele innych. Teraz oryginalne akcesoria do 20% taniej.

POMARAŃCZOWY ROZWÓD?

Pół roku po rewolucji Ukraina wraca na ziemię.

Wiktor Juszczenko i Julia Tymoszenko się kłócą, Rosja zakręca kurek z ropą, a dawna opozycja dzieli się przed przyszłorocznymi wyborami.

Brakuje tylko reform

Jesienią ubiegłego roku przypominali dobre małżeństwo. Wiktor Juszczenko nigdy nie zostałby prezydentem Ukrainy, gdyby nie jego polityczna sojuszniczka i prawa ręka Julia Tymoszenko. Dziś on jest prezydentem, ona – szefem rządu. I dalej przypominają małżeństwo, tyle że takie, które nie może już ze sobą wytrzymać.

Pretekst do „małżeńskiej” awantury nadał się w maju. Rosja podwyższyła cła eksportowe na ropę naftową, benzyna na Ukrainie natychmiast zaczęła drożeć. Tymoszenko wypowiedziała wojnę rosyjskim monopolistom. Rząd wprowadził natychmiast zakaz podnoszenia cen przez stacje benzynowe, dobrze wiedząc, że również one znajdują się w większości w rękach Rosjan. I zagroził, że zacznie szukać ropy gdzie indziej. Efekt był łatwy do przewidzenia: 7 maja Rosjanie wstrzymali dostawy, a na Ukrainie zabrakło benzyny.

RÓŻNIC SIĘ PIĘKNIE

– Do kryzysu paliwowego doszło z powodu niewłaściwych działań rządu – oświadczył Juszczenko. W połowie maja konflikt przekształcił się w otwartą pyskówkę między prezydentem i panią premier. – Rząd ukraiński jest najgorszy w Europie, żałuję, że mianowałem Tymoszenko premierem – miał powiedzieć przywódca Ukrainy w obecności przedstawicieli rosyjskich firm naftowych.

Gdy szefowa rządu zaprotestowała, Juszczenko zaproponował jej podobno, by „napisała podanie o dymisję”. – Przepraszam, ale dzisiaj nie będziemy pili szampana – powiedział na koniec rosyjskim gościom. Część mediów napisała o „upokorzeniu” Ukrainy, inne



twierdziły, że uwagi prezydenta były tylko ironią i że zostały źle zrozumiane.

Konflikt wisiał nad Ukrainą od samego początku rewolucji. „Juszczenko i Tymoszenko pod wieloma względami mają różne poglądy na gospodarkę kraju – przynajmniej tygodnik „Dzjerkało Tyżnia”. – Prezydent jest zwolennikiem metod rynkowo-liberalnych, premier – regulowania gospodarki”.

Ale różnice nie dotyczą tylko ekonomii. Juszczenko jest zwolennikiem narodowego pojednania, Tymoszenko chce rozliczeń; on ma opinię skrajnie uczciwego, za nią ciągnie się opinia aferzystki. Oboje ambitni, mają żądane władzy zaplecze. Ich „rozwód” może oznaczać koniec ekipy, rozpad pomarańczowej rewolucji.

Tymoszenko precyzyjnie zagrała populistyczną kartą. Ukraińcy oczekiwali, że rząd będzie kontrolował ceny, więc w sporze z Rosjanami stanęli po stronie pani premier. I o to chodziło. Odkąd w lutym została premierem, Tymoszenko robi wszystko, by poprawić swoje notowania kosztem prezydenta. Robi to sprawnie. Dziś ma poparcie 57 procent Ukraińców, podczas gdy Juszczenko cieszy się aprobatą zaledwie połowy.

Na politykę pani premier Zachód patrzy niekiedy z dezaprobatą. – Nowe władze spędziły większość czasu, koncentrując się na sprawach personalnych, i nie skierowały do parlamentu żadnych konkretnych projektów

ustaw – twierdzi Stuart Hensel z Economic Intelligence Unit. Zamiast tego Tymoszenko rozdaje budżet. Podwyższyła o 40–50 procent renty i emerytury, zaczęła wypłacać gigantyczne becikowe – ponad 1,6 tysiąca dolarów. Wszystko ku przerażeniu części liberalnych doradców Juszczenki.

Przerażeniu tym większemu, że 1 września na Ukrainie wejdzie w życie reforma konstytucyjna, która uczyni z premiera najpotężniejszą osobę w państwie. Prezydent straci większość uprawnień, a Ukraina stanie się demokracją parlamentarną. – Otoczenie Juszczenki chce do tego czasu odsunąć Tymoszenko od władzy – twierdzi związany z premierem deputowany Andrij Szkil.

I tylko tym można tłumaczyć serię dziwnych wydarzeń. 22 maja Tymoszenko ogłosiła, że konfliktu nie ma, a jej sojusz z Juszczenką „jest nienaruszalny”. Jednak już dzień później wicepremier Anatolij Kinach przeproszał rosyjskich dostawców ropy za postawę rządu. Także Rosja dała do zrozumienia, że w konflikcie stoi po stronie Juszczenki – zaledwie trzy dni potem moskiewski prokurator wojskowy ni stąd, ni zowąd przypomniał, że Tymoszenko wciąż oskarżona

jest w Rosji o korupcję i objęta rosyjskim listem gończym.

Mimo konfliktów kijowska ulica wciąż pozytywnie odbiera rewolucję. Zdeklarowani przeciwnicy Juszczenki i Tymoszenko stanowią zaledwie kilkanaście procent. – Ukraina nigdy wcześniej nie знаła takiej wolności, wolności prasy, prawa do krytykowania władz, i to nieograniczającego się do półlegalnych pismek opozycyjnych – mówi Radiu Swoboda wykładowca w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej Ihor Łosew. Ukraińcy są bardziej dumni ze swojego kraju, bo dziś jest on postrzegany na Zachodzie dużo lepiej.

REŻIM NA WOLNOŚCI

Dawna ekipa Kuczmy jest rozbita. Oligarchowie starają się dogadać z nową władzą, a elektorat Wiktora Janukowycza poszukuje nowych wodzów. Sam Janukowicz i szef administracji Kuczmy Wiktor Medwedczuk oskarżyli niedawno władze o autorytaryzm i gwałcenie konstytucji, ale zrobili to tylko dlatego, że czują się zagrożeni. 6 kwietnia aresztowano by-

alizm pomarańczowej rewolucji wyładowały na półce. A może po prostu Ukraina normalnieje.

LUD CHCE IGRZYSK

Gdy Tymoszenko występuje razem z Juszczenką, stanowią duet nie do pokonania. Kiedy zbuntowały się służby celne, którym nie spodobał się rządowy program antykorupcyjny, mówili jednym głosem. Strajk celników został złamany, granice odblokowano. Społeczeństwo było też zadowolone, gdy 28 kwietnia Juszczenko ogłosił, że państwo wyrzuciło z pracy 18 tysięcy „skorumpowanych urzędników”. Zapowiedź zrewidowania prywatyzacji „trzech tysięcy przedsiębiorstw” przysporzyła Tymoszenko nowych zwolenników.

Zagraniczni inwestorzy zareagowali mniej entuzjastycznie. Oczekują, że wielki biznes zostanie pozostawiony w spokoju, a kraj będzie się rozwijał ewolucyjnie, a nie w sposób skokowo-populistyczny. To Juszczenko, a nie pani premier, jest nadzieją ukraińskiej gospodarki. „Krytycy powiadają, że rząd Tymoszenko wykazuje tendencje przypominające Rosję Putina” – pisze niemiecki „Der Spiegel”.

Bardzo wiele szkody wyrządził rewolucji skandal wokół młodzieżowej organizacji Pora, która odegrała niepoślednią rolę w czasie rewolucji. Gdy Pora próbowała przekształcić się w partię polityczną, potraktowano ją według scenariusza znanego z putinowskiej Rosji – ministerstwo sprawiedliwości dopatryło się nieścisłości przy rejestracji nowego ugrupowania. Część obserwatorów twierdzi, że nie jest to przypadek. Pora mogłaby odebrać starą gwardię opozycyjnej najbardziej radykalny elektorat przed przyszłorocznymi wyborami.

Wielu ekspertów jest zdania, że przepychanki na szczytach ukraińskiej władzy odzwierciedlają poważne podziały, ale nie doprowadzają do niczego przed marcowymi wyborami parlamentarnymi. Obecna władza musi je wygrać, jeżeli nadal chce rządzić Ukrainą. Wiadomo, że blok Wiktora Juszczenki Nasza Ukraina nie wygra ich samodzielnie. Czy tego chce, czy nie, musi zaciśnąć zęby i iść do wyborów razem ze zwolennikami Julii Tymoszenko, a po wyborach lub jeszcze przed kampanią szukać kolejnych sojuszników wśród socjalistów Ołeksandra Morozowa lub zwolenników Wołodymyra Łytwny.

– Julia i Juszczenko są na siebie skazani. Wiedzą, że tylko razem są w stanie realnie sprawować władzę – mówi jeden z kijowskich obserwatorów. A więc małżeństwo z rozsądku.

SOFTWARE

TONIE W INSULINIE

MICHAŁ MATYS

Skomputeryzował już niemal wszystko co państwowe. Na giełdzie zawierane są teraz zakłady, czy **RYSZARD KRAUZE** wycofa się z Prokomu Software i przeczuci na farmaceutyki i budownictwo

Prowadzi dla przyjemności. W Gdyni, gdzie mieszka, można zobaczyć, jak swoim mercedesem wozi ochroniarzy. Bez nich się nie rusza – obawia się o bezpieczeństwo.

Ryszard Krauze sam wygląda jak ochroniarz – blisko dwa metry wzrostu, jasnoniebieskie, świdrujące oczy i niesforna blond grzywka. Wygolony na skroniach i karku. Wyróżnia go władczość: zdecydowane gesty, nieznoszący sprzeciwu głos. I to, że namiętnie pali cygara. Gdy jest zły, puszcza rozmówcom kółka nad głowę. Ale gdy chce, potrafi być jowialny i ujmujący. Lubi sam trzymać kierownicę samochodu, tak samo lubi podejmować osobiście najdrobniejsze decyzje we własnej firmie.

Założył Prokom Software, najpotężniejszą firmę komputerową w Polsce. Zasłynęła z komputeryzacji ZUS. Ale Krauze wykonuje właśnie duży obrót kierownicą i wprowadza ją w ostry zakręt: sprzedaje akcje, zbierając pieniądze na jeszcze większe przedsięwzięcia.

Pierwsze to Bioton – fabryka insuliny i antybiotyków, od marca na warszawskiej giełdzie. Za trzy lata ma sprzedawać leki za półtora miliarda złotych rocznie na całym świecie. Ma stać się numerem 1. Drugie to Miasteczko Wilanów, nowa ogromna dzielnica w stolicy, inwestycja warta cztery miliardy złotych.

PRAWIE JAK WIELKI BRAT

Prasa nazwała Krauzego „łowcą państwowych zleceń” – Prokom Software lub związane z nim firmy budowały sieci komputerowe w najważniejszych instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych. Lista jest długa: ZUS, kancelaria premiera, ministerstwa: Finansów, Obrony, Spraw Wewnętrznych, Edukacji, NIK, agencje Rynku Rolnego i Własności Rolnej, Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełno-

sprawnych, PKO Bank Polski, PZU, Polskie Radio, Poczta Polska, elektrownie, zakłady energetyczne, Rafineria Gdańska oraz do niedawna państwowa Telekomunikacja Polska.

Opozycja w Sejmie obawia się, że jak tak dalek pójdzie, Krauze stanie się podparującym każdego obywatela Wielkim Bratem. Poseł Andrzej Czerwiński z Platformy Obywatelskiej pytał, jak to możliwe, że Prokom „uzyskał dostęp do największych i najważniejszych baz danych osobowych w Polsce”. Krauze w odpowiedzi puka się w czoło. Ale może mieć kłopoty, bo jeśli PO wygra wybory, to ta partia wybierze wykonawcę systemów komputerowych dla wojska i służby zdrowia. Każdy za blisko miliard złotych.

Krauze skutecznie konkurował w Polsce z amerykańskimi gigantami komputerowymi. Jednak po wejściu Polski do Unii Europejskiej jest trudniej. Finansiści w Londynie chwalili Prokom, ale pytali: „Dlaczego jesteście tacy mali?”. Poza Polską nie udało mu się zdobyć wielkich zamówień na komputeryzację.

Amerykański „Forbes” w 1998 roku umieścił Krauzego na liście najbogatszych ludzi świata. Dziś polska edycja pisma szacuje jego majątek na 1,3 miliarda złotych. W rankingu „Wprost” od 2000 roku, gdy stał się znany z komputeryzacji ZUS, mieścił się w czwórce najbogatszych Polaków. W zeszłym roku był na drugim miejscu z majątkiem szacowanym na 2,85 miliarda złotych. W tym roku jest siódmy, a „Wprost” ocenia jego wartość na 1,8 miliarda złotych (o 500 milionów lepiej niż „Forbes”). Spadek w rankingu to efekt sprzedawania akcji Prokomu i spadku ich kursu.

KOMPUTEROWY MÓZG

Spółka Bioton, dziś fabryka insuliny i antybiotyków, powstała w sierpniu 1989 roku. Produkcję zaczęła cztery lata później. – Wytypowaliśmy 10 najlepszych

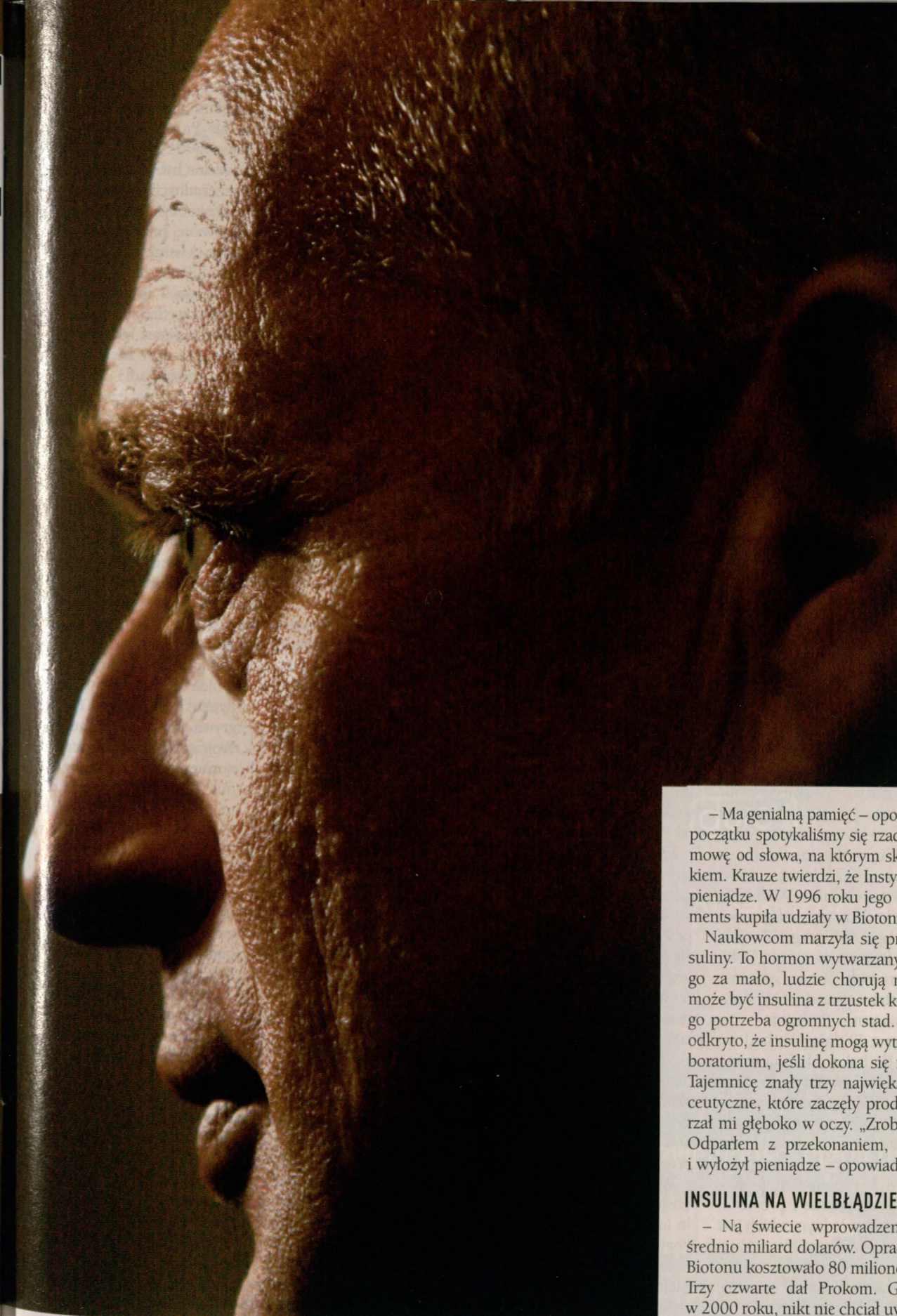
światowych leków i zaczęliśmy je produkować. Prawo wówczas na to zezwalało. To były cefalosporyny – antybiotyki przeciwko ciężkim zakażeniom. Odnieśliśmy sukces, bo rynek był pusty – mówi Piotr Borowicz, obecny dyrektor Instytutu Biotechnologii i Antybiotyków.

Instytut był jednym z dwóch udziałowców Biotonu. Drugim – tajemniczy fundusz Denton Enterprises z siedzibą w Panamie. Reprezentował go Edward M., polonijny biznesmen z USA. Chodził w garniturze i czarnych nike’ach. Znał generałów z MSW i grube ryby z SLD.

Edwarda M. w 2002 roku prokuratura zatrzymała w związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa generała Marka Papyły – świadek zeznał, że M. szukał kogoś, kto weźmie zlecenie na generała. Został jednak zwolniony, wyjechał do USA i nie wraca, bo znów jest ścigany.

Gdy Edward M. wycofał się z Biotonu, okazji do zainwestowania szukał właśnie Ryszard Krauze. – To komputerowy mózg. Myśli dekadę do przodu. Przewidział komputeryzację. Teraz przewiduje rewolucję w biotechnologii – mówi jego współpracownik.

FOT. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM



– Ma genialną pamięć – opowiada Borowicz. – Na początku spotykaliśmy się rzadko. Ale zaczynał rozmowę od słowa, na którym skończyliśmy przed rokiem. Krauze twierdzi, że Instytut miał pomysł, a on pieniądze. W 1996 roku jego firma Prokom Investments kupiła udziały w Biotonie.

Naukowcom marzyła się produkcja ludzkiej insuliny. To hormon wytwarzany w trzustce. Jeśli jest go za mało, ludzie chorują na cukrzycę. Lekiem może być insulina z trzustek krów i świń. Ale do tego potrzeba ogromnych stad. Na początku lat 80. odkryto, że insulinę mogą wytworzyć bakterie w laboratorium, jeśli dokona się rekombinacji genów. Tajemnicę znały trzy największe koncerny farmaceutyczne, które zaczęły produkcję. – Krauze zajął mi głęboko w oczy. „Zrobi pan to?” – zapytał. Odparłem z przekonaniem, że zrobię. Uwierzył i wyłożył pieniądze – opowiada Borowicz.

INSULINA NA WIELBŁĄDZIE

– Na świecie wprowadzenie nowego leku to średnio miliard dolarów. Opracowanie insuliny dla Biotonu kosztowało 80 milionów złotych – dodaje. Trzy czwarte dał Prokom. Gdy lek był gotowy w 2000 roku, nikt nie chciał uwierzyć, że wyprodukowano go w Polsce. Sławy naukowe pytały Borowicza, czy przypadkiem nie znalazł go pod płóciem. Posypały się nagrody: godło Teraz Polska, tytuł Lek

Dziesięciolecie, nagroda Prezydenta RP. Ale Bioton nie mógł sprzedać leku w Polsce, mimo że był tańszy od zachodnich. – Z wielkimi koncernami trudno konkurować. Ich budżet na promocję jest taki jak cały budżet Biotonu – mówi Borowicz.

Insulinę przepisują lekarze, a refunduje ją państwo. W 2002 roku minister zdrowia ustalił dwie sumy do zwrotu – większą dla zachodnich koncernów, mniejszą dla Biotonu. Zrównał je dopiero po roku. Bioton uratowali Egipcjanie. W 2003 roku kupili siedem razy

lat. Skończył technologię budowy maszyn na Politechnice Gdańskiej. W 1984 roku wyjechał do Niemiec za pośrednictwem państwowej centrali Polservice. Pracował tam w spółce Mole Lederwarenhandel, która handlowała wyrobami ze skóry.

Po powrocie w 1986 roku zetknął się z Ryszardem Kajkowskim, uważanym wtedy za geniusza informatyki w Polsce.

– Nie miał pojęcia o informatyce. Ale przywoził gotówkę i chciał ją zainwestować – wspomina Kajkowski. W ten sposób powstała spół-

Krauze twierdzi, że to wina polityków, którzy wciąż zmieniali prawo.

– Nie jestem polskim oligarchą... Tak może jestem nazywany, ale Prokomu nie kupiłem 18 lat temu od państwa za złotówkę. Kiedy go zakładałem, ta dziedzina była pustym polem. Nie eksploatuję też żadnych surowców jak każdy porządny rosyjski oligarcha. Pracuję na bazie zleceń i zamówień, przede wszystkim dla rynku prywatnego, a w części dla państwa – mówił w 2004 roku „Przekroju”.

Aby poprawić wizerunek firmy, zatrudnił najlepszych dziennikarzy. Szefem biura komunikacji został były zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Wprost” Marek Zieleniewski, zastępcą Krzysztof Król, były poseł KPN. W zarządzie Prokomu znalazła się Beata Stelmach, była rzeczniczka Komisji Papierów Wartościowych i Giełd.

Sam z dziennikarzami rozmawia rzadko, zwykle na konferencjach. Najczęściej o koszykówce i tenisie. Koszykówkę trenował w liceum, w Starcie Gdynia. Miał ogromny wyskok. Gdy blokował, żaden zawodnik nie był w stanie minąć tego wielkiego, upartego i zaciętego faceta. Awansował do kadry. Ale zrezygnował dla studiów. Sponsoruje koszykarzy Prokomu Trefl z Sopotu. Po ich awansie do Euroligi gazety pisały: „Dał nam przykład Prokom, jak zwyciężać mamy”.

Kibice skandowali: „Rychu, Rychu!”. W tenisa Krauze grywa regularnie. Trenuje go Wojciech Fibak, teraz biznesmen, który kilka lat temu skupował gazety lokalne. Pomagał mu Marek Modecki, dziś członek rady nadzorczej Prokomu i doradca Jana Kulczyka, dla którego organizował spotkanie w Wiedniu z byłym oficerem KGB Władimirem Ałganowem. Najślynniejsze były jednak mecze Krauzego z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, stałym gościem turnieju w Sopotcie.

Ci, którzy zetknęli się z Krauzem, mają krańcowe opinie. – Potrafi być czarujący. W 15 minut owinie każdego wokół palca. Najgorszego wroga zmieni w przyjaciela – mówi kontrahent.

Ale podwładni się go boją. Rządzi silną ręką, chce osobiście rozstrzygać każdą sprawę – krąży anegdota, że decyduje o służbowych delegacjach. Przychodzi do biura o dziwnych porach, zwołuje nocne zebrania. Pewien dziennikarz opowiada o sekretarce, która otworzyła drzwi do gabinetu, ale bała się zająrzeć, czy w środku jest Krauze.

Lech Kaczyński mówi: – Poznałem go, gdy odszedłem z polityki i pracowałem na Uniwersytecie Gdańskim. Nie byłem wtedy nikim

Krauze kupił 170 hektarów ziemi w warszawskim Wilanowie. Na prywatnym gruncie powstanie nowa dzielnica dla 25 tysięcy mieszkańców

Fot. SERWIS PRASOWY

Przychodzi do biura o dziwnych porach, zwołuje nocne zebrania. Sekretarka, otwierając drzwi do jego gabinetu, boi się sprawdzić, czy Krauze jest w środku

więcej insuliny niż Polacy. – W świecie arabskim insulina wieprzowa jest nie do przyjęcia – mówi Mohammed Al-Khafagi, spokrewniony z rodziną królewską w Maroku absolwent budownictwa Politechniki Gdańskiej. – Mam kontakty, umiem dotrzeć do ludzi. Wielbłądy, których jestem właścicielem, prowadzą mnie, gdzie trzeba – dodaje Al-Khafagi. Zasiada w radzie nadzorczej Biotonu za sprawą Jacka Merkla, z którym prowadzi firmę Caravana. Merkel, dawny minister u prezydenta Wałęsy, współpracował z Krauzem w Prokomie.

Caravana handluje z Bliskim Wschodem, wysyła leki Biotonu do Iraku. Ale Krauze ma większe plany. Bioton buduje fabrykę insuliny w Orle koło Moskwy, kupił udziały w spółce SciGen w Singapurze, która zacznie sprzedawać od Chin i Indii aż po Australię. – Krauze zajął się biznesem, a my badaniami. To dla nas idealne – uważa Borowicz. Wprowadził do Biotonu fachowców od zarządzania i promocji, handlowców i finansistów. Jednym z nich jest Alicja Kornasiewicz, była wiceminister skarbu, dziś prezes austriackiego banku CA IB w Polsce. Zasiada w radzie Biotonu.

NIE JESTEM OLIGARCHĄ

Dokładnie nie wiadomo, jak Ryszard Krauze zarobił swój pierwszy milion dolarów. Ma 49

ważnym. Był dla mnie sympatyczny. Ale po wyborach przyjrzyliśmy się wszystkim państwowym kontraktom, w tym także informatycznym.

PIENIĘDZY JEST DUŻO

Naprzeciwko pałacu w Wilanowie stoi las dźwigów i szkieleców budynków. Trzy lata temu było szczere pole. Na 170 hektarach zamieszka 25 tysięcy ludzi. Obecnie Wilanów liczy 14 tysięcy. Dzielnica ma być wzorowana na osiedlach w królewskim Westminsterze w Londynie.

W 1999 roku ziemię sprzedała Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. Kupił ją za 400 milionów złotych Prokom Investments Krauzego. Zarządza nim Zbigniew Okoński, minister obrony za prezydentury Lecha Wałęsy. – Decyzję podejmowałem, kiedy jeszcze nie było przesądzone, że znajdziemy się w Unii Europejskiej i otworzą się gigantyczne możliwości – mówi Krauze. – Chciałem zostawić po sobie coś trwałego.

Domy postawili już Holendrzy z firmy Robyg BV (wprowadził się tam wiceprezes Okoński). Buduje PKO Bank Polski, lekarska. W ubiegłym tygodniu Krauze zawarł spółkę z hiszpańską Fadesą. Chcą razem stawiać osiedla w całym kraju. – Pieniądze na inwestycje można znaleźć. Jest ich dużo w Polsce i Europie. Trzeba mieć tylko dobry projekt – mówi Krauze. – Może mieć jednak kłopoty. Planował, że w Wilanowie sprzeda część ziemi pod centrum handlowe. Ale zaprotestowali mieszkańcy, poparli ich prezydent Warszawy Lech Kaczyński.

Prokom liczy na grunty w centrum Gdyni. Odkupił od spółkobierców akcje przedwojennego Pierwszego Polskiego Towarzystwa Kąpielisk Morskich. Domaga się teraz prawa do 17 hektarów na Wzgórzu Świętego Maksymiliana i Kamiennej Górze, najmodniejszych i najdroższych w mieście.

Na Kamiennej Górze posiadłość (wewnątrz rezydencji sala kinowa) ma sam Krauze – sześć tysięcy metrów z widokiem na Zatokę Gdańską. Zamierza wybudować kolejny dom w Wilanowie, choć już ma pałac w Konstancinie.

KAPINANIE CIĘCIWIY

Od początku 2004 roku Krauze sprzedał około 1,3 miliona akcji Prokomu Software. Zyskał 200 milionów złotych. Ale zmniejszył stan posiadania z 30 do 21 procent. – Nie zamierzam opuszczać Prokomu. Gdy przychodzą do mnie przedstawiciele koncernów z propozycją zakupu, odpowiadam, że mam inny pomysł: partnerstwo – zapewnia.

Dlaczego więc sprzedaje akcje? – Musiałem pozyskać pieniądze na rozwój – twierdzi. Analitycy podejrzewają, że Krauze gromadzi pieniądze także w inny sposób: należące do niego firmy kupują i sprzedają między sobą własne akcje. Krauze odpowiada, że je „restrukturyzuje”, bo chce „napiąć cięciwę” i przygotować je „do nowych wyzwań”.

– Krauze sam podejmuje decyzje. Inni akcjonariusze nie mają nic do powiedzenia. Nie podoba się im taki styl prowadzenia biznesu. Dlatego sprzedają akcje Prokomu – mówi Włodzimierz Giler, analityk Deutsche Bank Securities. Zaczęły to robić amerykańskie Bank of New York oraz J.P. Morgan.

Od początku 2004 roku kurs akcji Prokomu spadł z 220 do 95–93 złotych. Giler uważa, że Krauze już przestał zajmować się informatyką, Prokom nie zawiera nowych kontraktów na komputeryzację. Przewiduje: – To prawdopodobne, że Krauze sprzeda Prokom. Wszystko zależy od ceny akcji. Na razie jest niska. Ale jeśli pojawi się dobra oferta, to kto wie. – Z pokorą przyjmuję wątpliwości rynku – odpowiada Krauze.

MICHAŁ MATYS

Aaaaaaaaaa!!!... Aaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaa!!!... Aaaaaa!!!... Aaa!!!...
Aaaaaaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaa!!!... Aaaaaaaaaaaaa...
Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!...
Aaaaaa!!!... Aaaaaa!!!...
Aaaaaa!!!... Aaaaaa!!!...
Aaaaaa!!!... Aaaaaa!!!...

Aaaaaby wzmocnić wrażenia...



Przyjemności nigdy dość



Durex Pleasuremax – połączenie prążków i wypustek z kształtem ułatwiającym zakładanie (easy-on) – maksimum przyjemności dla obojga.



W celu uzyskania dodatkowych informacji odwiedź stronę www.durex.pl

Kocha ZSRR, żąda likwidacji rodziny, prawa do kopulacji wszystkich ze wszystkimi i wprowadzenia kultu Saturna. Pisarz **EDUARD LIMONOW** jest oszołomem, ale i jedynym w Rosji jawnym przeciwnikiem Putina

JAKUB KUMOCZ

Grudzień 2004 roku. Kilkudziesięciu bojowników Partii Narodowo-Bolszewickiej wdiera się do budynku administracji Putina, gmachu poza murami Kremla, w starej części Moskwy. Nie mają broni, barykadują się w jednym z pomieszczeń. „Putin do dymisji!” – krzyczą. Rosyjska władza nie znoś takich demonstracji, bo robią niepotrzebny szum. Milicja blokuje całą ulicę, tak by nikt nie słyszał protestu. Po kilkudziesięciu minutach dostaje się do środka i wyprowadza 40 aktywistów. Do dziś siedzą w areszcie.

Ich wódz został w domu. Nazywa się Eduard Limonow, ma 62 lata, jest pisarzem skandalistą, wiecznym bojownikiem i liderem rosyjskiej Partii Narodowo-Bolszewickiej (NBP). Kocha rewolucję, chce, by „w narodzie wrzało”, Stalina uważa za mięczaka, Putina za obrońcę kapitalizmu, a na Łotwę wysłał ludzi, by protestowali przeciwko procesom byłych enkawudzistów.



Eduard Limonow przemawia na kongresie swojej Partii Narodowo-Bolszewickiej (listopad 2004 roku)

Fot. VALERY MELNIKOV/KOMMERSANT/EAST NEWS

Polakom Limonow dał się poznać kilkakrotnie. Ostatni raz, gdy w lutym 2000 roku jego ludzie oblali farbą polską ambasadę w proteście przeciwko atakowi na rosyjski konsulat w Poznaniu. W książce „Rosyjskie psycho” nazwał Polskę „półazjatyckim krajem”. „Polaczkę czują się w tej roli jeszcze mniej naturalnie niż my” – stwierdził. Wiele lat wcześniej, w czerwcu 1989 roku, doprowadził do skandalu, przerywając antysowieckie wystąpienie Czesława Miłosza w Budapeszcie i broniąc paktu Ribbentrop–Molotow.

„Rosja – pisze Limonow w jednej ze swoich książek – potrzebuje masowej partii rewolucyjnej”. Stalin był zły, bo przez niego „rewolucja 1917 roku nie zniszczyła najbardziej reakcyjnej komórki starego społeczeństwa – rodziny”. Stalin był fatalny, bo nie skończył religii i popów, a zamiast tego „zwrócił się ku zniszczonemu już prawosławiu”. A jego następca Nikita Chruszczow był jeszcze gorszy, bo „zawrócił kraj w stronę burżuazyjnej cywilizacji światowej”. Ostatni przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow to „wsiowy głupek”, pierwszy prezydent Rosji Borys Jelcyn to „watażka”, a Władimir Putin – twórca „państwowego faszyzmu”. – W Moskwie przebiega linia frontu. Tutaj toczy się klasowo-socjalna wojna przeciwko złu – mówi dziś Limonow. – Rząd i prezydent – dodaje – to zło absolutne w biblijnym tego słowa znaczeniu.

Jego ideologia to coś przerażającego – mieszanina uwielbienia dla ZSRR z wielkoruskim szowinizmem, pogaństwem i nienawiścią wobec wszelkiej formy kapitalizmu. Chce, by w przyszłym społeczeństwie czczonego Saturna, by wszyscy ze wszystkimi kopulowali, proponuje uroczystą deflorację 13-latków. Wszystko to mówi człowiek, który przeżył ponad 15 lat na Zachodzie. Byłby uważany za ekscentryka, gdyby nie jego bojowa retoryka i nienawiść, jaką darzy go rosyjska władza.

PRAWO DO WIELKOŚCI

7 kwietnia 2001 roku Eduard Limonow wylądował w areszcie, a później w więzieniu. Akt oskarżenia: pisarz i pięciu towarzyszy partyjnych zbierali broń, próbowali wywołać zbrojny bunt wśród rosyjskojęzycznej ludności Kazachstanu, a potem zająć się Rosją. Absurd na absurdzie. W spisku pisarza uczestniczy zaledwie kilka osób, mieli kupić broń, ale Federalna Służba Bezpieczeństwa nie jest w stanie wykazać od kogo.

Sędzia okazuje się zbyt przyzwoity, by wsadzić Limonowa na 15 lat. Dostaje cztery za nielegalne posiadanie broni. Jest niewinny, bo zgodnie z rosyjską praktyką władza natychmiast po skazaniu wypuszcza go za dobre sprawowanie. – Nie odszedłem od swoich poglądów nawet na milimetr – mówi po uwolnieniu latem 2003 w Radiu Echo Moskwy.



Limonow na demonstracji nacjonal-bolszewików (maj 1998 roku)

ANTYPUTIN



Pale, rok 1992. Limonow strzela do Sarajewa podczas wizyty u zbrodniarza wojennego Radovana Karadžića

Obok: Limonow na emigracji we Francji, w tle portret Feliksa Dzierżyńskiego (rok 1987)



Limonow porywa młodych ludzi. Jego zwolennicy są gotowi iść za niego do więzienia. Dlaczego? Bo jest szczery i jako jedyny nie godzi się z dyktatem Kremla

Ediczka". Jej bohater, poeta emigrant, nienawidzi Zachodu i marzy o powrocie. Gardzi Amerykanami, mimo że żyje z ich zasiłku. „Nie chcecie płacić? To po chuj mnie tutaj wezwaliście? Możecie mieć pretensje do swojej propagandy”.

Ediczkę porzuca żona, sfrustrowany kręci się po Nowym Jorku, pracuje jako kelner, zaczyna się prowadzić z homoseksualistami – jego szczegółowo opisany stosunek z Murzynem stanie się pierwszą sceną homoseksualną w historii rosyjskiej literatury. Propaganda radziecka potrzebuje takiej wizji emigracji. Limonow wraca do łask. Przepisują go sowieckie gazety, za to wśród rosyjskiej diaspory spotyka się z ostracyzmem.

Lepiej mu w jego kolejnej ojczyźnie. W 1980 roku przenosi się do Paryża, elity intelektualne Francji widzą w nim nonkonformistę, szczerego lewaka i obrońcę gejów. Ale i one odwrócić się od pisarza, gdy wyjdą na jaw jego przekonania polityczne. W lutym 1991 roku, w czasie wojny o Kuwejt, Limonow publicznie bierze w obronę Saddama Husajna.

Pół roku później komunistyczny pucz w Moskwie obala Gorbaczowa, wciąż jeszcze bożyszcze francuskiej inteligencji. Limonow, „pisarz dysydent”, występuje w studiu telewizyjnym. – Pucz jest potrzebny, by zapobiec rozpadowi Związku Radzieckiego – mówi. Kocha ostracyzm i odrzucenie. – Bycie znienawidzonym jest ekscytujące. Czuję się wówczas jak Superman atakowany przez hordy szkaradnych liliputów – mówi.

Ostatnich miłośników na Zachodzie Limonow traci w połowie lat 90. Mniej więcej wtedy decyduje się na powrót do Rosji. Po drodze weźmie udział w kilku wojnach. W Bośni wspierać będzie „braci Serbów”. Przypadkowo trafia do filmu Pawła Pawlikowskiego o Radovana Karadžića. Na taśmie widać, jak Ediczka łąduje serię z cekaemu w bezbronne Sarajewo.

W Rosji Limonow bardziej dba o wizerunek. Zaklina się, że jego homoseksualne wynurzenia były literacką fikcją. Jest trzykrotnie rozwiedziony. Z pierwszą żoną rozstał się jeszcze przed emigracją. Druga porzuciła go

w Nowym Jorku i stała się antybohaterką „Ediczki”. Dziś mieszka podobno we Włoszech. Trzecia – Natalia Miedwediewa, piosenkarka, aktorka, a raz nawet bohaterka rozkładówki „Playboya” – zostawiła go w 1995 roku, ale przyjaźniła się z nim aż do swojej przedwczesnej śmierci przed dwoma laty. Z żadną Limonow nie miał dzieci.

Do Moskwy przywozi w 1993 roku nienawiść do zachodniej cywilizacji, kult Stalina i przeświadczenie, że gdyby nie Gorbaczow, Związek Radziecki nadal byłby imperium. Współpracuje z Władimirem Żyrinowskim, ale ich przyjaźń potrwa zaledwie parę miesięcy. Żyrinowski okazuje się człowiekiem Kremla, fikcyjnym opozycjonistą, który głosi zawsze tak, jak mu każe władza. Ich drogi się rozchodzą.

BOLSZEWICKI UNDERGROUND

Limonow wybiera dla swojego ugrupowania nazwę najbardziej prowokacyjną z możliwych. W 1994 roku powstaje Partia Narodowo-Bolszewicka mająca w herbie sierp i młot wpisane w sztandar nazistowskich Niemiec. Program pisze dla niej Aleksandr Dugin, bywalec wszelkich radykalnych kręgów. Młodych ściąga awangardowy kompozytor Siergiej Kuriechin i punkowy muzyk Jegor Letow.

O NBP mówi się w Rosji, że to „partia undergroundu”. Znaczenie polityczne niewielkie. W wyborach 1995 roku Limonow dostaje w swoim okręgu niespełna dwa procent głosów. Za to ideologia najbardziej wyraża się ze wszystkich. Zwolennicy – młodzi ludzie przypominający alterglobalistów, bojowi, radykalni i gotowi iść do więzienia. – Ludzie w moim wieku mnie nie znoszą i to uważają za normalne – przyznaje Limonow w wywiadzie telewizyjnym. – Cenią mnie za to ludzie młodego pokolenia. Jesteśmy sobie potrzebni.

Dlaczego młodzi ufają pisarzowi frustratowi na tyle, by iść dla niego do więzienia? Bo Limonow jako jedyny jest szczery i nie uznaje głównej zasady rosyjskiej polityki – a mianowicie tego, że Kreml nie tylko rządzi, ale również decyduje, kto i jak ma udawać opozycję. Ediczka to tak naprawdę symbol klęski przeciwników Putina. Rzeźbiarz Michaił Szemiakin, dawny znajomy z emigracji, nie ma co do niego żadnych złudzeń. – Mam wrażenie, że jemu wszystko wisi, wszystko oprócz jego samego. Przeszedł przez gąszcz bardzo interesujących wydarzeń, ale nie wierzę, żeby był zwolennikiem jakiegokolwiek idei.

JAKUB KUMOCH

UNIKALNA KOLEKCJA

PRZEKRÓJ MUZYKI **PRZE KROJ**



NOWA PŁYTA

największe klasyki wczesnych lat hip-hopu

esencja czarnej muzyki w tanecznym rytmie



nowa punkowa energia w gatunku, który podobno przeminął



(KAŻDA PŁYTA 29,99 ZŁ, W TYM 22% VAT)

PRZE KROJ

pomaton
KOMPANIA MUZYCZNA

Music from **EMI**

PRZEKRÓJ MUZYKI to seria składanek prezentująca różne gatunki, prądy i epizody z historii muzyki. Szukaj w najlepszych sklepach muzycznych i salonach prasowych na terenie kraju.



LUDZIE! KUPUJĄ MIESZKANIA

KUPUJ POGŁOSKI, SPRZEDAWAJ FAKTY

Można powiedzieć, że fakty są dla bogaczy i wszelkiej maści kolekcjonerów. Dla ludzi potrzebujących zysków najlepszym czasem na inwestycje są pogłoski. Powiedzmy, że zaczyna się mówić, że wybitny marszałek z Warszawy, ale chodzą słuchy, że także jakiś handlarz dziełami sztuki z Paryża czy Londynu, zaczyna się interesować twórczością naszego rodzimego, na razie niezbyt znanego, malarza Wincentego Olejnego. Takim artystą jeszcze nie zainteresuje się uczestnik wielkich aukcji, dla którego najważniejsza jest wartość kupowanych dzieł. Im większa, tym lepiej. Ale powinien się nimi zainteresować inwestor myślący o przyszłych zyskach. Jeśli zdecyduje się teraz na kupno jakiegoś obrazu naszego Wincentego Olejnego, to tak, jakby kupował pogłoski o przyszłej sławie malarza. Kiedy sława stanie się faktem, będzie to dobry czas na sprzedaż. Cena będzie szczytowa.

Ta reguła inwestycyjna bardzo spektakularnie widoczna jest na giełdach papierów wartościowych. Chodzą słuchy na przykład, że spółka Liliput produkująca lizaki zaczyna się interesować światowym gigantem w produkcji waty cukrowej The Best i będzie skupował jej akcje. Pogłoski są ryzykowne, ale to może być najlepszy czas na inwestycje. Kiedy The Best rzeczywiście skupi akcje Liliputa, będzie to najprawdopodobniej szczyt jego ceny. Niestety, większość postępuje odwrotnie. Kupuje nie pogłoski, lecz fakty. A po ogłoszeniu faktów ceny najczęściej osiągają już swoje szczyty i zaczynają spadać. Giełdy bowiem wyprzedzają przyszłość. To nie wzrost gospodarczy powoduje wzrost cen akcji. To zapowiedź wzrostu i wiara w lepszą koniunkturę napędzają ceny akcji. Ogłoszenie wzrostu gospodarczego w przybliżeniu zbiega się w czasie z końcem wzrostów cen.

Przed przystąpieniem Polski do UE sporo mówiło się o przyszłym wzroście cen nieruchomości – domów, mieszkań i ziemi. Pogłoski stają się faktem. Ceny rosną. Jest to dopiero początek procesu, o którym od czasu do czasu się mówi. Mieszkania w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Trójmieście podrożały zaledwie w ciągu roku od 8 do 12 procent. To dwu-trzykrotnie więcej niż oprocentowanie lokat bankowych. Zainteresowanie nieruchomościami jest coraz większe. Już są problemy z zaspokojeniem potrzeb. Można się spodziewać, że najbardziej będą zyskiwały na wartości dobre apartamenty w starych kamienicach, ale także te w nowych, położonych w atrakcyjnych miejscach budynkach. Rosną ceny ziemi. I jednym, i drugim coraz częściej zainteresowani są cudzoziemcy. Co prawda gruntów kupować bezpośrednio na razie nie mogą, ale Polak zawsze znajdzie sposób na ominięcie prawa. Przecież cudzoziemcy mogą być właścicielami akcji i udziałów, które przedsiębiorcy Polacy kupujący ziemię przez własne firmy chętnie im zaoferują. W ciągu ostatnich trzech lat podwoiła się liczba mieszkań kupionych przez cudzoziemców. W zeszłym roku było ich 1075. Czasem nawet po kilkanaście mieszkań kupują Anglicy, Hiszpanie, Włosi czy Irlandczycy. I nie ma się co dziwić. W Anglii koniunktura na mieszkaniach trwa już kilkanaście lat, a wzrost cen w ciągu 20 lat daje ponad 300 procent zysku. Wypieczęta wiedzą jednak, że to przynajmniej na jakiś czas musi się zatrzymać i skorygować. Ceny nie mogą bez przerwy rosnąć. Szukają więc nowych miejsc na lokowanie pieniędzy. Polska jest jednym z nich. Dla nich nieruchomości jest inwestycją. Kupują więc takie, które dają największą szansę na zysk w przyszłości. Dla większości z nas mieszkanie czy dom nadal są jednorazową inwestycją konsumpcyjną na całe życie. Takie spojrzenie na nieruchomości wraz z upływem lat będzie się zmieniać także w Polsce. Im szybciej, tym lepiej. Inaczej najbardziej przedsiębiorcy Polacy i sprytni obcokrajowcy będą nam sprzedawać drogie mieszkania, które teraz w miarę tanio kupują.

Oni kupują pogłoski. Większości przyjdzie kupować fakty.

TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1

PS Uprzedzam pytania o kapitały. Pieniądze mają banki. A stuprocentowym zabezpieczeniem kredytu może być kupowana nieruchomości.



Polskie marki do muzeum

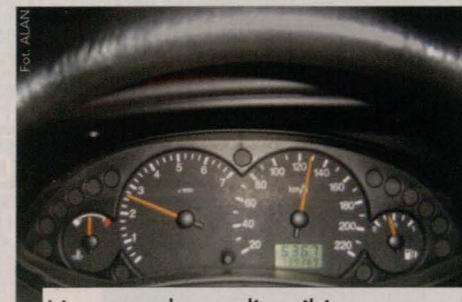
Wiele polskich marek powędrowało już do lamusa, ale nie tam niebawem trafią, ale część z pewnością przetrwa. Kiedy Cadbury kupił Wedla, chciał podziwiać nazwę odesłać do muzeum, lansując swoją własną markę. Nie chwyciło. Polak przywiązany do tradycji woli Wedla. Nie do wszystkich marek jednak jesteśmy tak przywiązani. Nie ma już Mody czy Mody Polskiej. Widać nie były aż tak mocne, skoro nie przetrwały. Inne znane w Polsce marki także nie przetrwały. Ich nowi właściciele, zazwyczaj globalne firmy, chcą mieć globalne nazwy. Bank Handlowy już jakiś czas temu stał się Citibankiem Handlowym, BSK – ING BSK i wkrótce będzie już tylko ING. Grupa Accor, właścicielka Orbisu, także chce zastąpić polską nazwę swoją własną marką. Sieć komórkowa Idea ma występować pod nazwą globalnego Orange. Interes jest obopólny. Bardziej znana światowa marka daje większe szanse na większe zyski, ale za to trzeba zapłacić. W przypadku Idei Centertel, jej właściciel, będzie musiał przez 10 lat wyprowadzić do Orange 1,6 proc. przychodów miesięcznie. Czasem pracownikom i klientom przekierowyjących i zmieniających nazwy firm łączy ten sam los. W końcu kręci, ale cóż – biznes jest biznes.

Państwowe dają lepiej zarobić

Właściwy sukces może chyba liczyć nowy gigant wybierający się na giełdę, czyli Polskie Górnictwo i Kopalnictwo Gazownictwo. Na akcje zapisy trwają od 13 do 28 czerwca. Pierwsze notowanie 1 lipca. Firma z roku na rok odnotowuje coraz wyższe zyski i warta jest 8,5 mld zł. Kontrolę nad spółką zachowa Skarb Państwa. I to, jak się okazuje, dobrze wróży przyszłym akcjonariuszom. Według „Parkietu” łatwiej zarobić jest na spółkach z udziałem Skarbu Państwa. W latach 1994–2004 kupujący akcje „państwowe” w każdej ofercie prywatyzacyjnej i sprzedający papiery na pierwszej sesji zarobiłby 22,1 proc., a tylko jedna piąta debiutów nie dałaby zysku. Statystyka nie bierze pod uwagę Banku Śląskiego, który na pierwszej sesji był notowany o 1250 proc. drożej niż cena emisyjna. To prawda, że pozostałe firmy kupione na rynku pierwotnym można było sprzedać przeciętnie z 24,3-proc. przebicciem, czyli drożej niż państwowe, ale aż 38,5 proc. spośród nich przynosiło straty. Mało tego, byłe firmy państwowe z czasem nadal na giełdzie drożały, a inne średnio traciły na wartości. Tak więc na giełdzie, która jest kwintesencją kapitalizmu, większym zaufaniem akcjonariuszy cieszą się firmy, które były kwintesencją socjalizmu. Ciekawy miks.

Walka o olej trwa

W kwietniu obawiałem się, że napisałem nieaktualny tekst. Minister finansów zapowiedział wtedy podwyżkę akcyzy na olej grzewczy i gaz w butlach i wydawało się, że premier złożył stanowczy sprzeciw. A jednak sprawa wróciła. Akcyza na olej ma wzrosnąć prawie 4,5-krotnie. Wszystko niby po to, by zamiast drogą ropą nie napędzać samochodowych diesli tańszym olejem opałowym. Podwyższona ma być także akcyza na gaz płynny używany w kuchenkach, aby cena była taka jak gazu samochodowego. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że tak naprawdę nie o walkę z szarą strefą chodzi, ale o zwiększenie wpływów do budżetu. Suma jest niebagatelna – 3 mld zł. Zapłacą ci, którzy zainwestowali w ekologiczne ogrzewanie olejowe i wszyscy inni używający tego paliwa w produkcji. Podwyżki odczują też użytkownicy gazu płynnego. Żeby jednak było sprawiedliwie, mają być wprowadzone jakieś osłony-rekompensaty. Tak czy owak, część pokrzywdzonych dostanie część z części pieniędzy, jakie dodatkowo sami dadzą budżetowi, pomniejszoną o część należną wszystkim urzędnikom, którzy przyczynią się do pobrania całości należnej akcyzy i zwrotu jej części. To przecież takie proste. Nieprawdaż?



Uwaga – kręcą liczniki

W polskich komisach samochodowych aut jest do wyboru, do koloru. Tylko w ostatnim roku z krajów UE sprowadziliśmy ponad milion używanych aut. Z tego ponad 600 tys. często zdezelowanych już porusza się nawet o własnych siłach po naszych równie często zdemolowanych drogach. Pozostałe 400 tys. samochodów trafiło do konkurujących coraz ostrzej autokomisów. Najlepiej sprzedają się auta o niewielkiej pojemności w cenie do 20 tys. zł. Jako pewniejsze uważane są samochody wyprodukowane w Polsce. Według „Rzeczpospolitej” sprowadzane z zagranicy mogą być bombą z opóźnionym zapłonem, co związane jest z kręceniem licznika. W Niemczech co trzeci samochód ma cofnięty przebieg. Tak samo bywa z samochodami z Francji, Belgii, Holandii. I takie tanie cacko jeszcze raz jest odmładzane w Polsce. Bywa więc, że kupujesz autko po dwu-trzykrotnym licznikowym liftingu. A z tego radość może być bardzo krótkotrwała, tak jak ze sztucznie odmłodzonych kochanków.

Katalog osobliwości

Nietypowe prezenty? Producenci i sprzedawcy prześcigają się w ofertach. Oto kilka wybranych na chybił trafił, każda opatrzona hasłem „Hit 2005”:

Plonące kieliszki do wódki – po właniu alkoholu zapalają się, po wypiciu – gasną. Do wyboru cztery kolory (czerwony, niebieski, żółty i zielony). Baterie wytrzymują ponad 200 godzin przy odpowiednim użytkowaniu (czytaj: wlej i wypij bez długich toastów), kieliszek wystarcza na dwa lata – 8 złotych sztuka.

Kajdanki z futerkiem (dostępne w trzech kolorach), w komplecie dwa kluczyki – 9 złotych i 90 groszy komplet.

Zmieniacz głosu – urządzenie, które pozwala mówić dowolnie wybranym głosem (kobiety, mężczyzny, dziecka, robota – płynna regulacja) – 410 złotych.

„Niesamowita pamiątka” – kawałek bunkra Adolfa Hitlera (Wilczy Szaniec, Gierłoż koło Kętrzyna) – 30 złotych.

Nóż Rambo stworzony do warunków ekstremalnych (wykonany z hartowanej stali z powłoką antyodblaskową, w wyprofilowanej rękojeści ma zestaw drobiazgowych niezbędnych do przeżycia: żyłkę z haczykiem na ryby, kompas itp.) – 20 złotych.

Pierwszorządna, szczelna zasłona dymna, jej posiadacz w każdej chwili może zniknąć w gęstym dymie wytworzonym przez świecę o specjalnej recepturze – 1 złoty sztuka.

Czapeczka z wiatraczkiem i panelem słonecznym. Wiatraczek zaczyna pracować po 15 sekundach od momentu, kiedy na czapeczkę padną promienie słońca – 38 złotych.

Niepowtarzalny kaftan bezpieczeństwa (rozmiar XXL) wyprodukowany w profesjonalnej szwalni, za dodatkową opłatą nadruk lub zdjęcie – 79 złotych i 99 groszy.

Zapałki kowbojskie zapalające się prawie o wszystko (kamień, felga w samochodzie, lustro, twarda podeszwa buta – „poczuj się jak John Wayne”) – 1 złoty pudełko.

Śpiewające magnesy („podrzucone w górę piszczą, jęczą i bzyczą”) – 17 złotych.

Magiczny długopis UV piszący niewidzialnym tuszem UV (tatuaz narysowany na ciele, niewidoczny w normalnym świetle, ujawnia się podświetlony diodą UV) – 8 złotych i 50 groszy.

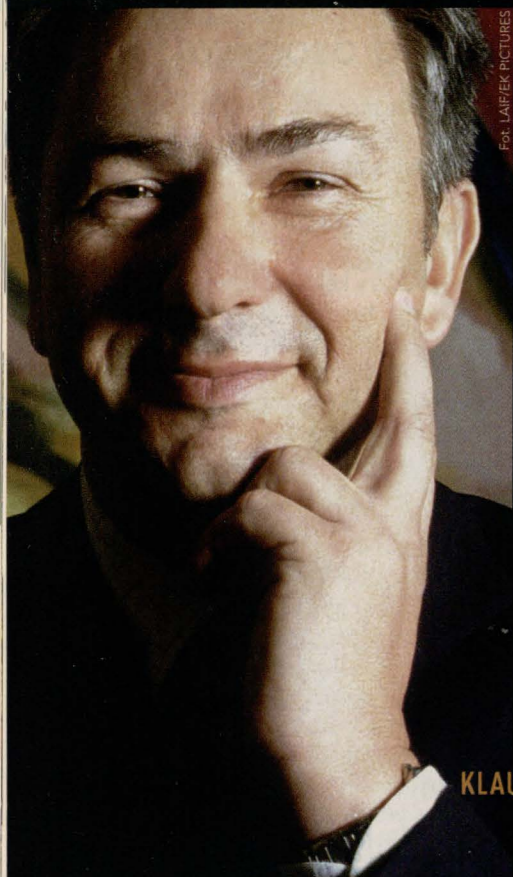
Krawaty Samoobrony – 19 złotych i 99 groszy.

Zegarek piejący jak kogut (opcja budzenia) – tyle samo, ile krawat powyżej.

Antoni Słonimski, który lubił dawać znajomym kłopotliwe prezenty, podarował raz pewnemu poecie trzy tony buraków. Tamten prezent chyba bardziej mnie śmieszy od tych z dzisiejszego katalogu osobliwości.

ABAKUS

„TYDZIEŃ POLSKI” (LONDYN)



KLAUS WOWEREIT / BERLIN



WALTER VELTRONI / RZYM

Mają większy wpływ na rzeczywistość niż niejeden prezydent. Politycy zazdroszczą im popularności, wpływów i potęgi finansowej. Burmistrzowie europejskich stolic wyrastają na nową kategorię przywódców

KTO RZĄDZI W WIELKICH MIASTACH

ANDREA GERLIN

Gdy Rzym przygotowywał się na pogrzeb Jana Pawła II, we Włoszech był tylko jeden ważny człowiek. Walter Veltroni, Burmistrz Rzymu, zdecydował o wszystkim, to jego o wszystko pytano. To on odpowiadał za to, by najazd trzech milionów gości na Wieczne Miasto nie skończył się paraliżem miasta ani zamachem terrorystycznym, by głowy państw bezpiecznie dotarły na miejsce, a pielgrzymi mieli gdzie spać, co zjeść i wypić. Veltroni poradził sobie lepiej niż niejeden premier z katastrofą naturalną. Burmistrzowie europejskich stolic to nowa, rosnąca w siłę klasa polityków. Zarządzają małymi państwami z kilkumilionową ludnością, własnym budżetem i lokalnymi problemami. Muszą przedstawiać programy i są z nich rozliczani w wyborach. Od burmistrzów oczekuje się dziś nie tylko zwykłego zarządzania, ale także innowacyjnych rozwiązań, skutecznej polityki, a coraz częściej również osobowości i politycznego przywództwa.

Ci, którym udaje się sprostać oczekiwaniom, zyskują popularność, o jakiej politycy na szcze-



KEN LIVINGSTONE / LONDYN



ANNIKA BILLSTRÖM / SZTOKHOLM

blu krajowym mogą tylko pomarzyć. Poparcie dla Waltera Veltroniego waha się w sondażach od 60 do 80 procent, podczas gdy premier Włoch Silvio Berlusconi z trudem osiąga 50. Burmistrza Londynu Kena Livingstone'a znają wszyscy Brytyjczycy, mer Paryża Bertrand Delanoë systematycznie lokuje się w czołówce francuskich sondaży popularności.

Jedno różni burmistrzów od zwykłych polityków: muszą być skuteczni. W miastach

mieszka trzy czwarte Europejczyków i dla nich liczy się działanie, a nie kreślenie wielkich wizji politycznych. Skuteczność burmistrza łatwo zweryfikować. Każdy mieszkaniec może ocenić, jak radzi sobie z oczyszczaniem, komunikacją czy budownictwem. Widać, czy na ulicach jest bezpiecznie, czy są korki i czy w metrze nie panuje przypadkiem zaduch i wieczny tłok. Burmistrzów ocenia się po jakości życia mieszkańców, ilości terenów zielo-



BERTRAND DELANOË / PARYŻ

nych, stopie bezrobocia i inwestycjach, jakie zdołali przeprowadzić i sfinansować.

Wśród zwykłych zarządców europejskich stolic jest kilka postaci, które wyróżniają się innowacyjnością i popularnością. Oto pięćoro najgłośniejszych europejskich burmistrzów. Czy któryś z nich pójdzie w ślady Jacques'a Chiraca, który po 18 latach rządzenia Paryżem został prezydentem Francji? Zobaczymy.

BERTRAND DELANOË / PARYŻ FUN-MAKER



Mieszkańcy: 2,6 miliona
Budżet: 6 miliardów euro
Bezrobocie: 8,5 procent

W październiku 2002 roku Bertrand Delanoë dostaje nożem w brzuch od bezrobotnego muzułmanina, syna algierskich emigrantów. – Nienawidzę polityków, a zwłaszcza homoseksualistów – wyznaje później 39-letni napastnik. 54-letni mer Paryża jest zarówno politykiem, jak i zdeklarowanym gejem. Do ataku dochodzi podczas pierwszej Białej Nocy – ogólnomiejskiej imprezy dla paryżan, w czasie której ratusz, muzea i inne budynki są ogólnodostępne. Ranny Delanoë, zanim zabierze go karetka, nakazuje swoim zastępcom, by nie przerywali imprezy i docięgnęli ją do ósmej rano.

Biała Noc to jego dzieło, podobnie jak Paryska Plaża – tworzone na prawym brzegu Sekwany w lipcu i sierpniu sztuczne kąpielisko z palmami, które co roku odwiedzają trzy miliony osób. Paryż Delanoë ma być przyjaznym i imprezowym miastem. – Po prostu wierzę, że jakość życia idzie w parze z rozkwitem gospodarczym – mówi mer.

Jego wizja to miasto, które swoim barwnym życiem przyciąga koncerty i wielki kapitał. – W XXI wieku każdy burmistrz musi to rozumieć – dodaje. Od kiedy Delanoë objął urząd, stolica Francji stała się również bardziej zielona. Rozpoczęto budowę nowej sieci tramwajowej, zwiększyła się liczba deptaków. Nie zmniejszyły się za to korki.

Delanoë prowadzi też politykę społeczną. Rozpoczął program wykupu działek w luksusowych dzielnicach i budowy na nich mieszkań dla średnio i słabo zarabiających. Prawica oskarża go o uprawianie inżynierii społecznej i sprowadzanie do miasta biedoty z przedmieść. Sam mer twierdzi, że zamierza skończyć z podziałem na dzielnice bogactwa i biedy.

Delanoë, potomek francuskich osadników z Tunezji, jest pierwszym człowiekiem lewicy, który rządzi Paryżem od stłumienia w 1871 roku Komuny Paryskiej. W wyborach w 2001 roku poparli go zarówno socjaliści, komuniści, jak i Zieloni.

KEN LIVINGSTONE / LONDYN DANTON OD KORKÓW

59-letni Ken Livingstone jest dziś u szczytu kariery, którą mało kto mu wróżył. W 1981 roku został przewodniczącym lewicowej Rady Wielkiego Londynu rządzącej wtedy stolicą Wielkiej Brytanii. Gazety ochrzciły go Czerwonym Kenem, bo organizował populistyczne imprezy i chciał ogłosić Londyn „strefą wolną od zbrojeń nuklearnych”. W 1986 roku Thatcher rozpędziła Radę. Livingstone musiał się zadowolić rolą szeregowego posła Partii Pracy.

Ale lewak Livingstone zdobył się na efektowny comeback. W 2000 roku londyńczycy wybrali go na pierwszego mera stolicy, kiedy po decentralizacji Partia Pracy stworzyła w mieście ten nowy urząd. Livingstone wystartował jako kandydat niezależny, bo Blair wcześniej usunął go z Partii Pracy za krytykę.

Wyborcom Livingstone'a zaimponował jego program: walka z korkami, inwestycje w metro, komunikację, szpitale i szkoły podstawowe. W czasie pierwszej kadencji Czerwony Ken zapanał nad komunikacyjnym chaosem. Jeszcze kilka lat temu w godzinach szczytu mosty nad Tamizą i największe ulice zmieniały się w parkingi. Livingstone wprowadził myto o równowartości 30 złotych za wjazd do centrum (pobierane dzięki kamerom i systemowi komputerowemu) i odkorkował centrum miasta! Liczba spóźnień w transporcie publicznym spadła o 30 procent. Latem 2004 roku Livingstone wygrał znowu, tym razem posługując się pozornie straceniowym hasłem: ludzie gotowi są na wyższe podatki miejskie, jeśli idzie za nimi widoczna poprawa działania służb publicznych. Burmistrz zapowiedział właśnie, że w swojej ewentualnej trzeciej kadencji zainwestuje 19 miliardów dolarów w metro oraz transport publiczny.

Livingstone nie ukrywa też apetytów politycznych. Jesienią 2002 roku jak ludowy trybun grzmiał na półmilionowym wiecu przeciwko wojnie z Irakiem. Blairowi dawał się we

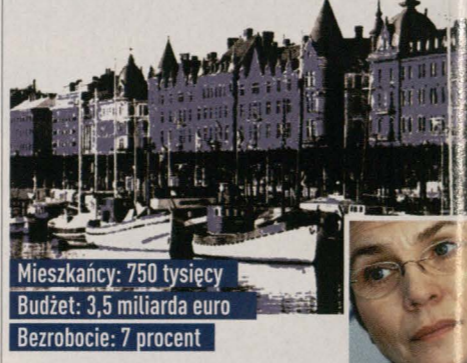


Mieszkańcy: 7,3 miliona
Budżet: 11 miliardów euro
Bezrobocie: 7 procent

znaki już wcześniej. – Po 17 latach rządów konserwatystów nawet wieprz wygrałby dla nas te wybory – szydził z premiera po jego historycznej wygranej w 1997 roku.

Przy Livingstone ministrowie rządu Blaira sprawiają wrażenie bezdusznych kukiełek dukających z kartki komunały. Burmistrz mówi autentycznym głosem. – Danton żył w burdelu, ale robił dobre rzeczy. Ja jestem Dantonem – wypalił kiedyś. Większość londyńczyków popiera Partię Pracy, ale za swojego chłopca uznaje słynącego z niewyparzonego języka Livingstone'a.

ANNIKA BILLSTRÖM / SZTOKHOLM KONSTRUKTOR



Mieszkańcy: 750 tysięcy
Budżet: 3,5 miliarda euro
Bezrobocie: 7 procent

Wielki wieżowiec-akademik, stadion narodowy na 50 tysięcy widzów, opłaty ekologiczne za wjazd do Sztokholmu oraz inwestycje warte ponad dwa miliardy euro – to pomysły z ostatniego roku rządów burmistrz Sztokholmu, 49-letniej Anniki Billström. – Na początku spotykałam się z silnym oporem – mówi 49-letnia burmistrz. – Wielu kwestionowało moje kompetencje do sprawowania funkcji.

Dziś mało kto w nie wątpi. W 2002 roku socjalistka wyparła konserwatystów ze sztokholmskiego ratusza. Billström wierzy w dostępność. Co czwartek wychodzi ze swego biura, by spotkać się i porozmawiać z mieszkańcami w szkołach i miejscach pracy. Przede wszystkim chce jednak zostać zapamiętana jako autorka gigantycznych pomysłów.

Jej głównym wyzwaniem jest budowa domów i mieszkań dla średnio zamożnych. Ceny nieruchomości w Sztokholmie rosną w zawrotnym tempie i na mieszkania mogą sobie pozwolić już tylko najbogatsi. Gdy Billström obejmowała urząd, na mieszkania czekało około stu tysięcy osób. Pani burmistrz deklaruje, że do 2006 roku odda 20 tysięcy nowych mieszkań na sprzedaż lub pod wynajem i że będzie na nie stać studentów i osoby gorzej zarabiające.

– W Sztokholmie jest dużo miejsca, deweloperzy muszą tylko zacząć budować – mawia. Zaangażowanie Billström w ideę taniego budownictwa wynika, jak sama twierdzi, z jej dzieciństwa, gdy była jednym z sześciorga dzieci wychowywanych przez samotną matkę. – Musimy zapewnić każdemu jak najlepszy start życiowy. Bez względu na to, skąd się wywodzi – powtarza.

Nie wszyscy zgadzają się z jej pomysłami. Claes Trygger, czołowy działacz ekologiczny ze Sztokholmu, twierdzi, że plany pani burmistrz, by zabudować tereny sąsiadujące ze Sztokholmskim Parkiem Narodowym, są sprzeczne ze szwedzkim prawem o ochronie terenów zielonych.

Sztokholm jest wciąż najbardziej ekologiczną stolicą świata i robi wszystko, by utrzymać to miano. Latem tego roku wejdzie w życie wielki projekt burmistrz – opłaty środowiskowe za korzystanie z samochodu w centrum miasta. Mają zasilić budżet komunikacji miejskiej, z której już dziś korzysta 80 procent mieszkańców Sztokholmu. Przez rok kierowcy będą płacić, a za 12 miesięcy ludność królewskiego miasta wypowie się w referendum, czy chce utrzymania systemu.

Do tego czasu w środku Sztokholmu będzie gotów nowy, duży akademik, zaś do końca przyszłego roku stadion, na którym będzie mogła rozgrywać mecze reprezentacja Szwecji. Sztokholm, który pozostawił po sobie pani Billström, ma być bardziej studencki, sportowy, biznesowy i mniej tłoczny.

KLAUS WOWEREIT / BERLIN MODNIŚ



Mieszkańcy: 3,4 miliona
Budżet: 22 miliardy euro
Bezrobocie: 20 procent

Gdy 51-letni Klaus Wowereit objął cztery lata temu urząd burmistrza, musiał zacząć od zamknięcia basenów, zamrożenia zatrudnienia w urzędach miejskich i połączenia trzech berlińskich oper. To mało popularne kroki jak na początek kadencji, zwłaszcza w przypadku burmistrza z lewicy, ale Berlin ma kolosalne długi. Przed zjednoczeniem Niemiec obie części miasta otrzymywały potężne subsydia od rządów NRD i RFN. W 1989 roku padł mur i rzeka pomocy zmieniła się nagle w wąski strumyk, a fala bezrobocia wygnała 30 tysięcy berlińczyków na przedmieścia. Exodus zrujnował bazę podatkową miasta – zadłużenie Berlina wynosi dziś 59,4 miliarda euro. Spłata samych odsetek pochłania 12 procent rocznego budżetu.

Wowereit brak pieniędzy nadrabia fantazją. To, co ma, inwestuje tak, by przekształcić Berlin w „miasto blasku”. Kiedy Universal Music przeniósł do stolicy swoją niemiecką siedzibę, skorzystał z okazji, by wykreować Berlin na

miasto muzyki, kultury i twórczości artystycznej. Skradł Kolonii coroczne targi młodej mody Bread & Butter i zachęcił hollywoodzkich reżyserów, by kręcili u niego takie filmy, jak „Krucjata Bourne'a” czy „Mission Impossible III”. W tym roku w Berlinie odbędą się też największe targi muzyczne świata.

– Najważniejsze jest to, by ściągnąć do Berlina młodych twórczych ludzi. Lubię porównywać Berlin do Londynu z roztańczonych lat 80. Londyn też był wtedy w kiepskiej kondycji ekonomicznej, ale wiele się tam działo i panował pozytywny nastrój – mówi. Efekty już widać. W 2004 roku Berlin przyjął prawie sześć milionów turystów, o jedną piątą więcej niż rok wcześniej. Wowereit rozpoczął też budowę centrum rozrywkowego w dawnych dokach.

W czerwcu 2001 roku, jeszcze zanim został burmistrzem, zdecydował się na najodważniejszy krok w swojej karierze. W telewizyjnym wystąpieniu z dumą zadeklarował: – Jestem gejem i jest mi z tym dobrze. Po tym wystąpieniu SPD formalnie nominowała go na kandydata na burmistrza, a jeszcze w tym samym tygodniu – gdy finansowy skandal zmiotł poprzednie, prawicowe, władze miasta – Wowereit został tymczasowym burmistrzem.

Lewicowy polityk cieszy się dużą popularnością, ale wielu ludzi krytykuje sposób, w jaki zarządza finansami. Żąda pieniędzy z federalnego budżetu Niemiec, argumentując, że o własnych siłach Berlin nie wyjdzie z gospodarczej zapaści. Krytycy wskazują jednak, że burmistrz sam powiększa czarną dziurę, przeznaczając w tym roku zaledwie jeden procent budżetu na rozwój gospodarki miasta. Z drugiej strony to Wowereit zainicjował wart 19,5 miliona euro program wspierania wytwórczości i przekazał miejskie budynki Centrum Maks Delbrücka, które skupia największą firm biotechnologiczną w Niemczech.

WALTER VELTRONI / RZYM BURMISTRZ ŻŁOTA RĄCZKA

Pod koniec maja setki Włochów wyszły na ulice Rzymu, by żądać uwolnienia porwanej w Afganistanie Clementiny Cantoni. Demonstrację zorganizował burmistrz Walter Veltroni. – Nie chcę, by Clementina czuła się samotna. Chciałbym, by wiedziała, że cały kraj jest po jej stronie – powiedział do tłumy.

Veltroniego wszędzie jest pełno, zwłaszcza tam, gdzie są dziennikarze. Chodzi na demonstracje, odwiedza szpitale, wmurowuje kamienie węgielne, otwiera konferencje, wita zagranicznych gości. – Jest cały czas wśród ludzi – mówi Francesca Filippi, dziennikarka „Il Messaggero” zajmująca się rzymskim ratuszem. – Nie ma rzymianina, który by go kiedyś nie spotkał.

Lewicowy Veltroni jest drugim burmistrzem Rzymu pochodzącym z wyborów. Wcześniej był deputowanym Partii Komunistycznej, ministrem kultury, a nawet wicepremierem



Mieszkańcy: 2,1 miliona
Budżet: 16 miliardów euro
Bezrobocie: 9 procent

Włoch. 49-letni chudzielec w okularach przypomina profesora ekonomii, ale rzymianie nazywają go Hydraulikiem, bo ma praktyczne podejście do rządzenia stolicą Włoch. Pod jego czteroletnimi rządami poprawiło się socjalne zaplecze miasta i rozkwitło życie kulturalne. W tym roku rozpoczął budowę 30-kilometrowego odcinka metra i nowej stacji kolei. Prócz tego Veltroni otworzył w Rzymie domy jazzu, architektury, filmu i literatury, a także park muzyki zaprojektowany przez Renza Piano.

W Rzymie działa nowoczesny system opieki nad ludźmi starszymi. 1200 młodych rzymian codziennie wskakuje na skutery, by dostarczyć 12 tysiącom samotnych seniorów żywność, lekarstwa lub po prostu pójść z nimi na spacer. Trzy tysiące osób, w większości emerytów, pilnuje bezpieczeństwa dzieci w szkołach i parkach. – Chcemy pokazać, że w wielkiej metropolii także można wytworzyć poczucie wspólnoty – mówi Veltroni.

Opozycja zarzuca Veltroniemu, że buduje głównie własny wizerunek, a jego polityka jest obliczona na efekt, a nie rozwiązywanie rzeczywistych problemów, jak na przykład przedłużenie miasta, które pod jego rządami wzrosło. Veltroni odpowiada, że bezpośrednia polityka jest niezbędna, by przywrócić poczucie wspólnoty w wielkich miastach. – Tak właśnie trzeba rządzić. Ludzie muszą mieć bezpośredni kontakt z burmistrzem, bo w ten sposób uczestniczą w życiu obywatelskim swojej wspólnoty – mówi.

ANDREA GERLIN

WSPÓLPRACA: THEUNIS BATES (LONDYN); JAMES GRAFF, MIKAEL G. HOLTER, JONATHAN SHENFIELD (PARYŻ); JEFF ISRAELY (RZYM); ULLA PLON (SZTOKHOLM) I WILLIAM BOSTON I REGINE WOSNITZA (BERLIN)

© 2005. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRIEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE.



WOLNA PRASA PO WYROKU

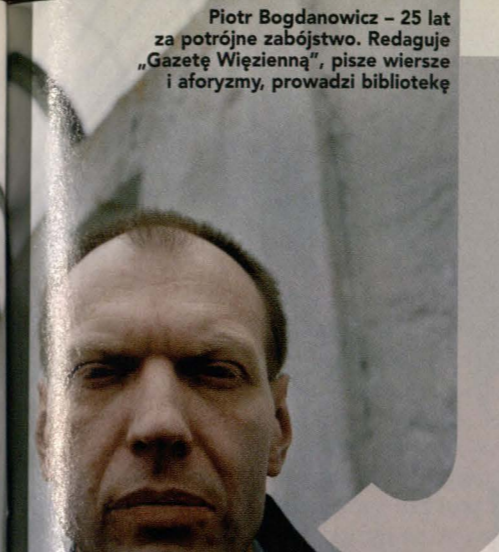
TEKST JULIUSZ ĆWIELUCH
ZDJĘCIA RAFAŁ MILACH

Tych gazet raczej nigdy nie przeczytasz. Ale jeśli kiedyś wpadną ci do ręki, to znaczy, że masz problem. Znalazłeś się tam, gdzie kończy się normalność, a zaczyna piekło – czyli w polskim więzieniu



Zakład Karny we Włocławku.
Na tle muru redaktor Piotr Bogdanowicz

Piotr Bogdanowicz – 25 lat za potrójne zabójstwo. Redaguje „Gazetę Więzienną”, pisze wiersze i aforyzmy, prowadzi bibliotekę



Jacek Jaworski swój pierwszy artykuł napisał prawą ręką, tą z wytatuowanym hasłem „Litość to zbrodnia”. Lewa z napisem „Zabiłem, żeby żyć” właściwie nie pracowała. Podobnie było 12 lat wcześniej, kiedy wbijał nóż w ciało swojego sąsiada. Jak sam mówi, sznyty na ciele zostały, ale środek się zmienił. Od dwóch lat jest innym człowiekiem, a konkretnie – dyplomowanym bibliistą, redaktorem naczelnym i dziennikarzem w jednym. Takich redaktorów jak on jest więcej.



Krystyna, redaktorka „Labyrinthu”.
Wyrok: 9,5 roku za wyludzenie kredytów

PASIACZEK Z AMFETAMINOWYCH KRESEK

W Polsce jest 156 więzień i aresztów. Oficjalnie 41 z nich wydaje gazetki więzienne. Nieoficjalnie przynajmniej połowa tytułów to lipa, która nieźle wygląda w raportach do centrali. Gorzej, kiedy przyjdzie to czytać. Ale zdarzają się wyjątki.

„Pasiaczek” kojarzy się i z łowicką zapaską, i z łowickim więzieniem dla recydywistów – jak kto woli. Niektórym może jeszcze się kojarzyć z ćpaniem, bo w Łowiczu nie brakuje takich, którzy wciągają kilka amfetaminowych kreszek dziennie, czyli lecą na pasiaczku. Jacek Jaworski, który redaguje pismo, ma wiele do powiedzenia na ten temat. Alkoholikiem był od 13. roku życia, ale ćpać zaczął w pierdlu. – Po kilku latach brałem prawie gram dziennie. W głowie miałem totalny syf. Bałem się wstawać z łóżka. Spałem z samorobem w ręce, bo złapałem klimat, że na celi chcą mnie wykończyć – mówi. Z jego karty choroby wynika, że bardziej powinien bać się samego siebie. Jaworski był mistrzem samookaleceń. Specjalizował się w polykaniu kilkucen-

metrych haczyków od łóżek, zasypywaniu oczu drobnym szkłem i wbijaniu igieł w mięsień tak, żeby go całkowicie unieruchomić. Lekarze dawali mu góra dwa miesiące życia, ale nikt go specjalnie nie żałował. Kiedy zapadła decyzja, że idzie na odwyk, do kierowniczkę oddziału zadzwonił jeden z klawiszy. – Hania, nie bierz tego skurwysyna, nie dasz sobie z nim rady – opowiada Hanna Wojciechowska, psycholog. Po dwóch latach Jaworski stał się wizytówką oddziału odwykowego. Choć formalnie jest betoniarzem zbrojarzem, w nagrodę został redaktorem naczelnym „Pasiaczka”.

Tytuł przejął po dwóch więźniach, którzy wyszli na wolność. Zamiast wcześniejszych tekstów o Iron Maiden i analiz, czy Europa jest bardziej łacińska, czy bizantyjska, postanowił pisać o ćpaniu i biciu, bo na tym znał się najlepiej. – Realia więzienia to diler na każdej celi. W mojej było ich pięciu. A o biciu nic nie powiem, bo tego się nie da opowiedzieć – mówi. Po psychokorekcie zrozumiał, że główny problem takich jak on to strach i brak perspektyw. – Zabiłem, bo się bałem, że stracę twarz wśród kolegów. Ćpasz, bo z 20-letnim wyrokiem jest ci wszystko jedno. Widzisz, jak gwałcą kolesia z twojej celi, ale nie reagujesz, bo się boisz i jest ci wszystko jedno – opowiada. O tym głównie pisze w „Pasiaczku”. Liczy, że któryś z około tysiąca łowickich recydywistów zaufa mu i nie będzie go olewał, tak jak olewa wszystko, co mówią klawisze. Odbijana na ksero gazetka co miesiąc trafia do każdej celi. Z oszczędności na jeden egzemplarz przypada 5-10 czytelników. Każdy z nich może zostać też autorem. Jaworski namawia innych więźniów, żeby opisywali swoje historie o ćpaniu i jego konsekwencjach. To jego ulubiony cykl, nazwał go „Okruczy życia”. Sam specjalizuje się w „Listach do przemocy”. Ostatni, majowy list zakończył żarliwym zdaniem: „Wygrałaś wiele bitew, ale wiedz o tym, że wojnę przegrasz”. Obok zdjęcie martwego mężczyzny z nożem w brzuchu. Pytam go, czy człowiek, któremu sprzedał kosę, wyglądał tak samo. Nie wie, bo uciekł.

OD „TRYBUNY LUDU” DO „GW”

W 1987 roku do jednego z największych więzień w Polsce przyjechało dwóch dziennikarzy z „Trybuny Ludu”. Na miejscu dostali pokazówkę jak się patrzy, a w gabinecie dyrektora zaliczyli tradycyjną popijawę. Kiedy wszyscy byli już w dobrych humorach, dziennikarze zwierzyli się, że artykuł jest napisany i można mówić prawdę. Więc klawisze zaczęli opowiadać. A później przeczytali to w gazecie. Od tamtej pory nie ma co liczyć, że w którymś więzieniu usłyszysz się, jak jest naprawdę. – Z gazetkami więziennymi jest podobnie. Język jest niemal literacki, a teksty o wszystkim, tylko nie o realiach odsiadki. To nie jest normalne, ale takie musi być, bo system wymusza posłuszeństwo, a nie szczerłość – mówi Marta Wojtal, która napisała pracę magisterską na temat języka gazetek więziennych. W żadnej z nich nie znajdzie się ani słowa z więziennego slangu, chociaż nawet klawisze mówią, że więzień dostał rakieta, a nie paczkę, a zaniósł mu ją na peronkę, a nie na korytarz. – Ale gazetka ma być inna. Z jednej strony chcą tego klawisze, którzy ją nadzorują. Z drugiej ten miły i przyjemny język to coś nowego dla więźniów. Rozkoszują się jego używaniem. Chętnie sprawdzają w słownikach wyrazów obcych jakieś trudne słowa – mówi psycholog pracująca w dużym zakładzie. Dla niektórych język to poważna bariera. Jeszcze poważniejszą jest opinia innych więźniów. – Za kratami wszystko jest na

odwrót. Bycie dziennikarzem nie cieszy się popularnością. Dla nich to rodzaj zdrady – tłumaczy psycholog. A redaktorzy specjalnych przywilejów nie mają. Ewentualnie dwa dni dłużej na przepustce albo dostęp do komputera. Dlatego w wielu gazetkach są jedynie imiona piszących. Czasem nawet i one nie są prawdziwe. Bo według więźniów do gazetek piszą tylko bezjawcy.

Piotr Bogdanowicz swoje pierwsze teksty podpisywał inicjałem. W sumie nie miał się czego bać, bo jako człowiek z wyrokiem za potrójne zabójstwo i były żołnierz oddziałów specjalnych nie musiał udowadniać, że ma ją. Od kilku lat podpisuje artykuły już imieniem i nazwiskiem. Ma nawet wizytówkę. Ale kiedy chcemy go sfotografować przed pawilonem, wychowawca odradza, bo więźniowie będą się z niego śmiać.

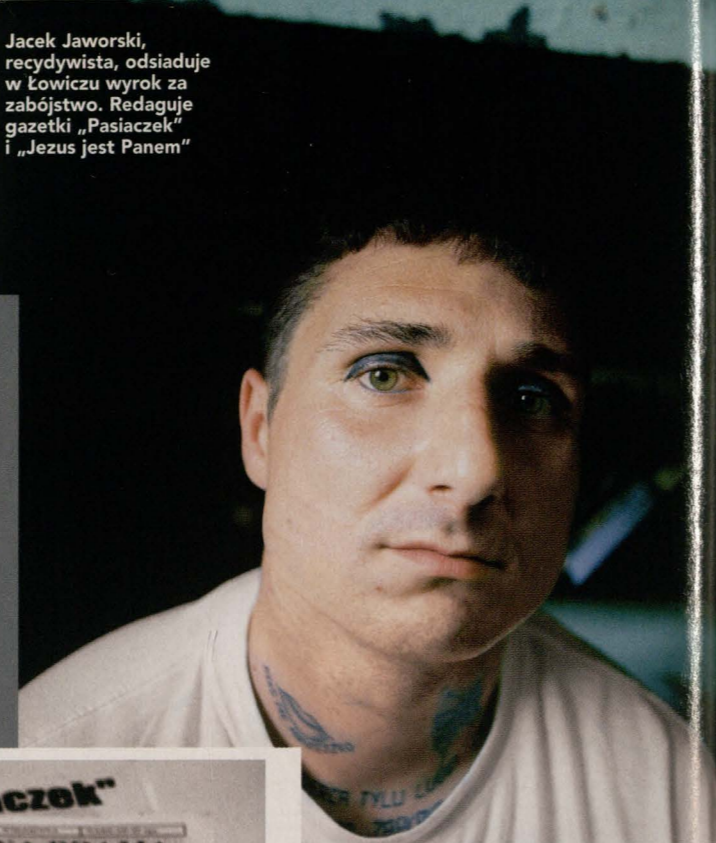
Bogdanowicz to jeden z najbardziej rozpoznawalnych skazanych w Polsce. Wyraźnie różni się od pozostałych osadzonych z „ćwiara”, czyli 25-letnim wyrokiem. – Mój koszmar zaczął się 18 września 1990 roku. Sprzedałem 1,5 tysiąca dolarów i poszedłem z pieniędzmi do domu – wspomina. Nie zauważył, że ma ogon. Kiedy znów wychodził, zaatakowało go trzech facetów. – Dalej było jak w kinie. Szarpalina. Oni wyciągają noże, a ja legalnie posiadam pistolet. Pierwszy magazynek idzie na postach w podłogę. Nie pomagają – opowiada. Kolejne sześć kul wystrzelił już zgodnie z logiką służb specjalnych – serce, głowa. A zgodnie z logiką więzienia załamał się po pierwszych trzech miesiącach. – Jak wchodziś do więzienia, zaczyna się jazda na wstecznym biegu. Musisz pracować jak wół, żeby się nie cofnąć – opowiada. Bogdanowicz oprócz tego, że prowadzi „GW”, czyli „Gazetę Więzienną”, pracuje na etacie bibliotekarza, jeździ z wykładami, pisze wiersze i aforyzmy. Niektóre tak dobre, że płacze przy nich cała Polska. – Tylko myślą, że napisał je Michał Wiśniewski, a on ukradł kilka moich tekstów, o co się zresztą z nim procesuję – mówi Bogdanowicz.

W „GW” jest dużo literatury, ale trudno szukać tekstów o prawdziwej twarzy więzienia. Jeśli już, to przemycia się je między wierszami. „Mój świat jest obecnie bardzo ubogi w łzy, ponieważ nie mogę sobie pozwolić nawet na jeden dzień słabości. Każdy, kto się podda, musi przegrać, gdyż tego wymaga system” – napisał w jednym z artykułów Sławomir Sikora, ten od „Długu”. Od ponad roku kłopoty finansowe dopadły i „GW”. Zamiast co miesiąc gazeta ukazuje się co pół roku. Za to aktualne artykuły można przeczytać w Internecie na stronie www.gazetawieznienna.gc.pl.

SEKS ZA KRZYŻÓWKĘ

Gazetki więzienne z tymi z wolności jedno łączy najbardziej – walka o czytelnika. – Polskie zakłady karne roją się od wtórych analfabetów. Ponad połowa osadzonych to recydywiści, któ-

Jacek Jaworski, recydywista, odsiaduje w Łowiczu wyrok za zabójstwo. Redaguje gazetki „Pasiaczek” i „Jezus jest Panem”



I ty możesz napisać do gazetki więziennej:

„Pasiaczek”
Zakład Karny w Łowiczu
ul. Wiejska 3
99-400 Łowicz

„Gazeta Więzienna”
Zakład Karny we Włocławku
ul. Bartnicka 10
87-809 Włocławek

„Labirynt”
Zakład Karny w Czersku
ul. Dworcowa 29
89-650 Czersk



jest quiz. Pytania ułożone są na podstawie artykułów. Nie przeczytasz, nie będzie nagrody regulaminowej.

Jeśli żarty, to oczywiście z policjantów albo sędziów. W barczewskim „ADW” czyli „Aby do wokandy”, na urągające inteligencji wpisy z milicyjnych notatników poświęcono kilka stron. O klawiszach nie ma ani słowa, ale więźniowie swoje wiedzą. – Klawisz, policjant, sędzia – wszystko z jednej sukni – tłumaczy Biały.

Niemal każda gazetka publikuje wzrost pism do sądu. Wnioski o wydanie odpisu wyroku czy warunkowe zwolnienie. Dla wielu to rarytas, bo jak nie umiesz sam napisać, to płacisz papierosami albo kartami telefonicznymi. W miejscu, gdzie papierosa nie się na trzy i pali w fife, dwie paczki to majątek. Niektórzy stawiają na znanych autorów. W sieradzkim „Na krawędzi” drukowanych jest aż dwóch dziennikarzy „Przekroju” – Tadeusz Mosz i Olga Woźniak.

Mocnym uderzeniem każdej gazetki jest sport. „Kurort Dębica” namawia czytelników do nauki brydża. W pozostałych gazetkach w dziale sport króluje piłka nożna i pakowanie, czyli body building. W ostatnim „Pasiaczk” dużo miejsca poświęcono „wyciskaniu wąskim uchwytem” – cokolwiek to znaczy.

Oficjalnie nie ma cenzury. W stopce „GW” napisano: „Informujemy również, że nie ma u nas cenzury, a jedynym kryterium doboru jest dobry smak. Czy smak jest dobry, decyduje kolegium redakcyjne”. W większości innych gazetek każdy numer idzie do zatwierdzenia przez dyrektora więzienia, czyli wydawcę. To on decy-

duje – czyli cenzuruje – co się ukaże, a co nie, bo więziennictwo jest po reformie, ale tylko takiej malutkiej.

W LABIRYNCIE KOBIECYCH SPRAW

W Zakładzie Karnym dla Kobiet w Czersku życie towarzyskie i uczuciowe toczy się na dwóch ławkach ze spacerniaka. Na ławce można się spalać, z ławki widać podwórko, po którym godzinie dziennie spaceruje w kółku jedynych sześciu osadzonych. Dla kobiet, które nie znalazły za kratami partnerki, to najważniejsza chwila dnia. Miejsce na ławce odzwierciedla hierarchię i daje dostęp do najświeższych plotek.

Krystyna z prawie 10-letnim wyrokiem powinna mieć przynajmniej awanturę ławki. Ale w oczach więźniarek jest 50-letnią frajerką – bez pięćdziesiątki i doświadczenia za kratkami, więc na ławkę się nie załapuje. – Pierwszą noc w areszcie całą przeplakałam. Nie mogłam od razu popełnić samobójstwa, bo musiałam nabierać leków – opowiada. Kiedy już je uzbierała i połknęła, okazało się, że i to jej nie wyszło. – Dziewczynom z celi kazali pilnować, żebym nie usnęła, i żyję do dziś – mówi. Wtedy zrozumiała, że jakoś musi to przetrwać.

Kobiecie z wyższym wykształceniem ekonomicznym, która jeszcze niedawno nie była w stanie doliczyć się wszystkich swoich pieniędzy, trudno było zaakceptować to, że na 9,5 roku jej życie staje w miejscu. – Więzienie można albo przespać, albo przesiedzieć na ławce, albo czegoś się tutaj nauczyć – mówi. Zaczęła od wyszywania i robienia na drutach. – Druty to podstawa w zakładach dla kobiet. Robią sweterki dla dzieci, bo to jedyne, co mogą im dać – tłumaczy. Ale chciała czegoś więcej. O tym, że istnieją gazetki więzienne, dowiedziała się w areszcie w Koszalinie. Kiedy trafiła do Czerska, zgłosiła wychowawczyni, że chce zrobić własną gazetkę. Spośród stu osadzonych do pisania udało się namówić trzy dziewczyny. Tak powstała redakcja „Labiryntu”.

Na te innych gazetki więziennych to ewenement. Redakcja nie ma komputera, wszystko robi się ręcznie, nawet ilustracje do tekstów. Tematyka jest typowo kobieca. Dużo o zdrowiu i urodzie, trochę o kuchni, temat miesiąca i ani słowa o więzieniu. – Jak tu jest, każdy wie, o tym lepiej nie pisać – mówi jedna z nich. Nie piszą też o sobie. – Tu jest taka zawiść, plotki, że niejedną już zaszczuli. O sobie się nie mówi.

Krystyna siedzi za oszustwa, i to na wysokim poziomie ekonomicznej komplikacji. Ale w „Labiryncie” ekonomia sprowadza się do tego, jak upiec ciasto z jak najmniejszej ilości mąki i bez jajek. Nie ma też nic o modzie, bo w więzieniu cała moda to dres. Najlepszy strój na wszystkie okazje. Redakcja stawia sobie ambitny cel edukowania. W ostatnim numerze spory materiał poświęcono rodzajom herbaty i sposobom jej parzenia. Jak na miejsce, gdzie najpopularniejszy sposób parzenia herbaty to odurzający czaj, to rzeczywiście wyzwanie.

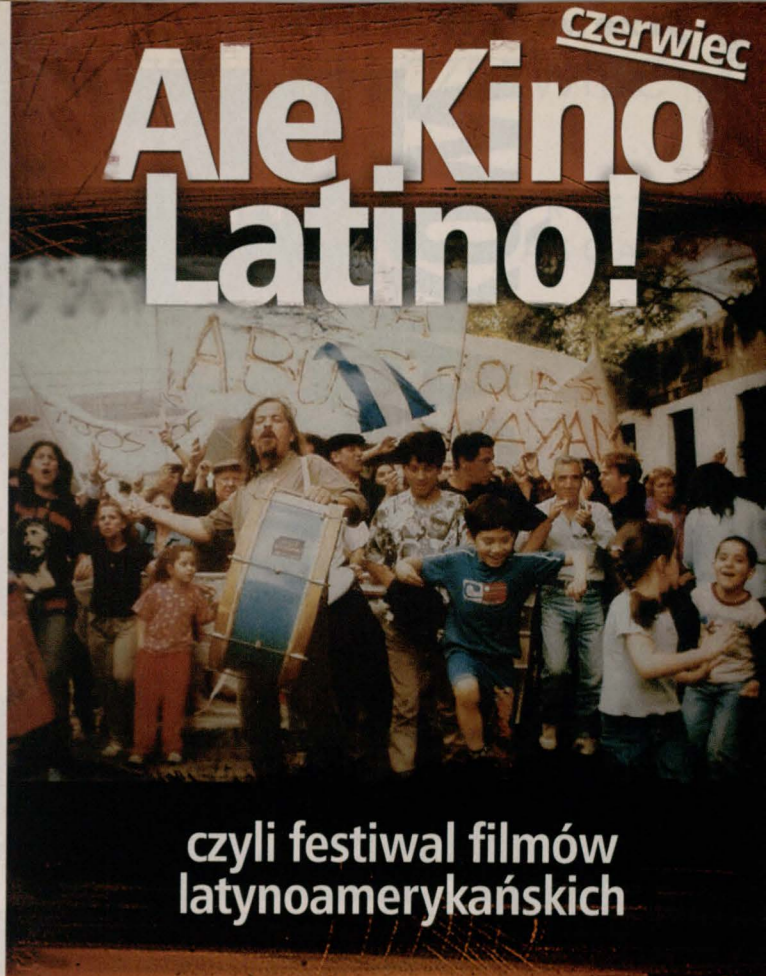
„Labirynt” wychodzi w trzech egzemplarzach. Jeden do archiwum, reszta na cele. Z odbiorem raczej nie jest za dobrze. Odkąd bezrobocie dotknęło zakład, dziewczynom nic się już nie chce, nawet czytać. – Kiedyś była tu wielka szwalnia. Teraz poza zakładem pracują trzy więźniarki, i to za darmo – ubolewa dyrektorka więzienia. Redakcja się nie zraża. – Na okładce jest rysunek człowieka, który próbuje spać wielką agrafką. To prawie niemożliwe, ale jeśli mu się uda, będzie wolny. No i my właśnie piszemy, żeby spać tę agrafką – tłumaczy Krystyna.

REDAKTORZY Z DŁUGIMI KONTRAKTAMI

Od kilku miesięcy Jacek Jaworski redaguje nie tylko „Pasiaczkę”, ale i „Jezus jest Panem”. Na pierwszej stronie zawarł motto: „Ta gazetka jest bezpłatnym Bożym darem, świadectwem Jego mocy i uwolnienia”. – Z bagna zła podniosłem się dzięki Bogu. Gazetki piszę, żeby tę nadzieję przynieść i innym – tłumaczy. Podobnie mówią inni więźnienni redaktorzy. – To nie przypadek, że oni wszyscy mają długie kontrakty, czyli wyroki. Żeby przetrwać w tym miejscu, muszą robić coś wyjątkowego, a te gazetki takie są. Czy pomagają czytelnikom, nie mam pojęcia. Ale wiem, że pisanie pomaga piszącym – mówi więzienny psycholog.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Ale Kino Latino!



czyli festiwal filmów latynoamerykańskich

Własny kawałek świata (Un lugar en el mundo)

reżyseria: Adolfo Aristarain
Jeden z najstojniejszych filmów argentyńskich lat 90.
Z nostalgią o ideałach młodości.

Buenos Aires Vice Versa (Buenos Aires Vice Versa)

reżyseria: Alejandro Agresti
Portret współczesnej Argentyny. Bez złudzeń, za to z humorem.

Jeden dzień szczęścia (Un día de suerte)

reżyseria: Sandra Gugliotta
Buenos Aires 2002. Miłość w czasach wielkiego kryzysu gospodarczego.

Król i jego film (La película del rey)

reżyseria: Carlos Sorin
Surrealistyczna komedia pomyłek. Srebrny Lew w Wenecji.

Żadnych ale
– samo kino!

ale kino!

Kanał dostępny w dobrych sieciach kablowych
oraz na platformie **CYFRA+** www.alekino.pl

KRAKÓW

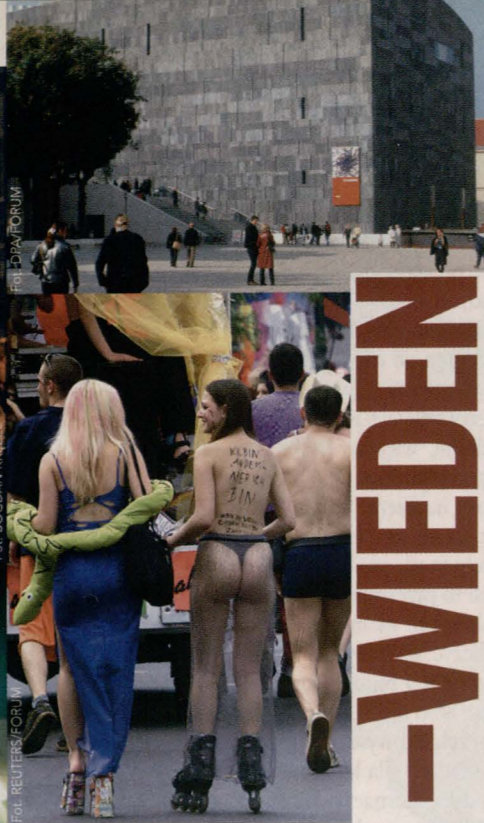


Fot. BOGDAN KRZYZTOFOR

Fot. REUTERS/FOCUS

Fot. CORBIS/FREE

-WIEDEN



Jak połączyć turystykę weekendową z kulturą, czyli kiedy do Krakowa, a kiedy do Wiednia?

Dokąd w wakacje ruszyć na weekend? Problem rozwiąże seria przewodników miejskich publikowanych przez „Przekrój” we współpracy z wydawnictwem Pascal. Pierwsze dwa – Berlin i Poznań – już w tym numerze. Następne – Kraków i Wiedeń – do kupienia z kolejnym – 24. – numerem „Przekroju”. Przewodniki zachęcają, dokąd jechać. A my (poniżej) podpowiadamy kiedy.

KRAKÓW

Kiedy przychodzi lato, Kraków staje się Kroke, bo Kroke znaczy Kraków, ale w jidysz. Wtedy właśnie (25.06–3.07) warto być w Krakowie, bo zacznie się 15. Festiwal Kultury Żydowskiej. W tym roku, jak zawsze, będzie można pouczyć się jidysz, tańca czy kaligrafii hebrajskiej. Ale i posłuchać dobrego klezmer-jazzu, między innymi w wykonaniu grupy Paul Brody's Sadiwi – muzyków z Nowego Jorku i Berlina. Koncert zagrają 7.07 w Alchemii, jednym z bardziej klimatycznych miejsc na krakowskim Kazimierzu.

Mniej więcej w tym samym czasie w galerii Krzysztofora zostanie otwarta wystawa „Masyzna miłości i śmierci” (27.06) organizowana przez Ośrodek Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora „Cricoteka”. Nie wypada jej ominąć, skoro w tym roku mistrz świętowałby

90. urodziny. Cricoteka otworzy jeszcze jedną ekspozycję: „Pejzaż w twórczości malarzkiej i rysunkowej Tadeusza Kantora” (7.07). Odwiedzając galerie, warto też wstąpić do Bunkra Sztuki na wystawę „Boys” (od 14.06). Projekt realizuje nieformalna grupa Exgirls, czyli Magdalena Ujma i Joanna Zielińska, które badają odbicie wzorców męskości w nowej polskiej sztuce. Exgirls zaprosiły do udziału w wystawie między innymi Supergrupę Azorro, Katarzynę Kozyrę i Dorotę Nieznalską.

Początek lipca to także Niedziela Nowo-orleańska na Rynku Głównym (7.07), która rozpocznie X Letni Festiwal Jazzowy (10.07–7.08). Tej niedzieli jazz grany z pięciu scen opanuje rynek. Warto się włączyć i w tę zabawę, bo z Krakowa uciekło ostatnio parę festiwalowych muzycznych atrakcji. Miasto postawiło za to na kulinaria – od majowego festiwalu zupy po festiwal pierogów (14–15.08). To także gratka nie lada, bo najlepsze krakowskie restauracje lepią pierogi i oddają do degustacji na krakowskim rynku. Latem w Krakowie będzie można więc najpierw posilić ducha, a potem ciało. Ruskimi albo z mięsem. (KDJ)

WIEDEN

Będą operetki, wale i koncerty mozartowskie. To też. Ale Wiedeń zaskoczy tych, którzy stolicę Austrii kojarzą wyłącznie z noworocz-

nym marszem Radetzkiego i pluskiem Dunaju. Muzyki w Wiedniu tego lata nie zabraknie, choć bynajmniej nie będą to wyłącznie dźwięki smyczków i klawesynu.

Już 20.06 miasto na wieź legendy heavy metalu Ozzy Osbourne wraz z zespołem Black Sabbath. Tym, którzy od elektrycznych gitar wolą kojące brzmienie fortepianu, zaproponować można z kolei Jazz Fest Wiedeń (27.06–29.07), jeden z największych europejskich festiwali jazzowych. W tym roku wystąpią takie gwiazdy, jak Ravi Shankar, hinduski muzyk grający na tradycyjnym sitarze, wokalista Bobby McFerrin, pianista Chick Corea czy nawet nasza Anna Maria Jopek.

Znajdzie się i miejsce na taniec. W dniach 17.07–13.08 rusza kolejna edycja festiwalu ImPulsTanz. Występy artystów z całego świata urozmaicą warsztat tańca nowoczesnego.

Wiedeń to latem jedno z ważniejszych centrów życia kulturalnego gejów i lesbijek. Imprez organizowanych z myślą o środowiskach homoseksualnych nie brakuje w ciągu całego roku. Jednak niewątpliwie, podobnie jak w ubiegłych latach, jednym z najbardziej spektakularnych przedsięwzięć w letnim grafiku wydarzeń kulturalnych będzie Rainbow Parade skupiająca za każdym razem około 100 tysięcy przedstawicieli mniejszości seksualnych, więc jeśli ktoś nie może swoich upodobań eksponować na paradach w Warszawie czy Krakowie, pozostaje mu wycieczka do Wiednia. Spodziewać się można feerii barw i karnawałowego przepychu przy dźwiękach techno. To nie wszystko. W ramach Identities Queer Festival (2–10.06) odbędzie się przegląd filmów podejmujących tematykę mniejszości seksualnych.

W tym sezonie letnim w wiedeńskich festiwalach różnego rodzaju będzie można przebieierać – od imprez muzycznych, tanecznych i filmowych aż po słynny Wiener Festwochen, podczas którego zostaną zaprezentowane z górą 164 przedstawienia teatralne. We wrześniu wart zauważenia jest Wiedeński Festiwal Literacki – niezmordowani austriacy pisarze czytać będą swoje utwory non stop przez 24 godziny (10–11.09). (MAL)

„PRZEKRÓJ” W PODRÓŻY PRZEZ CAŁY CZERWIEC
CO TYDZIEŃ DODATKI SPECJALNE

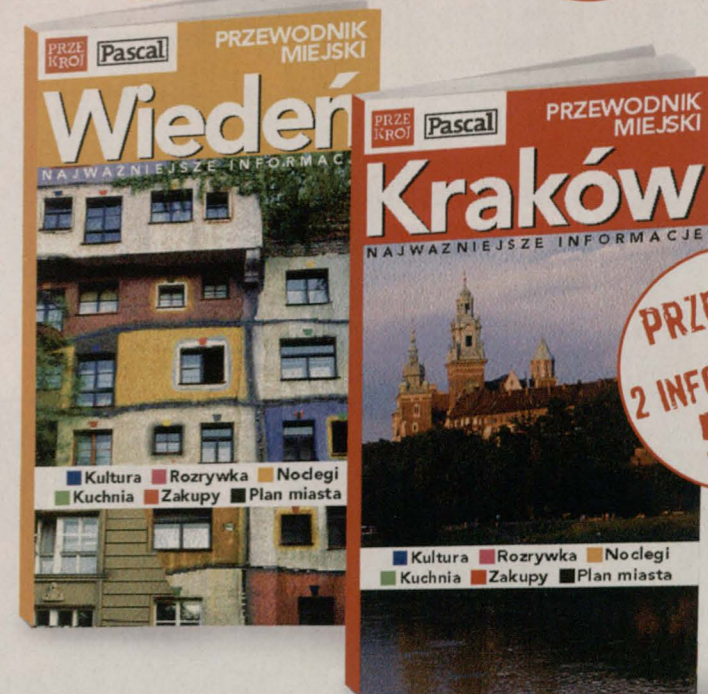
PRZYGOTOWANE PRZEZ
WYDAWNICTWO PASCAL

już za tydzień

Chcesz odwiedzić
Wiedeń i Kraków?

Sięgnij po nasze
praktyczne przewodniki.

Znajdziesz w nich
opis atrakcji
i najważniejszych miejsc,
które warto zobaczyć,
a także informacje
o noclegach, kuchni,
rozrywkach
oraz plany miast



PRZEKRÓJ
+
2 INFORMATORY
5,50



Chcesz podróżować po Polsce?

Sięgnij po książkowy

„Przewodnik Podróżnika”

„Polska. Cz. II – Góry i pogórza”

– 130 stron o najpiękniejszych zakątkach kraju

PRZE
KROJ

Pascal

SZUKAJ W KIOSKACH JUŻ 9 CZERWCA

NIE TRĄĆ CZASU!

Sprawdź, skąd pochodzisz

CO WIESZ O SWOICH PRZODKACH?

Moi prapradziadkowie przyjechali do Polski z Niemiec, ale o ich rodzicach już nic nie wiem. Dziadka ze strony ojca nigdy nie poznałem. A im dalej w historię rodziny, tym trudniej o informację. Nie tylko dlatego, że pamięć jest zawodna, ale i dlatego, że coraz więcej przodków. Dziadków mieliśmy czworo, prapradziadków – ośmioro, a praprapradziadków – aż – 32. A przecież to zaledwie jakieś 150 lat historii. Ludzie tacy jak my żyją na Ziemi od około 200 tysięcy lat – to ponad sześć tysięcy pokoleń. Co się działo z twoją rodziną przez ten cały czas? Czy masz w sobie krew inuickich myśliwych, czy może dzielisz geny z Aztekami? Nadarza się okazja, by się tego dowiedzieć. Rusza właśnie „Genographic” – pierwszy na świecie ogólnodostępny program badań genetycznych, który pozwala każdemu poznać historię jego przodków.



PIOTR STANISŁAWSKI, POLSKA, EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA

JEDNO JEST PEWNE – LUDZIE WYWODZĄ SIĘ Z AFRYKAŃSKIEJ SAWANNY.

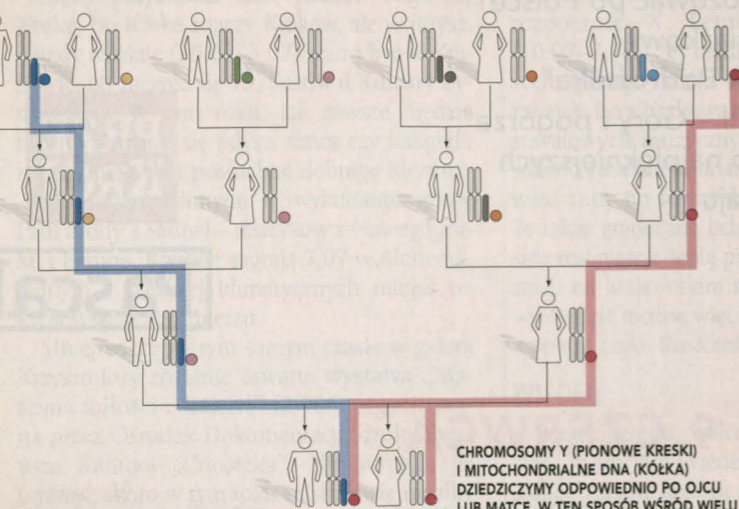
Z tego obszaru rozpoczęliśmy wędrówkę po świecie. Jej szczegóły jednak wciąż pozostają tajemnicą. Ślady archeologiczne są za mało precyzyjne, by jednoznacznie wykreślić szlaki. Jedynym sposobem, by je określić, są badania genetyczne. Każdy z nas nosi genetyczny ślad swoich przodków – dziecko dziedziczy połowę genów matki i połowę genów ojca. Ale bracia i siostry mogą mieć inne zestawy genów – za każdym razem informację od matki i ojca zostają wymieszane. Na szczęście są fragmenty, które niemal nie ulegają zmianom. U mężczyzn stałym fragmentem genotypu jest chromosom Y. Określa on płeć i występuje tylko u samców, nie ma więc odpowiednika u kobiet i podczas rozmnażania zawarta w nim informacja nie ulega



BUSZMENI OD TYSIĄCLECI ŻYJĄ NA TERENACH, NA KTÓRYCH POWSTAŁA LUDZKOŚĆ. PRZEZ WIĘKSZOŚĆ CZASU ICH GENY NIE MIESZAŁY SIĘ Z INNYMI, MOŻNA WIĘC UZNAĆ, ŻE TAK WŁAŚNIE WYGLĄDAŁI NASI PRAPRZODKOWIE, KTÓRZY PÓŹNIEJ ROZESZLI SIĘ PO CAŁYM ŚWIECIE. POTWIERDZAJĄ TO BADAŃ GENETYCZNE. BUSZMENI MAJĄ NAJWCZĘŚNIEJSZE WERSJE MARKERÓW GENETYCZNYCH, Z KTÓRYCH EWOLUOWAŁY WSZYSTKIE INNE



JULIUS INDAAYA HUNHUN Z PLEMENIA IUN W TANZANII



CHROMOSOMY Y (PIONOWE KRESKI) I MITOCHONDRIALNE DNA (KÓŁKA) DZIEDZICZYMY ODPOWIEDNIO PO OJCU LUB MATCE. W TEN SPOSÓB WŚRÓD WIELU PRZODKÓW ŁATWO WYZNACZYĆ PROSTE LINIE DZIEDZICZENIA DANEGO TYPU CHROMOSOMU I LUB MTDNA

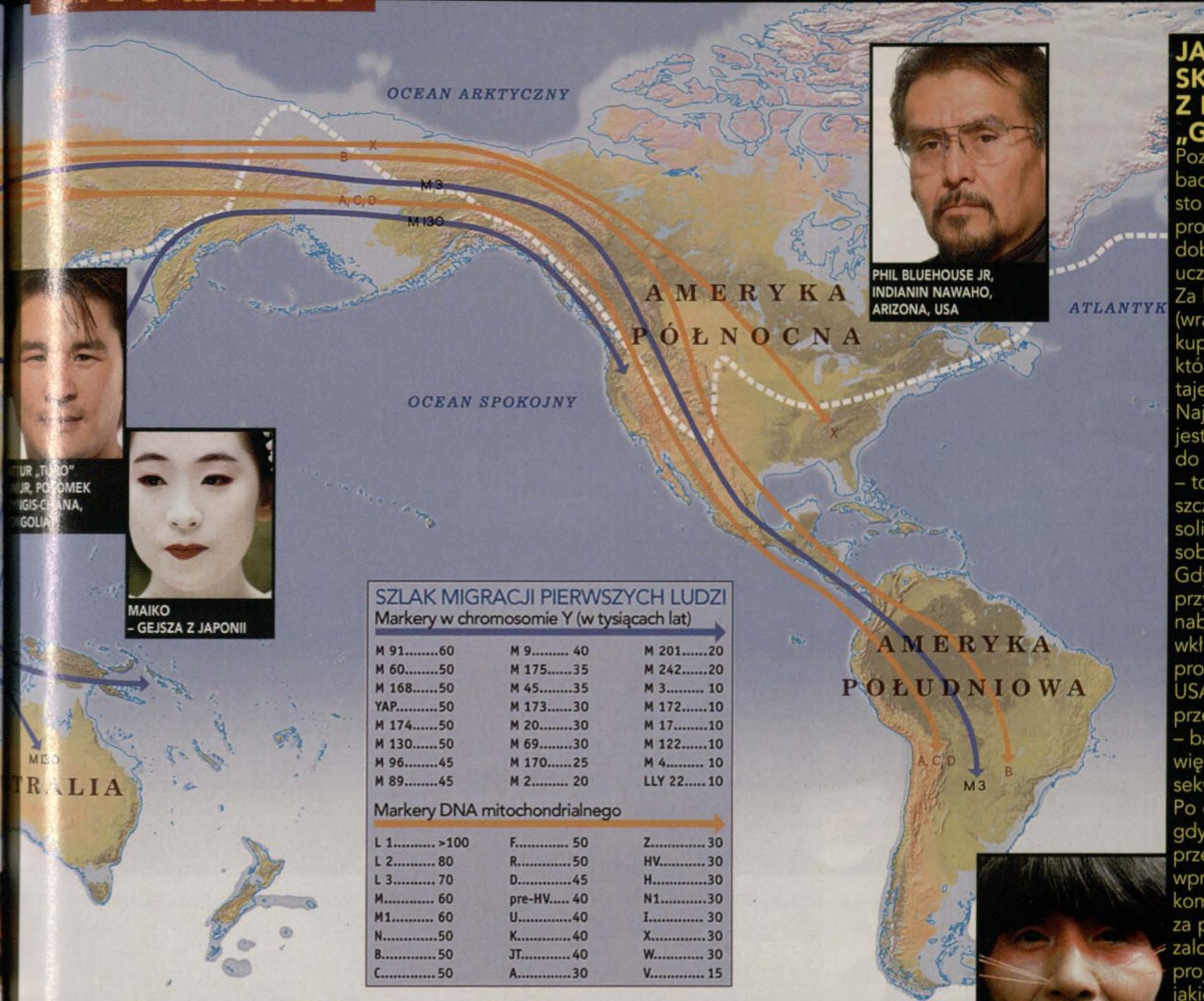
wymieszaniu. Jest przekazywany w stanie nienaruszonym – oczywiście tylko synom. Z kolei kobiety przekazują sobie z pokolenia na pokolenie niezmienione DNA mitochondrialne (mtDNA) – ten fragment kodu genetycznego również nie ulega rekombinacji, czyli mieszaniu, w czasie rozmnażania. Dzięki takim stałym elementom łatwo prześledzić historię rodziny: mam ten sam chromosom Y co mój tata, jego tata i tata jego taty. Moja siostra dziedziczyłaby DNA mitochondrialne tylko po żeńskiej linii mojej mamy. Jednak i te stałe fragmenty DNA podlegają zmianom – mutacjom pojawiającym się na skutek błędów w tworzeniu kolejnych kopii nici kwasu dezoksyrybonukleinowego, czyli właśnie DNA. Gdy w którymś pokoleniu zajdzie taka zmiana, zaczyna być przekazywana potomstwu. Dlatego chromosomy Y i mtDNA różnią się u ludzi niespokrewnionych. Punkty, w których zaszły zmiany, nazywa się markerami – na ich podstawie łatwo śledzić historię danej rodziny.



DZIEWCZYNA Z PLEMENIA PADAUNG W TAJLANDII



RDZENNY MIESZKANIEC AUSTRALII



PHIL BLUEHOUSE JR., INDIANIN NAWAHO, ARIZONA, USA



TUR, „TURKO” TUR, POTOMEK NIGIS-CIANA, GOLI



MAIKO – GEJSZA Z JAPONII

SZLAK MIGRACJI PIERWSZYCH LUDZI

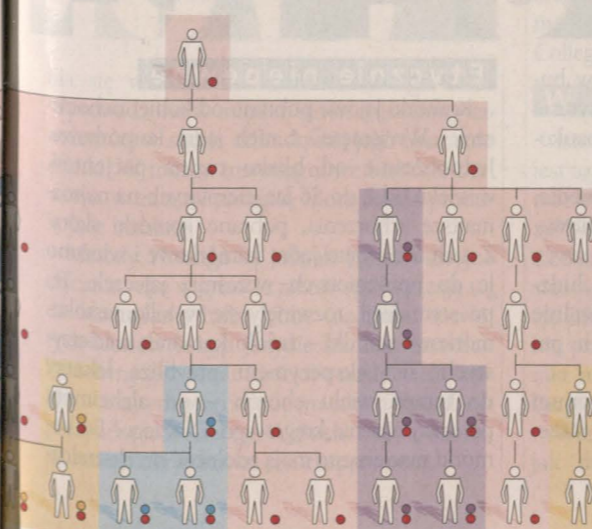
Markery w chromosomie Y (w tysiącach lat)

M 91.....60	M 9.....40	M 201.....20
M 60.....50	M 175.....35	M 242.....20
M 168.....50	M 45.....35	M 3.....10
YAP.....50	M 173.....30	M 172.....10
M 174.....50	M 20.....30	M 17.....10
M 130.....50	M 69.....30	M 122.....10
M 96.....45	M 170.....25	M 4.....10
M 89.....45	M 2.....20	LLY 22.....10

Markery DNA mitochondrialnego

L 1.....>100	F.....50	Z.....30
L 2.....80	R.....50	HV.....30
L 3.....70	D.....45	H.....30
M.....60	pre-HV.....40	N1.....30
M1.....60	U.....40	I.....30
N.....50	K.....40	X.....30
B.....50	JT.....40	W.....30
C.....50	A.....30	V.....15

TO MARKERY GENETYCZNE, A KOLORY OZNACZAJĄ RÓŻNE ICH WERSJE. W PIERWSZYM I DRUGIM POKOLENIU WYSTĘPUJĄ ONE TYLKO W JEDNEJ WERSJI CZERWONEJ. POTEM, WRAZ Z ZACHODZENIEM MUTACJI, POJAWIAJĄ SIĘ KOLEJNE COŚMIANI – NAJPIERW NIEBIESKA I FIOLETOWA, POTEM INNE. NA PODSTAWIE POJAWIANIA SIĘ KOLEJNYCH MUTACJI WERSJI MOŻNA OKREŚLIĆ ZALEŻNOŚCI RODZINNE ODNĄLEŻĆ WSPÓLNEGO PRZODKA



MARKERY GENETYCZNE dostarczają ciekawych informacji, gdy połączy się je z danymi geograficznymi. Choć nasi przodkowie sprzed 2, 10 czy 100 tysięcy lat od dawna nie żyją, to wędrowali po świecie i podczas podróży płodzili dzieci, które przekazywały ich genetyczne piętno zawarte w chromosomach Y i mtDNA. Jeśli zdołalibyśmy od tysięcy ludzi z całego świata pobrać próbki DNA i zbadać zawarte w nich markery, stwierdzilibyśmy, jakie były szlaki tych wędrówek – potomkowie naszych przodków żyją wciąż na ich trasie. To zadanie postawili przed sobą twórcy projektu „Genographic”. To dzieło Towarzystwa National Geographic, firmy IBM i fundacji Waitt Family, które zajęły się stroną merytoryczną, infrastrukturą komputerową i finansowaniem przedsięwzięcia. Na czele projektu stoi doktor Spencer Wells, który kilka lat temu prowadził podobny, choć skromniejszy program „The journey of man”. Przebadał około 10 tysięcy osób, głównie z Azji. Potwierdził, że ludzie przywędrowali do Australii przez Półwysep Arabski, Indie i Azję Południowo-Wschodnią.



INDIANKA Z DORZECZA AMAZONKI, PERU



POBRANIE DNA JEST BARDZO PROSTE – WYSTARCY ZA POMOCĄ ODPOWIEDNIEJ SZPATEŁKI ZROBIĆ WYMAZ Z JAMY USTNEJ

JAK TY MOŻESZ SKORZYSTAĆ Z PROJEKTU „GENOGRAPHIC”?

Poza ogólnodostępnymi badaniami obejmującymi sto tysięcy ludzi prowadzona jest akcja dobrowolnego uczestnictwa w badaniach. Za blisko 125 dolarów (wraz z przesyłką) można kupić zestaw, dzięki któremu możemy poznać tajemnicę własnego DNA. Najważniejszą jego częścią jest specjalny próbnik do pobierania komórek – to coś na kształt szczoteczki, którą musimy solidnie wypędzować sobie wewnątrz policzka. Gdy do próbnika przyklepi się komórki nablonka, całość wkładamy do specjalnej próbki i wysyłamy do USA. Wraz z próbkami przesyłamy nasz tajny kod – badania są anonimowe, więc identyfikuje nas tylko sekwencja 10 znaków. Po około 1,5 miesiąca, gdy nasze DNA zostanie przebadane, a dane wprowadzone do systemu komputerowego, możemy za pomocą kodu zalogować się na stronie projektu i dowiedzieć, jakie markery niesiemy w DNA, a więc skąd pochodzą i którzy wędrowali nasi przodkowie. Ale to nie koniec – projekt ma trwać pięć lat i im więcej próbek zostanie zebranych, tym dokładniejsze będą informacje o naszej własnej historii. Warto więc regularnie zaglądać na swoje konto – może tam czekać sporo niespodzianek.

Fot. CORBIS/FREE (3), NATIONAL GEOGRAPHIC (7), Rys. MM (2), NATIONAL GEOGRAPHIC MAPS



Profesor Woo Suk Hwang (pośrodku) z najbliższymi współpracownikami

Kilkanaście dni temu koreańscy uczeni ogłosili, że jako pierwsi na świecie „wyprodukowali” komórki macierzyste skrojone na miarę pacjenta. Jak wygląda od kuchni najlepsza na świecie pracownia naukowa zajmująca się tworzeniem zarodkowych komórek macierzystych?

ALICE PARK, SEUL

robí niesamowite wrażenie – przynajmniej Stephen Minger, szef laboratorium biologii komórek macierzystych w londyńskim King's College. – To fantastyczny, ogromny przełom.

W Azji łatwiej

Istotą przełomu autorstwa profesora Hwanga jest to, że każda nowo stworzona linia komórek macierzystych jest genetycznie identyczna z DNA danego pacjenta. Oznacza to, że dowolna tkanka powstała z tej linii komórek może zostać wszczepiona pacjentowi bez obaw o reakcję immunologiczną podobną jak przy odrzuceniu przeszczepionego narządu. Na razie jednak nikt nie wie, czy komórki macierzyste można bezpiecznie wszczepiać ludziom.

Wielu naukowców było zaskoczonych tym, jak daleko dotarli Koreańczycy. Zaledwie

15 miesięcy temu grupa Hwanga wywołała poruszenie, oświadczając, że jako pierwsze – i na razie jedyne – laboratorium pracuje nad tworzeniem ludzkich komórek macierzystych metodą SCNT.

Koreańczycy musieli wtedy zużyć 242 ludzkie komórki jajowe, by wytworzyć jeden nadający się do użytku „zestaw” komórek macierzystych. Tym razem udało się stworzyć 11 linii komórek macierzystych, wykorzystując średnio po 17 komórek jajowych na każdą z nich. – Ich wydajność jest wysoka, znacznie wyższa, niż przypuszczaliśmy – mówi Doug Melton, naukowiec z Harvard University i bostońskiego Howard Hughes Medical Institute, zajmujący się komórkami macierzystymi. – Taką wydajność w przypadku komórek myszy osiągnięto po dziesiątkach lat intensywnych badań. W wypowiedziach Berga, Meltona i ich amerykańskich naukowców słychać nutki zazdrości.

Badania nad komórkami macierzystymi w Azji – nie tylko w Korei Południowej, ale i w Chinach, Japonii czy Singapurze – błyskawicznie wyprzedzają to, nad czym pracuje się w USA. W dużej mierze to efekt różnic w polityce rządów tych krajów.

Korea Południowa na przykład zakazała wykorzystywania technik klonowania do „tworzenia” dzieci, ale prace Hwanga wspiera się dotacjami w wysokości dwóch milionów dolarów rocznie. Dla odmiany amerykańscy naukowcy, którzy chcą prowadzić badania nad ludzkimi komórkami macierzystymi, muszą ograniczyć się do garstki zatwierdzonych przez władze federalne już istniejących linii komórek macierzystych, z których większość jest tak słabej jakości, że nie nadaje się do pracy. Decyzją prezydenta Busha z 2001 roku nie mogą produkować nowych linii komórek zarodkowych za pieniądze z budżetu federalnego.

Metoda własna

Jednak same tylko różnice prawne nie tłumaczą południowokoreańskiego sukcesu. Pokazała to wyraźnie wizyta „Time'a” w laboratorium Hwanga. To prawdziwa fabryka.

– Oni pracują 365 dni w roku, no, może poza latami przestępnymi, kiedy robią to przez 366 dni – mówi doktor Gerald Schatten, który pomagał Koreańczykom w przygotowaniu angielskiej wersji publikacji ich dokonań. – Pierwsze poranne zebranie w laboratorium mają o 6.30. W niedzielę trochę później, bo o 8.00 – dodaje. Nikt jednak nie jest bardziej zajęty i skupiony niż dyrektor Hwang.

Hwang urodził się tuż po wojnie koreańskiej i wychował w biednej wiosce w prowincji Chungcheong, trzy godziny drogi od Seulu. – Trudno było przeżyć – wspomina. Ojciec zmarł, kiedy Hwang miał pięć lat, a matka wychowała szóstkę dzieci, zarabiając

W FABRYCE KLONÓW

est tutaj ciepło i niemal ciemno, dociera tu tylko światło przechodzące przez szklane drzwi. Wzdłuż ściany stoją inkubatory wielkości lodówek utrzymujące w środku temperaturę ludzkiego ciała. Przy drugiej ścianie laborantka w kombinezonie, masce i czepku ogląda pod mikroskopem sześć świeżo pobranych od dawczyń ludzkich komórek jajowych. Z pipetą w jednej ręce i mikroigłą w drugiej zaczyna manipulację – przyciska jedno z jaj do końca pipety i rozcina membranę. Za pomocą igły delikatnie ścisną komórkę, dopóki – niczym marmolada z pączka – nie wypłynę z niej jądro.

To laboratorium na szóstym piętrze w budynku numer 85 w Narodowym Uniwersytecie w Seulu. Tu właśnie pracuje koreański naukowiec Woo Suk Hwang.

Jego nazwisko obiegło światowe media, gdy ogłosił, że za pomocą techniki klonowania wykorzystanej przy stworzeniu owcy Dolly zdołał wyprodukować 11 linii ludzkich komórek macierzystych, które idealnie odpowiadały DNA potrzebujących ich pacjentów.

To wielki krok naprzód, żadne laboratorium na świecie jak do tej pory nie dokonało niczego podobnego.

Etycznie niepewne

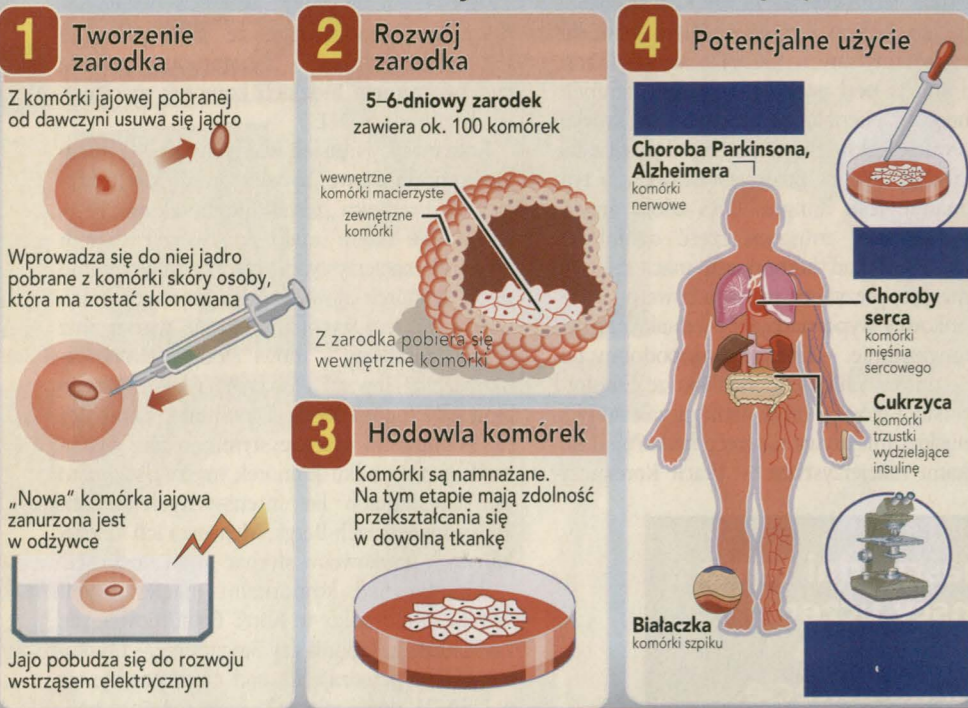
Komórki jajowe pobrano od kobiet ochotniczek. „Wyciśnięto” z nich jądra komórkowe. Jednocześnie od blisko tuzina pacjentów w wieku od 2 do 56 lat, cierpiących na najrozmaitsze schorzenia, pobrano komórki skóry. Z nich też wyjęto jądra komórkowe i włożono je do opróżnionych wcześniej jajeczek. Te, po stymulacji, rozwinęły się w kilkunastokomórkowe zarodki – źródło komórek macierzystych. Ten eksperyment przybliży lekarzy do terapii wielu chorób – od alzheimera po urazy rdzenia kręgowego. Dlaczego? Bo komórki macierzyste mają zdolność przekształca-

nia się w dowolne komórki naszego ciała. Wprowadzone w miąższ serca zniszczone zawałem są w stanie odbudować jego obumarłe tkanki. W mózgu utworzą nowe komórki nerwowe, w trzustce zastąpią chore tkanki produkujące insulinę.

Metody Hwanga są jednak kontrowersyjne etycznie – bo w gruncie rzeczy sprowadzają się do klonowania ludzi, choć (na razie) rozwój klonów osiąga jedynie stadium zarodka. Przeciwny jest temu Kościół i rządy wielu krajów – znanym przeciwnikiem takich metod jest prezydent USA George W. Bush. Biały Dom natomiast skrytykował ten eksperyment.

medycyna

Klonowanie zarodkowych komórek macierzystych



Źródło: AFP/NIH/MRC

Profesor Hwang pilnuje, by przez większość czasu komórkom macierzystym towarzyszył przynajmniej jeden człowiek. – To praca, w którą trzeba tchnąć ludzkiego ducha – mówi

na wypasaniu krów sąsiadów. Po szkole Hwang opiekował się trzema krowami, którymi zajmowała się jego rodzina. Wtedy postanowił, że gdy dorośnie, będzie zajmował się zwierzętami. Hwang, z wykształcenia weterynarz, mówi, że jego prace nad ludzkimi komórkami macierzystymi nie byłyby możliwe, gdyby nie szeroki program badań nad zwierzętami. Opracował własną „linię montażową” składającą się z prawie 20 etapów, która pozwoliła poprawić wydajność produkcji ludzkich komórek macierzystych. – Chciałem opracować oryginalną technikę, a nie tylko naśladować i modyfikować to, co robili już inni – mówi.

Przykład? Asystenci Hwanga delikatnie wyciskają jądro z komórek jajowych dostarczonych przez wolontariuszki, zaś w innych laboratoriach wysysa się zawartość jaja, co zdaniem Hwanga może je niszczyć. – Profesor Hwang żartuje, że tak dobrze idzie nam manipulacja mikronarzędziami przy komórkach jajowych, bo potrafimy posługiwać się pałeczkami – uśmiecha się Okjæ Koo, jeden z asystentów pracujących w laboratorium.

Kiedy DNA pacjenta znajdzie się w opróżnionym jajku, stworzona tak komórka stymulowana jest elektrycznie i chemicznie, by zaczęła się dzielić. Na tym etapie inni naukowcy wykorzystywali czynniki wzrostu i pożywki pozyskiwane od zwierząt, ale to problem, jeśli komórki macierzyste mają być używane do leczenia ludzi. Hwang stworzył więc pożywkę z ludzkich składników odżywczych. Kiedy zarodki zaczynają się rozrastać, tworząc skupi-

ska kilku komórek macierzystych, naukowcy starają się nie przyspieszać tego procesu. Większość naukowców wykorzystuje w tej fazie środki chemiczne do oddzielenia komórek macierzystych od pożywki. – Moim zdaniem im mniej manipulujemy, tym lepiej – przekonuje Hwang.

Trzeba mieć szacunek

Ten szacunek dla naturalnego porządku rzeczy może się wydawać niezwykły w przypadku kogoś, kto pracuje nad czymś uważanym przez ogół za całkiem nienaturalne. Ale Hwang uważa, że tworzenie komórek macierzystych to coś więcej niż eksperyment naukowy.

Nie przypadkiem w jego laboratorium więcej jest ludzi niż maszyn. Profesor stara się, by jego eksperyment miał jak najbardziej ludzkie

oblicze. Pilnuje nawet, by przez cały dzień i większość nocy rosnącym komórkom macierzystym towarzyszył przynajmniej jeden człowiek, by w ten sposób okazać im szacunek – To taka praca, w którą trzeba tchnąć ludzkiego ducha – wyjaśnia. Uważa też, by nie używać określeń takich jak klonowanie czy klonowanie terapeutyczne. Nie chce, by ktokolwiek wziął jego pracę za klonowanie reprodukcyjne, które jego zdaniem jest „niebezpieczne i nieetyczne”. Nie chce też dawać ludziom nadziei, że terapie związane z komórkami macierzystymi pojawią się bardzo niedługo.

Nauka sterowania

Wszczepianie dziś komórek macierzystych pacjentom byłoby zbyt niebezpieczne, bo mogą trafić się one przeistoczyć także w nowotwór. Badacze muszą się lepiej nauczyć sterowania ich zachowaniem.

Tymczasem bezpośrednią korzyścią z prac Hwanga będzie – o ile uda się je powtórzyć – lepsze zrozumienie tego, jak rozwijają się choroby. – Zamiast badać pacjenta czy świeżo pobraną od niego tkankę, możemy stworzyć linię komórek macierzystych noszących geny jakiejś choroby i obserwować jego aktywność w zależności od środowiska – wyjaśnia Hans Keristead, neurobiolog z University of California w Irvine.

– Jestem bardzo podekscytowana możliwością tworzenia dużych ilości materiału na przykład od młodych pacjentów cukrzyków do badań nad złożonymi genetycznymi przyczynami tego schorzenia – mówi Anne McLaren, biolog rozwoju z Wellcome Trust/Cancer Research Campaign Institute w brytyjskim Cambridge.

Tymczasem wielu naukowców zadaje sobie pytanie: co teraz zrobią Koreańczycy? Niedawno Hwang spotkał się z twórcą owieczki Dolly Ianem Wilmutem, który chce pracować z Koreańczykami nad lepszym poznaniem mechanizmów choroby Lou Gehriga. Podobną współpracę chcą nawiązać Memorial Sloan-Kettering Cancer Center z Nowego Jorku i Johns Hopkins University z Baltimore.

Co powie na to Woo Suk Hwang? Nigdy nie był zbyt otwarty na resztę naukowego świata. Gdy kilka dni temu wrócił do swego laboratorium w Seulu, zamknął się jeszcze bardziej...

Alice Park, Seul

Współpraca Helen Gibson, Londyn, i Laura A. Locke, San Francisco

© 2005. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRZEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE.



RADIO MUZYKA FAKTY

NAJLEPSZA MUZYKA



2xCD
Anastacia, Sarah Connor, Kayah & Krzysztof Kiljański, Brodka, Lemar, Alicia Keys, Natasha Bedingfield, Maroon5 i inni

Kup najnowszą płytę RMF FM i posłuchaj najlepszej muzyki 2005 roku! Dodatkowo dzięki niej obejrzysz teledyski, przeczytasz ciekawostki o artystach oraz ściągniesz dzwonki po promocyjnej cenie! Szukaj w dobrych sklepach muzycznych!



NAJLEPSZA MUZYKA JAK ZAWSZE RMF FM



„Państwa – strony uznają prawo dziecka do ochrony przed wyczerpaniem ekonomicznym i wykonywaniem pracy, która może być niebezpieczna lub może kolidować z kształceniem dziecka bądź może być szkodliwa dla zdrowia [...]” – głosi artykuł 32 Konwencji o prawach dziecka.

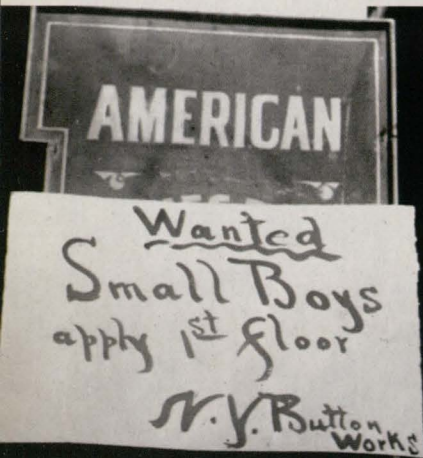
Na zdjęciu: Mali robotnicy z plantacji trzciny cukrowej w RPA

W kalendarzu Dzień Pracy od Dnia Dziecka dzieli miesiąc. Ale już 12 czerwca oba święta łączą się w jedno – Światowy Dzień Walki z Pracą Dzieci. W piekielnych warunkach pracuje dziś 180 milionów małych robotników – i ciągle ich przybywa

ZYWIĄ I BRONIA



Fot. CORBIS/FREE



– To, co zobaczyliśmy, wstrząsnęło nami. Jeśli piekło istnieje, musi wyglądać jak ta kopalnia

o paskudny fach. (...) – powiedział pan Libkins. – Zdarzało się już nieraz, że mali chłopcy dusili się w kominach – rzekł inny pan. – To przez to, że się podpała w kominie wilgotną słomą, jak się chce sprowadzić ich z powrotem na dół – odparł pan Gamfield”. Ów „paskudny fach”, o którym pisze Charles Dickens w „Oliverze Twiście”, nie jest literacką fikcją. W XIX-wiecznej Anglii najdrobniejsze maluchy (a w owym czasie w Londynie aż roilo się od wygłodniałych sierot) doskonale sprawdzają się w roli szczotek do czyszczenia kominów. I tylko ze względów, o których wspominał pan Gamfield, trzeba owe „szczotki” dość często wymieniać.

KTO NIE PRACUJE, TEN NIE JE

W epoce Dickensa dzieci pracują nawet po 16 godzin dziennie. 120 tysięcy dzieciaków (w samym tylko Londynie) gorliwie służą w domach mieszczan i arystokratów.

Do pracy w przemyśle tekstylnym czy kopalniach wysła się już pięciolatki. Te z kopalni, niedożywione, przemęczone, zatrute toksynami, zwykle żegnają się z tym światem jeszcze przed 25. rokiem życia. Wspaniałomyślny rząd w 1833 roku wprowadza ograniczenia w zatrudnianiu dzieci, a ich przestrzegania surowo pilnuje w całej Anglii... czterech inspektorów. Sam autor „Olivera Twiasta” doświadczył jako chłopiec ciężkiej doli robotnika. W wieku lat 12, po tym jak jego ojciec poszedł siedzieć za długi, Charles zmuszony jest podjąć pracę w londyńskiej fabryce czernidła do butów. Właśnie tu dogłębnie poznaje ekonomiczne realia Anglii z czasów rewolucji przemysłowej. Amerykańskim odpowiednikiem Dickensa jest Lewis W. Hine, tyle że zamiast piórem posługuje się aparatem fotograficznym. Pracuje dla organizacji walczącej o prawa najmłodszych robotników National Child Labour Committee i właśnie na jej zlecenie jeździ po całej Ameryce i fotografuje dzieci

Mali robotnik w kopalni w Potosi. Dzieci pracują tu po kilkanaście godzin dziennie, nienaturalnie poskręcane i wygięte tak, by zmieścić się w wąskich tunelach

Po lewej stronie: „Mali chłopcy potrzebni do pracy”, amerykańskie ogłoszenie z początku wieku

Poniżej: Kopalnia szmaragdów w Kolumbii. Całe rodziny w pocie czoła i ulewnym deszczu poszukują „zielonego marzenia”



Fot. FERNANDO MOLERES/PANOSZEK PICTURES

Ta Kurdyjka jest jedną z setek dzieci zbierających aluminium i miedź z niewypałów. Jeśli nic się jej nie stanie, za kilogram złomu dostanie 10 centów



Fot. ERIC MERTZ/PANOSZEK PICTURES

pracujące w fabrykach cygar, bawełny, hutach szkła, przy rybołówstwie, na plantacjach albo ulicach, które przemierzają jako kurierzy, sprzedawcy, pucybuci.

W roku 1910 w USA zatrudnione są dwa miliony dzieci poniżej 15. roku życia. Zarabiają mniej niż dorośli, pracując po kilkanaście godzin dziennie, a ich drobne dłonie przydają się w zajęciach wymagających precyzji i delikatności.

Delikatność – i spryt detektywa – przydaje się też Hine’owi w trakcie fotografowania, którego cel musi ukrywać przed właścicielami fabryk. Jest przy tym niezwykle skrupulatny: aby jego świadectwo było jak najpełniejsze, notuje wszystko, co mówią mu dzieci. Opowieści zapisuje dyskretnie, dłonią zanurzoną w kieszeni marynarki, w której zawsze spoczywają ołówek i kartki papieru.

Dzieci na czarno-białych portretach Lewisa W. Hine’a są niezwykle poważne. Ale to chyba nie smutek, lecz zmęczenie i troska o byt, które zwykle znaczą twarze ludzi o wiele, wiele starszych. W oczy rzuca się jeszcze jedno: większość małych robotników tonie w zbyt dużych ubraniach – tak samo jak w obowiązkach i problemach skrojonych nie na ich miarę.

Te zdjęcia w ogromnym stopniu zmieniają świadomość Amerykanów, a z czasem nawet prawo dotyczące zatrudniania dzieci. „Każde dziecko powinno pracować, ale praca powinna rozwijać, a nie zabijać!” – poucza obywateli NChLC.

PRACA Z OCHOTĄ ZAMIENI ZIEMIĘ W ZŁOTO

Wiek XX przyniósł na Zachodzie liczne akty prawne biorące dzieci pod ochronę, a w 1989 roku powstała ONZ-owska Konwencja o prawach dziecka. Ale nie oznacza to, że zaplanowała epokę wiecznej szczęśliwości. Na całym świecie dzieci nadal pracują.

– Byliśmy tam i to, co zobaczyliśmy, wstrząsnęło nami do głębi. Jeśli piekło istnieje, musi wyglądać jak ta kopalnia – zanotowali w swoim raporcie pracownicy organizacji Care, którzy dotarli do kopalni srebra, cynku i miedzi w Potosi w Boliwii. Widok, który ukazał się ich oczom, rzeczywiście przywołuje na myśl przedsiónek piekła – kopalnie znajdują się w surowych górach, 4500 metrów nad poziomem morza.

Zanurzenie się w liczący setki kilometrów labirynt prowizorycznie zabezpieczonych szybów wymaga nie lada odwagi – w środku jest wilgotno, duszno i ciasno. Dlatego



Członek birmańskiej partyzantki zmuszającej dzieci do udziału w torturach. W Ugandzie wojsko porwano dzieci z domów, szkół i ulic. W Liberii dowódcy przekonują młoców, że dzięki czarom stają się niewidoczni dla kul przeciwnika. Na całym świecie walczy dziś pół miliona dzieci

Na dole: Nastoletnie prostytutki na Filipinach spełniają każde życzenie: chłopak w biustonoszu udaje transwestytę. Wiek uprawiających prostytucję dzieci obniża się – w wielu krajach ludzie są przekonani, że seks z dzieckiem zabezpiecza przed AIDS. Na „ręk” trafiają już sześciolatki

- Musieliśmy deptać po innych dzieciach i bić je pałkami na śmierć – opowiada były żołnierz

do pracy, muszą pokonać 11-kilometrową drogę przez busz.

Ale dzieci pracują też w przemyśle budowlanym, tekstylnym, metalowym, skórzanym, drzewnym, rozrywkowym, w zakładach szewskich i krawieckich, na plantacjach (kawa, herbata, trzcina, jaśmin, ryż, owoce), w przetwórstwie, usługach, turystyce...

Nie trzeba chyba dodawać, że większość zatrudnionych nie jest objęta żadnym ubezpieczeniem i opieką medyczną. Choroby i kalectwo, o które w warunkach, w jakich pracują dzieci, nietrudno, oznaczają więc ostateczne wypadnięcie z rynku pracy. Z jednym tylko wyjątkiem – na niemającej końca liście „branz” znajduje się również żebractwo. Ubogie, najczęściej wiejskie rodziny, mamione obietnicą kształcenia, pracy w restauracjach czy na służbie, oddają potomstwo pośrednikom. W ramach przygotowań do pracy dzieciom miażdży się nogi, łamie ręce, wstrzykuje środki prowadzące do amputacji kończyn. „Operacje” odbywają się zwykle bez luksusu znieczulenia.

Lista państw, w których zatrudnia się nawet kilkuletnie dzieci, jest bardzo długa, równie długa jest lista przerażających faktów, które przynoszą statystyki: w Brazylii pracuje 5,5 miliona dzieci, w Boliwii 800 tysięcy, w Bangladeszu 5,5 miliona, w Indiach 17 milionów (choć nieoficjalne dane mówią nawet o 150 milionach!), w Kolumbii milion, w Pakistanie 3,3 miliona, w Nepalu 1,6 miliona.

79 milionów zatrudnionych dzieci nie ma 10 lat. Ponad 60 procent małych robotników to mieszkańcy Azji i regionu Pacyfiku. Dzieci zarabiają przeciętnie o połowę mniej, niż wynosi średnia krajowa, niemal połowa nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia. W sumie na świecie pracuje co piąte dziecko, co szóste w bardzo ciężkich warunkach, w kopalniach czy hutach.

Wiele z nich zmuszanych jest do prostytucji (w samej tylko Azji prostytuuje się milion nieletnich) czy wcielanych do wojska. Zwłaszcza ten ostatni proceder niebezpiecznie dziś narasta. Porywane z domów dzieci stanowią 90 procent ugandyjskiej antyrządowej Lord Resistance Army. Opowieści tych, którym jakimś cudem udało się zbiec z jej szeregów, mrożą krew w żyłach. – Musieliśmy deptać po innych dzieciach i bić je pałkami na śmierć – opowiada 16-letni były żołnierz LRA Dennis. LRA zmusza rekrutów do palenia własnych domów i zabijania członków rodzin; w obozach treningowych dzieci uczestniczą w torturach i same są torturowane, gwałcone, bite. Po odbytych „treningu” faszkuje się je narkotykami i wysyła na pierwszą linię frontu. Schwytany uciekinier natychmiast jest zabijany, a tego, który jednak zbiegnie do swojej wioski, też zwykle spotyka śmierć – z zemsty.

Najnowsze dane ONZ mówią, że w tej chwili dzieci są członkami 54 zbrojnych grup

Fot. DEAN CHAPMAN/PANOS/EPIC PICTURES



Fot. FERNANDO MOLERES/PANOS/EPIC PICTURES

w najważniejszych miejscach, na przykład przy zakładaniu dynamitu, który pozwoli otworzyć kolejne podziemne korytarze, pracują dzieci.

Malcy z Potosi wędrują w głąb srebronośnej góry Cerro Rico, choć słowo „wędrować” nie jest tu chyba najszcześniejsze, bo znaczna część owej drogi odbywa się na czworakach. Z jednego poziomu na drugi mali górnicy spuszczają się po linach lub rozchwianych drabinach, ciemności rozświetla im jedynie blade światło kopających karbidówek. W kopalniach nie ma wentylacji, więc temperatura sięga 30 stopni. Co chwila słychać głuchy odgłos kolejnej eksplozji. Dzieci w kopalni zwykle towarzyszą dorosłym. Ci drudzy kują skałę, a dzieci rękami

lub szuflą, która jest tu nie lada luksusem, ładują rudę do worków albo na wózki. Jak 13-letni Mario, który pracuje w Potosi z wujem. Z 30-kilogramowym workiem chłopak rusza w drogę na zewnątrz. Po godzinie ślizgania się na szynach, wdychania pyłu i bmiecia w błocie wychodzi z kopalni. I tak przez 12 godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Ale niedziela bynajmniej nie służy do odpoczynku – to dzień płukania rudy i odsiewania z niej srebra i cyny. Dzień oddychania trującymi gazami.

Jeśli dziecko „tylko” pomaga zatrudnionej w kopalni matce czy, jak Mario, wujowi, wcale nie zarabia. Jeśli jednak jest zwykłym robotnikiem, dostaje miesięcznie równowartość 60 eu-

ro. Niektóre mają jeszcze siłę, by po pracy pójść na kilka godzin do szkoły, ale z dobrodziejstw lokalnej edukacji korzysta niewiele dzieci, i to nie tylko z powodu zmęczenia. Lekcje odbywają się po hiszpańsku, a indiańskie dzieci z boliwijskich wiosek nie znają tego języka. Przybywają tu z okolic z całymi rodzinami i przez lata nie opuszczają terenu kopalni – koczują w prowizorycznych domach bez prądu i kanalizacji albo w pospiesznie zaadaptowanych na mieszkania opuszczonych szybach.

Dzieci trafiają do kopalni zwykle w wieku 12 lat, ale zdarzają się też młodsze. Trudno zresztą na pierwszy rzut oka określić ich wiek – panujące na zewnątrz przenikliwe zimno (mi-

nus 10 stopni), smagający, niosący pył wiatr i mocne słońce z czasem zamieniają wszystkie twarze w podobne do siebie szorstkie maski.

ŻADNA PRACA NIE HAŃBI

Zatrudniające dzieci kopalnie srebra, węgla, cyny, szmaragdów, żelaza, diamentów znajdują się i w Ameryce Łacińskiej, i w Azji, i w Afryce. W peruwiańskim regionie Madre de Dios, gdzie wedle legend ma się znajdować „złote miasto” Inków Paititi, mali dzieci nieprzebranych bogactw kopią złoto, pracując z dala od rodziców. W kopalniach złota Wybrzeża Kości Słoniowej zatrudnia się nawet trzylatki. Zanim robotnicy dotrą

Fot.

Fot.



FOT. CLIVE SHIRLEY/PANOSIEK PICTURES

To właściciele wielkich firm, takich jak Nike, GAP, Tommy Hilfiger, Wal-Mart czy Disney, bogacą się na pracy dzieci



FOT. DERMOT TATLOW/PANOSIEK PICTURES

na całym świecie. Liczba młodocianych żołnierzy nie jest znana, ale chodzi o setki tysięcy dzieci, które nawet jeśli przeżyją, zostają kalekami fizycznymi i psychicznymi. Same Narody Zjednoczone nie wierzą chyba w poprawę sytuacji, skoro w Konwencji o prawach dziecka zapisano ostrożnie, że rządy „będą się powstrzymywały” i „podejmą wszelkie możliwe kroki”, żeby nie rekrutować osób poniżej 15. roku życia. Zresztą, żeby wygłaskować te zapisy, państwa zachodnie najpierw same powinny powstrzymać się od podżegania do zbrojnych konfliktów, cichego handlu bronią i dofinansowywania walczących stron.

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ LUDZIE SIĘ BOGACĄ

Na początku lat 90. Konwencję o prawach dziecka ratyfikuje kilkadziesiąt państw spoza Europy, takich jak: Angola, Gwatemala, Demokratyczna Republika Konga, Indie, Peru, Filipiny, Uganda, Bangladesz czy Salwador. Oczywiście nie zamierzają przestrzegać jej zaleceń. Czy więc ograniczenie pracy dzieci w ogóle jest możliwe?

Międzynarodowa Organizacja Pracy wyliczyła, że bardziej od wysyłania dzieci do pracy opłaca się ich edukowanie. Wyeliminowanie do 2020 roku pracy dzieci przyniosłoby zdaniem MOP aż siedem razy więcej zysków niż poniesione na ten cel koszty!

Obliczenia tyleż optymistyczne, ile utopijne. Bo tu chodzi nie tylko o pieniądze, ale też o złożoną sieć zależności ekonomicznych, politycznych, kulturowych i społecznych, których nie da się, niestety, zgrabnie ująć w cyfry.

Ani pokrótce opisać. Wystarczy jednak pamiętać o tym, że w kulturach tradycyjnych dziecko ma inny status niż w naszej (szczególnie polskiej, która dzisiaj wydłuża okres dziecięcej bez troski, nieodpowiedzialności i niedojrzałości nawet do trzydziestki), że du-

żo szybciej osiąga tak zwaną społeczną dojrzałość.

– W krajach, o których mowa, odpowiedzialność wobec społeczeństwa i rodziny wiąże się silnie z pojęciem moralności – tłumaczy Małgorzata Chodynicka z Instytutu Psychologii Stosunków Międzykulturowych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Być dobrym człowiekiem znaczy tam odpowiadać za innych, łożyć na innych, pomagać rodzinie. Abstrahując od kontekstu ekonomicznego, również stąd bierze się fakt, że w Ameryce Łacińskiej czy Afryce nawet małe dzieci pracują. Jeśli ojciec zarabia 15 dolarów miesięcznie, to kilkunastoletni syn też idzie do pracy i przynosi do domu trzy dolary. Podczas gdy rodzice i starsze dzieci idą na pole czy do fabryki, kilkulatki zajmują się niemowlętami.

Zarobki dzieci stanowią nawet jedną piątą dochodu biednych rodzin. Ale w wielu przypadkach sytuacja jest tak tragiczna, że od pracy dzieci zależy nie tylko poprawa bytu rodziny, ale w ogóle jej przeżycie. Jak w kopalniach w Potosi, gdzie bezrobocie w regionie przekracza 60 procent.

Kiedy jednak konieczność zamienia się w wyzysk? Zdaniem Małgorzaty Chodynickiej wtedy, gdy dzieci nie pracują na rzecz poprawy bytu własnej społeczności czy rodziny, ale generują zyski zagranicznych koncernów w całości trafiające do kieszeni właścicieli korporacji. I to ci ostatni się bogacą, a nie zatrudnieni w ich firmach ludzie. Nic więc dziwnego, że jedna z organizacji działających na rzecz zniesienia pracy dzieci proponowała masowe wysyłanie listów do Nike, GAP, Tommy'ego Hilfigera czy Wal-Martu, żeby zaprzestano zatrudniania dzieci w krajach Trzeciego Świata. O ironio, z pracy dzieci bardzo chętnie korzysta Disney – za kilkanaście centów za godzinę maluchy w Chinach, Wietnamie, Bangladeszu szują kolorowe disneyowskie

ubranka i robią zabawki, które nasze pociechy znajdują w zestawach Happy Meal.

Postawa Zachodu wobec problemów Trzeciego Świata kryje w sobie zresztą wiele dwuznaczności – to banalna i, niestety, wciąż prawdziwa konstatacja.

– Oczywiście wszystkim się wydaje, że cały świat będzie dążył do wspaniałego wzorca, który my wyznaczamy, a inni też przejdą rewolucję informatyczną i edukacyjną i w końcu nam dorównają – mówi Małgorzata Chodynicka. – Wszelkie dane wskazują, że tak się jednak nie stanie. Różnice między kontynentami są dziś tak dramatyczne, a działalność kultury zachodniej wobec innych tak destrukcyjna, że poprawa sytuacji choćby Afryki, którą nikt nie chce się poważnie zajmować, jest dziś mało prawdopodobna – dodaje.

Zapewne więc 12 czerwca organizacje walczące o prawa dziecka zaprezentują kolejne wstrząsające raporty. Ministrowie z Afryki czy Azji udadzą się na międzynarodowe konferencje, zamieszkają w luksusowych hotelach i złożą kolejne obietnice bez pokrycia. Tygodniki zaś znowu wydrukują poruszające zdjęcia.

250 milionów dzieci jak każdego dnia pójdzie do pracy. Tysiąc z nich zanurzy się w piekielne czeluści kopalń Potosi.

MAŁGORZATA SADOWSKA

W TEKŚCIE WYKORzystałam dane z RAPORTÓW MIĘDZY INNYMI MIĘDZYKULTUROWEJ ORGANIZACJI PRACY, UNICEF-U I HUMAN RIGHT'S WATCH (WWW.HRW.ORG). WALKĄ O PRAWA DZIECI ZAJMUJĄ SIĘ TAKŻE: CHILD RIGHT (WWW.CHILDRIGHT.ORG), FREE THE CHILDREN (WWW.FREETHECHILDREN.ORG), CARE (WWW.CARE.ORG), SAVE THE CHILDREN (WWW.SAVETHECHILDREN.ORG). W POLSCE DZIAŁA MIĘDZY INNYMI KOMITET OCHRONY PRAW DZIECKA (WWW.KOPD.PL)

Radio **26T** TYLKO WIELKIE PRZEBOJE

terminy spektakli

Tychy 15 czerwca
Gliwice 16 czerwca
Zabrze 17 czerwca
Chorzów 18 czerwca

Zyta Rudzka

adaptacja i reżyseria:

Marcin Sosnowski

seks, chemia i latanie



w rolach głównych:
babi: **Barbara Wrześnińska**,
paulina: **Katarzyna Walter**,
miśka: **Joanna Koroniewska**,
w roli gościa: **Ryszard Barycz**,
scenografia: **Marek Chowaniec**,
kostiumy: **Katarzyna Nesteruk**, muzyka: **Fallin'**,
producent: **PROJEKCJA** sp. z o.o.

PARTNERZY:
GOLF LIFE PRZE KROJ Multikino kobiety.pl

książka pod patronatem: **PRZE KROJ**

Marcin Fabjański

EUR POWIEŚCI

Jacek Santorski & CO Agencja Wydawnicza
www.jsantorski.pl

zamieszkać nad morzem...

Chorwacja
Kołobrzeg
Swinoujście

78-100 Kołobrzeg
ul. Armii Krajowej 20c/8
tel. + 48 94 352 73 59
tel./fax + 48 94 354 80 02
www.kornas.com.pl
e-mail: biuro@kornas.com.pl

kornas

WSZYSCY RAZEM I KAŻDY Z OSOBNĄ

SŁAWO MIR

Mrozek

Największa wystawa rysunków

Krakowskie Plany
12-22 czerwca 2005

ZŁOTY SPONSOR: BGZ S.A.

ORGANIZATORZY: ILLUSTRACJA, KAZNIA NOWA, PRZE KROJ, AMS, onet.pl, gazeta

PATRONAT MEDIALNY: PRZE KROJ, AMS, onet.pl, gazeta

Jack Kerley

CZŁOWIEK JEDEN NA STU

PASJONUJĄCA DIAGNOSTYKA PSYCHIKI SERYJNEGO MORDERCY

Thriller psychologiczny: przerażający i brutalny, o niezwyklej sile napięcia

NA CELOWNIKU

Świat Książki

Patroni medialni: SUKCES, wp.pl, PRZE KROJ

KSIĄŻĘ CIEMNOŚCI

Jego wyobraźnia spłodziła najokropniejszego potwora w dziejach – ślepe monstrum Obcego. Dziś HR GIGER firmuje muzeum w średniowiecznym zamczysku, bary, meble, grafiki, biżuterię i gadzety. Jest światowym liderem w dystrybucji grozy



Li II (1973/1974)

Przyjaciel i agent Gigera Leslie Barany powiedział kiedyś o twórczości mistrza: „Jeśli to nie jest wizja piekła, to ja nie wiem, jak inaczej mogłoby ono wyglądać”. Prawdopodobnie nikt inny też tego nie wie. Jak piekło wygląda naprawdę, pechowcy dowiadują się dopiero po śmierci. Póki żyjemy, wiemy o nim tyle, ile zechce nam przedstawić HR Giger.

Większość, gdy słyszy to nazwisko, myśli: „Obcy. Ósmy pasażer Nostromo”. W 1980 roku mało znany szwajcarski malarz surrealisty dostał Oscara za efekty specjalne, czyli wykreowanie postaci Obcego. Reżyser Ridley Scott nagrody za ten film nie dostał, ale dla obu panów „Obcy” to przełom. Scott staje się jednym z najważniejszych reżyserów w Hollywood, a dla Gigera rozpoczyna się kariera wizjonera mrocznej strony życia.

Akurat w tym samym czasie rodzi się nowy rodzaj muzyki zwany rockiem gotyckim, wokół którego kształtuje się subkultura gotów. Ponure granie i czarno-cmentarno-wampiryczna estetyka to znaki firmowe tego zjawiska. Lubujący się w turpizmie gości okazali się jedną z najbardziej żywotnych subkultur, a HR Giger – guru tego ruchu.

Od 1995 roku artysta zbiera materiał do albumu „Giger under your skin” („Giger pod twoją skórą”) – to ma być dokumentacja tatuaży wykorzystujących motywy z jego twórczości. Jest co dokumentować, bo samych stron internetowych poświęconych Gigerowskiemu tatuażom jest ponad 50 tysięcy.

CZŁEKOPENISOMOTÓR

Timothy Leary, guru poprzedzającej gotycki rock hipisowskiej psychodelii, pisze o sztuce Gigera, że to „wewnątrzmaciczne wi-

dukówki”. – Giger dodaje nam odwagi, żebyśmy mogli dostrzec tę cząstkę nas, która jest owadem – stwierdza Leary.

Malowane aerografem, a więc szczególnie przysłikliwe i gładkie, monochromatyczne obrazy Gigera są jak film dokumentalny z piekielnego kopca termitów. Tyle że zamiast termitów mamy ludzi. Ludzkie larwy, wydzieliny, powłoki. Penisy i pochwy nie różnią się niczym od owadziej aparatury reprodukcyjnej czy od innych szczękoczułek. W uniwersum Gigera nie brak typowych dla estetyki science fiction nagich kobiet o idealnych ciałach, ale nie są tu one niczym więcej jak motylem, chwilowo pięknym stanem pomiędzy larwą a rozkładającym się truchłem.

Hurysy Gigera zwykle są o krok od przeistoczenia się w mutanty, a ich czaszki przezierają spod półprzezroczystej skóry. Z czaszki Obcego przeziara jeszcze coś innego. Pierwowzorem dla filmowego potwora były obrazy Gigera z cyklu „Necronomicon” – nawiązującej do fikcyjnej starożytnej księgi umarłych wymyślonej przez amerykańskiego autora horrorów Howarda P. Lovecrafta (który, swoją drogą, jest kultowym pisarzem dla gotów).

Przygotowujący się do kręcenia „Obcego” Ridley Scott oniemiał na widok Gigerowskiego „Necronoma IV” o głowie w kształcie monstrualnego penisa. To było to. Penisowość czaszki Obcego została w filmie w znacznym stopniu ocenzurowana, ale wciąż pozostaje czytelna.

W postaciach Gigera przeraża nie tylko ich biologizm. To świat biomechanoidów. Obcy to w uproszczeniu skrzyżowanie penisa z motylem, ulubionym rumakiem miłośników ciężkiego grania i trupich czaszek. Łatwo zrozumieć, dlaczego ten potwór zajął tak ekspo-

nowane miejsce w panteonie popkultury. A u Gigera znajdziemy także duszki-kondomy i kondomy-zabójców – te również zagrały w filmie. Nakręcony w Niemczech 1996 roku horror „Killer Condom” nawiązywał do kultowego, arcykretyńskiego komiksu o tym samym tytule. Zaprojektowane przez Gigera potwory odgryzały łatwo zgadnąć co, a sam film trafił tam, gdzie miał, czyli do wąskiego kręgu wyznawców tego typu obciachu.

OSTRA IMPREZA WE WNĘTRZU WIELORYBA

Przykład „Killer Condoma” świetnie ilustruje peregrynacje HR Gigera po rozmaitych obszarach kultury masowej, szczególnie w dziedzinie filmu. W ostatniej części sagi o Obcym – „Obcy: Przebudzenie” z 1997 roku – nazwiska szwajcarskiego artysty nie ma nawet w napisach końcowych. Zlekceważono go. Giger nie wytoczył procesu wytwórni Fox, ale wciąż o tym myśli. Mimo to współpracował z Hollywood przy horrorach „Poltergeist II” (1986) i „Gatunek” (1995). Każdy z tych filmów był porażką.

Znacznie lepiej układa mu się z przemysłem muzycznym. Okładka płyty „Brain Salad Surgery” zespołu Emerson Lake and Palmer z 1973 roku dziś jest klasykiem, podobnie jak okładka albumu „Koo Koo” Debbie Harry z 1981 roku. Potem było jeszcze mnóstwo innych okładek, zwłaszcza dla ciężko grających grup metalowych.

Wielka miłość show-biznesu do Gigera sprawiła, że coraz trudniej było mu funkcjonować na arenie sztuki. Choć marzył, by zostać następcą Dalego surrealisty, Dalego z wczesnych lat, stał się następcą Dalego późnego, nietraktowanego poważnie przez krytykę. To sprawiło, że Giger wrócił do korzeni

swego wykształcenia – wzornictwa przemysłowego i projektowania wnętrz. W 1988 roku powstał Giger Bar w Tokio, kolejne otwarto w szwajcarskim Chur, rodzinnym mieście artysty, i Nowym Jorku oraz w Gruyeres, gdzie artysta kupił zamek, w którym wznosi swoje prywatne muzeum.

Stworzenie baru umożliwiło Gigerowi realizację własnej wizji przestrzeni. Te pomieszczenia wyglądają jak wnętrza biomechanicznych wielorybów zbudowane z tak lubianych przez Gigera motywów kości i kręgosłupów. Idealne miejsca na ostre imprezy. Bar w Tokio stał się ulubionym lokalem tamtejszej mafii, Yakuzy, i po kilku latach został zlikwidowany. Bar w Nowym Jorku, ukończony w mieście Gigera, stanowił część wielkiej dyskoteki Lime-light zajmującej budynek neogotyckiego kościoła w sercu Manhattanu. To była dla artysty wymarzona lokalizacja. Niestety, klub cieszący się od lat sławą narkotykowego supermarketu zszedł z areny nowojorskiego życia nocnego w 2002 roku. Gigerowi pozostała Szwajcaria. Tu prowadzi swoją stronę internetową, która jest jak wielki gigerowski dom towarowy. Meble projektowane do filmów i barów, lampy, wisioriki w kształcie pentagramów, talie tarota.

Cały ten kram ma pomóc zebrać środki na ukończenie wymarzonego projektu Gigera. Jego muzeum w zamku w Gruyeres działa od dwóch lat, przyciąga tłumy. Ale wciąż brak w nim kolejki, która będzie wozic zwiedzających po specjalnie zaaranżowanych komnatach pełnych gigerowskich okropieństw.

65-letni artysta wciąż liczy, że uda mu się zbudować swój prywatny, biomechaniczny dom strachów.

MARCEL ANDINO VELEZ

**KOLEKCJA „PRZEKROJU”
MALARZE ŚWIATA
20 ALBUMÓW POŚWIĘCONYCH SZTUCE**

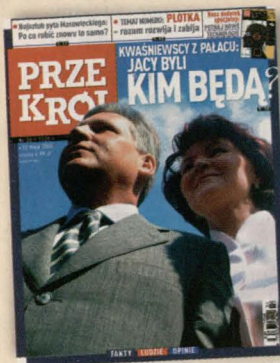
Giger
HR Giger ARh+

100 stron
1700 barwnych ilustracji i reprodukcji
najśłynniejsze dzieła
papier kredowy
najwięksi malarze

9 czerwca
23 czerwca
7 lipca
21 lipca

PRZEKROJ
TASCHEN
cena 15,99 zł
w kioskach od 9 czerwca

www.przekroj.pl/kolekcja infolinia 0801 272750



Plereza to czy pletwa

Piszę w sprawie drobnej uwagi na temat artykułu o disco polo w 20. numerze „Przekroju”. Zaskoczył mnie opis fryzury zwanej plerezą jako „krótko z przodu, długo z tyłu”. Taki opis bardziej kojarzy się chyba ze słynną disco fryzurą z lat 80., tak zwaną pletwą – z przodu przycięta krótko grzywka, a z tyłu długie włosy, czy o to tam chodziło (pewnie tak, bo pasowałyby do disco polo...)? Bo plereza to zaczesane do tyłu włosy, tworzące coś w rodzaju loku nad czołem, typ uczesania typowy w latach 40. i 50., między innymi wśród bikiniarzy.

PAWEŁ ŁAPIŃSKI

Dziękuję za szczegółowy opis pochodzenia nazw wspomnianych fryzur. Fakt, drzewiej bywało, że plereza była używana tylko w znaczeniu podanym przez Pana. Teraz natomiast obie nazwy – i pletwa, i plereza – są poprawne. W najnowszym slangu plereza oznacza „fryzurę polegającą na przystrzyżeniu włosów po bokach i z przodu, a pozostawieniu dłuższych z tyłu” (czyli właśnie „krótko z przodu, długo z tyłu”). Została

ona przyjęta przez obecny ruch „obciachowy” za nazwę oficjalnie obowiązującą. A i jej zamienniczka pletwa miewa się całkiem nieźle.

JUDYTA SIERAKOWSKA

Szanowna Redakcjo!

Zauważyłem ostatnio w waszym piśmie, które de facto jest moim ulubionym, iż poruszane w nim problemy koncentrują się wokół polityki i gospodarki. Oczywiście jest to efekt tego, że w naszym arcy politycznym kraju nie da się tych tematów omijać. A jednak... Poprzez takie opisywanie świata „Przekrój” podąża w bardzo niebezpiecznym kierunku. Gazet zajmujących się takimi problemami mamy już w Polsce wystarczająco dużo, także martwi mnie, że pismo, którym kieruje redaktor Piotr Najsztab, powiela błędy innych. Prawda jest taka, że ludzie są już zmęczeni czytaniem o kolejnych aferach politycznych i gospodarczych na każdym szczeblu. Czytający takie rzeczy, zwłaszcza młode osoby, wyrabiają sobie nieprawdziwy obraz świata. Sądzą, że w każdym zakątku czai się jakaś afera, że nic już nie da się załatwić uczciwie, że każdy polityk to świnią, że za każdą inwestycją stoi łapówka. Droga Redakcjo, społeczeństwo jest złaknięte czytania o rzeczach im bliskich (czyli o społecznych właśnie). Niech więc „Przekrój” powróci do swojego bardziej „kulturalnego” charakteru, a polityka niech pozostanie tylko subtelnym dodatkiem. Jest to wyłącznie moje osobiste zdanie, ale obserwując najbliższe

otoczenie, śmiem twierdzić, że nie jestem w nim odosobniony. Pozdrawiam

WALDEMAR PIĄTNICA
STAŁY CZYTELNIK

Uszanujcie jubilatów

Ja tylko chciałam napisać, że jak pan Jarek Szubrycht nie ma zielonego pojęcia o muzyce heavymetalowej, to niech nie bierze się za pisanie na jej temat. Okazja do koncertu Iron Maiden w Polsce jest przednia, bo to 25-lecie zespołu, i teksty typu, że już się niektórym niedobrze robi na myśl, że znów przyjeżdżają Ironi, są bez sensu. Jak się panu Szubrychtowi nie podoba, to niech sobie idzie na koncert discopolowy, tam na pewno się będzie dobrze czuł. 40 tysięcy ludzi w Polsce nie może się mylić.

CZYTELNICZKA

Mylić się jest rzeczą ludzką. Również w ocenie intencji autora pobieżnie przeczytanego tekstu. W Chorzowie oczywiście byłam i mimo upału czułam się doskonale. Bo można być fanem Maiden i równocześnie żyć ze świadomością, że nie jest to sztuka najwyższych lotów. Ale rozrywka – przednia!

JAREK SZUBRYCHT

SPROSTOWANIE

A to byli rebelianci!
Na zdjęciu w numerze 21.–22. „Przekroju” Darth Vader dusi oczywiście nie swojego żołnierza, tylko rebelianta. Opublikowany obok tekst o fanfilmach kazał nam tak bardzo puścić wodze fantazji, że aż się potknęliśmy w dość oczywistej sytuacji. Za pomyłkę przepraszamy.

Czekamy na listy i maile

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa.



WILHELM SASNAL

z roku 1945
w Krakowie
Redaktor
MARIAN
EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA
TEL. 584 25 25,
FAXS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Piotr Najsztab
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Marcin Sendeki,
Maria Świetlik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez,
Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska,
Justyna Sobolewska

KRAJ:
Wojciech Mazowiecki (szef),
Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin
Fabjański, Joanna Gorzelińska, Grzegorz Indulki,
Cezary Łazarewicz, Rafał Małajczak, Michał Małysz,
Grzegorz Rzeczkowski, Max Suski, Paweł Wieczerek

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumociński,
Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk
Stale współpracują: Jonathan Cook (Jerozolim),
Piotr Kowalczyk (Rzym)

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski, Mateusz Hankała, Maria Klich,
Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Marcin Kapica (szef), Bogdan Kręzel (fotograf),
Urszula Matusik, Olga Piliśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Tatiana Hardej,
Sylvia Raczynska

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:

EDIPRESSE POLSKA S.A.,
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-22) 584 22 00,
FAXS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała

WICEPREZES:
Ewa Redel

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Izabela Bochenek

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PRODUKCJI:
Danuta Kamińska – dyrektor

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

DZIAŁ PROMOCJI:
Dorota Rakowska – Product Manager

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Artur Dudek, Grażyna Janiak,
Małgorzata Skórupa

ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,
tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594
faks (0-22) 584 25 92

Druk:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN

PAPIER: OKLAJA – GALERIE FINE,
PRODUKENT – M-REAL

ŚRODEK – GALERIE BRITE,
PRODUKENT – M-REAL

PRENUMERATA WYDAWNICZA

zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki)

tel. (0-54) 236 55 28 (pn.–pt., godz. 8–16)

Dodatkowe informacje i reklamacje

(Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska)

PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL

PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCZTĘ

PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE

NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA

INFORMACJA TEL. (0-22) 532 87 31,
FAXS (0-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAXS/TEL. +46-8-6639963



ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIENIOM NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

„Przekrój” wydaje
polecenia
kulturalne

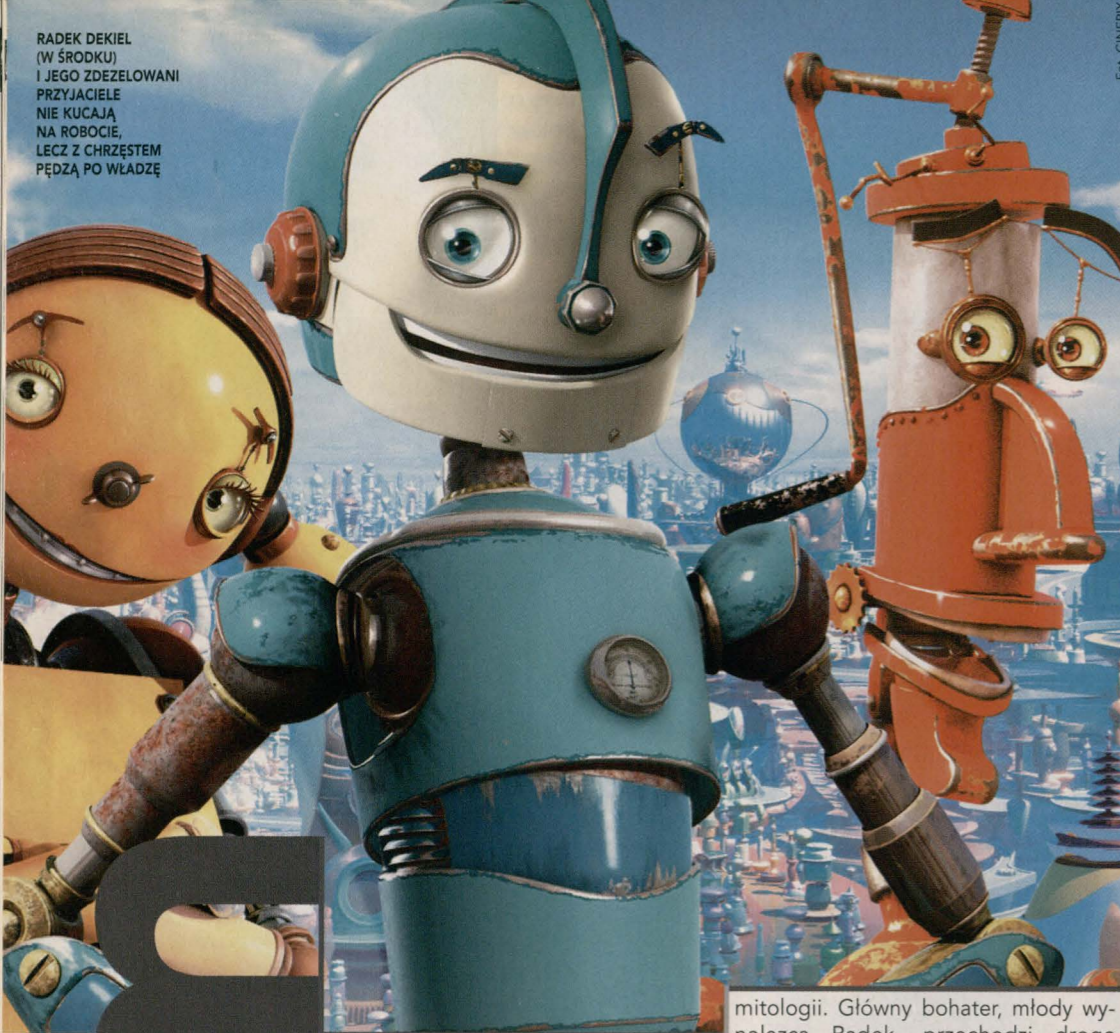
ANTY-BRITNEY

Czy Avril Lavigne to Dorota
Mysłowska rocka?
Sław podobnym wieku i obie
głośno debiutowały (2002),
gdy były jeszcze nastolatkami
(Avril skończy wkrótce 20 lat).
Kocha je też (z zachowaniem
proporcji!) sukces komercyjny
– piosenkarka z Kanady
sprzedała już 14 milionów płyt.
I tu kończą się analogie.
Avril to poprawny politycznie
młodzieżowy produkt
wkreowany w opozycji
do plastikowej Britney Spears.
Zbantowana Lavigne jest
właśnie wszystkim, czym nie jest
Britneyka. To rockandrollowa
chłopczyca grywająca
w hokeja z kolegami z kapeli
i przeklinająca w wywiadach.
Avril chodzi w grunge'owych
t trampkach i nosi koszulki
z logo punkowych grup.
Wykonuje własne piosenki
– czasem drapieżne, czasem
liwiczne i raczej mało
w rafinowane. Świetnie
sprawdzają się za to
na wielkich koncertach
rockowych. To właśnie
tymi urokliwie naiwnymi
gitarowymi hitami
(„Complicated”, „I'm With
You”) Lavigne rozkochała
w sobie nawet ortodoksyjnych
fanów alternatywy. (PK)

Avril
Lavigne

AVRIL LAVIGNE – 6.06 KATOWICE, SPODEK

RADEK DEKIEL
(W ŚRODKU)
I JEGO ZDEZELOWANI
PRZYJACIELE
NIE KUCAJĄ
NA ROBOCIE,
LECZ Z CHRZĘSTEM
PĘDZA PO WŁADZĘ



NIE-ZŁOMNI!

Nowa technika błyszczy, ale i **stary banał nie rdzewieje**

Najciekawsze rzeczy dzieją się na początku. Zostaje bowiem wreszcie wyjaśniona kwestia, jak w świecie pozbawionym ludzi będą się rozznaczać roboty. Padają przy tym pikantne aluzje w temacie „zmajstrujmy sobie dzidziusia”, które powinny rozbawić dorosłą część widowni. Generalnie jednak animacja Wedge'a i Saldanhy adresowana jest do niewinnych dzieci, toteż przeważa w niej humor prosty. I niezbyt wystrzałowy mimo kilku żarcików o pierdzeniu. Film szybko staje się biegunką grepsów i mknącej w popłochu akcji, od której rozkojarzone potomstwo rozkojarzy się jeszcze bardziej. Technicznie prezentuje się to wszystko bez zarzutu, a i plastycznie figury robotów cieszą swą różnorodnością.

Niestety, cały ten hipernowoczesny cyfrowy cyrk został nafaszerowany konserwatywnym, banalnym przekazem. Bez trudu odnajdziemy w „Robotach” podstawowe składniki amerykańskiej

mitologii. Główny bohater, młody wynalazca Radek, przechodzi drogę od zera do bohatera (a może od złomu do Białego Domu?). Największą wartością w jego życiu jest rodzina (z niepracującą mamusią u boku dzielnego męża, który zmywa naczynia, ale tylko w pracy). Zły technokrata próbujący modernizować społeczeństwo musi ustąpić pod naporem słusznej większości, która wcale modernizować się nie chce, jeno domaga się ciągłej dostawy części zamiennych do swych zdezelowanych mechanizmów. W finale zaś oglądamy wiec patriotyczny, podczas którego masa robotów afirmuje ojczyznę i siebie w imię szlachetnego skądinąd hasła, że „możesz się błyszczyć, niezależnie od tego, z czego jesteś zrobiony”. Oprawę muzyczną dzieła stanowi banałna do patosu muzyka Johna Powella, a jedynym śladem awangardy jest piosenka Toma Waitsa rozbrzmiewająca w piekle zakładów przetwórstwa złomu.

Czyli niby blań film dla dzieci, a jednak wzdęte amerykańskie widowisko. W tym kontekście dowcipy gastryczne są tu nader uzasadnione. Oby wyszły Hollywood na zdrowie!

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„ROBOTY”,
REŻ. CHRIS WEDGE I CARLOS SALDANHA,
USA 2005, CINEPIX,
PREMIERA 1 CZERWCA

ATAK GWIEZDNYCH TACOS!

Marsjanie atakują – tym razem Meksyk. Najpierw tylko wygrażali Ziemią kosmicznym laserem, w końcu jednak miarka się przebrała i w powietrze wyleciał ośrodek sportowy. Ale inni kosmici lubili ten kraj, no i ludzi, którym wystarczyło tylko ściegnąć sombrero, a obiadek w postaci świeżego mózgu czekał na schrupanie. Pozbawieni już



DO ZAKOCHANIA
JEDEN KROK!

tęgo organu – a wraz z nim rozsądku – Meksykanie zaczęli projektować Roboty, które wysyłali do walki z aztecką Mumią...

Nie – to nie jest opis nowego amerykańskiego hitu gore, to streszczenie kilku meksykańskich filmów fantastycznonaukowych, które dotarły właśnie do Polski. Na przeglądzie „Mexico Fantastico” zobaczyć można sześć niezwykłych produkcji z lat 1945–1956. Co ciekawe, w przeciwieństwie do amerykańskiego kina SF podsztytym pesymizmem i przecuciem zagłady filmy meksykańskie są apoteozą pięknego, ciepłego kraju i rodzinnego, tradycyjnego życia, które w licznych *cantinos* uprzyjemniają nam (i kosmitom) *el mariachi*.

Oczywiście dodatkową atrakcją „Mexico Fantastico” są niepowtarzalne tekturowe dekoracje, gumowe potwory i statki kosmiczne na żyłkach. A organizatorem tego kosmicznego przeglądu jest warszawski Kino.Lab Centrum Sztuki.

„MEXICO FANTASTICO (EL FUTURO MAS ACA)”
ŁÓDŹ (3–6.06), BIAŁYSTOK (6–10.06),
GŁOWICE (10–13.06), KRAKÓW (13–16.06),
POZNAŃ (17–19.06), WARSZAWA (27.06–3.07)

ZŁODZIEJ CZASU

Więcej z Jamesa niż z Juana

O wyjździe z ekscentrycznego połączenia „Władcy Pierścieni”, „Matriksa”, filmów płaszcza i szpady, kostiumowych widowisk i opowiadań z Bruceem Lee?

„Arsène Lupin” Anno Domini 2004! Jean-Paul Salomé pozazdrościł Amerykanom produkcyjnego rozmachu i postanowił udowodnić, że w luźno opartej na powieści Maurice'a Leblanka adaptacji przyrod słynnego złodziejzka uwodziciela potrafi zmieścić niemal wszystko: tajemnicze bractwa i magiczne sztuczki, kick boxing i operacje plastyczne, hipnozę i efektowne eksplozje, poszukiwania skarbu i zaklęty w krzyżach szyfr... Lupin (Romain Duris) pod wpływem traumatycznych przeżyć z dzieciństwa stał się

cynicznym cwaniakiem, który wdzięczy się do posągówych dam po to jedynie, by je okraść. Przypomina nie Don Juana czy Sherlocka Holmesa, ale raczej Bondem – nie wierzymy w jego miłości i miłostki, wierzymy za to w żądzę przygód, w których kobiety są tylko dłuższym lub krótszym przystankiem. Poza grzechem nadmiaru i rozsadzającego ekran przepychu Salomé popełnił błąd jeszcze jeden: historię kuriozalną i niewiarygodną opowiedział tonem zupełnie serio. Teraz opowiada za to w wywiadach o „niepotrzebnie zmarnowanym czasie na tego rodzaju kino rozrywkowe”. W tym jednym z reżyserem trudno się nie zgodzić.

PAWEŁ T. FELIS

„ARSENÉ LUPIN”, REŻ. JEAN-PAUL SALOMÉ,
FRANCJA 2004, SPI, PREMIERA 3 CZERWCA

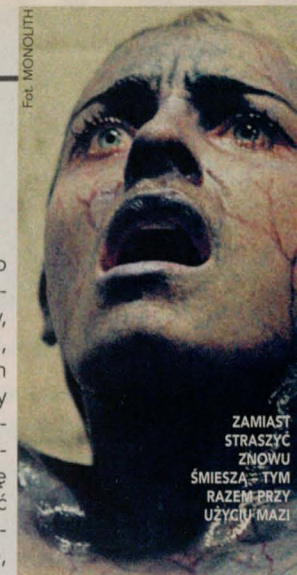
ŚCIGANI PRZEZ MAŻ

Szafa znowu nie jadła kolacji

Chyba robię się z wiekiem nerwowo, bo coraz bardziej denerwuje mnie trzaskanie drzwiami. Z tego też powodu filmy, w których trzaskanie (drzwiami, drzwiczkami, szufladami, oknami) jest głównym środkiem wyrazu, nie mają u mnie szans. Ranią uszy i szkodzą na serce. „Boogeymana” przekreśliła także w moich oczach namaszczone powaga, z jaką próbuje się tu sprzedać bajdę o potworze z dziecinnych koszmarów. Choć już pierwsza sekwencja, w której tatuś głównego bohatera zostaje pożarty przez szafę, zasługuje na nowego Oldricha Lipsky'ego (tego od czeskich komedii „grozy”, takich jak „Adela jeszcze nie jadła kolacji”). Rozumiem intencje producenta Sama Raimiego i reżysera Stephena T. Kaya, by po serii pastiszy i parodii przywrócić horrorowi niegdysiejszy charakter. By przestał śmieszyć, a zaczął znów straszyć. Ale nie jest to możliwe z tak „natchnionym” aktorem jak, nawet przystojny, Barry Watson w roli prześladowanego Tima. I nie z tymi efektami specjalnymi, które podświadome lęki i traumy dzieciństwa zamieniają w zielonkawą maź ścigającą bohaterów po czasoprzestrzeni.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„BOOGEYMAN”, REŻ. STEPHEN T. KAY,
USA 2005, MONOLITH, PREMIERA 3 CZERWCA



ZAMIAST
STRASZYĆ
ZNOWU
ŚMIESZA TYM
RAZEM PRZY
UŻYCIU MAZI

A MY MAMY FILIGRANY • FILIGRANAMI ZAWIADUJE Grażyna Janiak Tel./faks (022) 584 21 72 grazyna.janiak@edipresse.pl

Dieta Cambridge



Ostatnia szansa w odchudzaniu!

Szeroki asortyment NOWYCH wielosmakowych produktów ułatwia pokonanie trudów odchudzania.

Informacje: Centrum Diety Cambridge:
ul. Belgradzka 4, 02-793 Warszawa, tel/fax (0-22) 859-03-04
Podajemy telefony regionalnych konsultantów.

DATONG®

skutecznie usuwa chrapanie

- ZAPEWNIĄ KOMFORTOWY SEN
- ZWIEKSZA WITALNOŚĆ I KONCENTRACJĘ
- 100% NATURALNY
- PRZEBADANY KLINICZNIE
- W APTEKACH BEZ RECEPTY



www.datong.pl

RYŻOWE POLE SUSHI



NA MIEJSCU, NA WYNOS, Z DOSTAWĄ, CATERING

Dla stałych Gości rabat 10 %

Warszawa, ul. Zgoda 5
tel. 556 47 37

www.ryzowepole.tubywaj.pl



TWARDZI BRACIA GALLAGHEROWIE (PIERWSZY I CZWARTY Z LEWEJ) POKONALI WIELKIEGO WROGA: ZNUDZENIE MUZYKA

NIEWYGODNA PRAWDA

Najbardziej znienawidzona rockandrollowa grupa świata znów w wielkiej formie!

Obojętność wobec Oasis to rzadko spotykana opcja. Bracia Gallagherowie, podpory zespołu, są generatorami skrajnych uczuć. Nienawidzi się ich, bo mają niewyparzony język (w ich telewizyjnych wywiadach dominuje pisk wyciszający wulgaryzmy, sens życia według Noela: „kokaina, papierosy i Jack Daniels”, zdanie Liama na temat Radiohead: „banda cholernych studenciaków”), są populistami i nie posunęli muzyki naprzód nawet o centymetr. Z drugiej strony są obiektem uwielbienia. To spadkobiercy rockandrollowego etosu robotniczego – są antyelitami, grają dla mas. Dla wycieczki Oasis to więcej niż zespół. To dziedzictwo narodowe.

Pochodzą z przemysłowego Manchesteru. Na tamtejszej scenie muzycznej już od końca lat 70. wrażliwość jak w ulu. Ale gdy zespół Gallagherów powstał w 1991 ro-

ku, dla brytyjskiej muzyki nie było na listach przebojów miejsca, rządził amerykański grunge. Bracia obiecali sobie wtedy, że zostaną „najlepszą grupą na świecie”. Pierwszy koncert zagrali w Glasgow dzięki temu, że... zaszantażowali szefa klubu. Efekt był taki, że szybko dostrzegł ich słynny szkocki menedżer Alan McGee. Gdy dzięki Oasis stał się milionerem, podarował Noelowi rolls-royce'a, choć ten do dziś nie zrobił prawa jazdy. Dwa pierwsze albumy – debiut „Definitely Maybe” i „What's the Story (Morning Glory)” – weszły do kanonu rocka lat 90., stając się jednymi z najlepiej sprzedających się brytyjskich płyt wszech czasów. A Oasis wstąpili na opuszczony przez Nirvanę tron. Nazwano ich nawet „nowymi Beatlesami” (notabene dziś w Oasis bębni syn Ringo Starra!).

Ale w przeciwieństwie do Wielkiej Czwórki z Liverpoolu u Oasis zamiast ewolucji mieliśmy dezintegrację. Kolejne płyty były coraz słabsze. A tematem dla mediów nie była już muzyka Oasis, tylko używki, alkoholizm Liama, kłótnie, zmiany w składzie, w końcu czasowe odejście Noela. Gdy w 2000 roku grali w Polsce, nie liczni fani w hali warszawskiego

Torwaru obejrzeni znużonych sobą rzemieślników. Tajemnica odnowionego Oasis jest dziś takim samym paradoksem jak tytuł szóstego krążka – „Nie wierz prawdzie”. W ogranej do bólu formie melodyjnego gitarowego grania (Oasis na każdej płycie brzmią podobnie) udało się nawiązać do entuzjazmu „Definitely Maybe”. Kompozycje są surowe, świeże i zarazem klasyczne. „Mucky Fingers” przypomina The Velvet Underground na słynnej płycie „z bananem”. „The Meaning Of Soul” krzyżuje Boba Dylana z nowofalową energią. Sukcesem są również ballady. A głosów Gallagherów z nikim innym pomylić się nie da... Zespół pokonał też swojego wielkiego wroga – nudę.

Widząc, jak stacza się świetna niegdyś grupa, od dawna już skreślaliśmy Oasis. Ale bracia Gallagherowie pokazali twarde, robotniczy charakter i wrócili do pierwszej ligi. A kto nie chce, niech tej prawdzie nie wierzy.

PIOTR KOWALCZYK



OASIS „DON'T BELIEVE THE TRUTH”, Big Brother



SPRINGSTEEN BUSH I BUSH MU KOPA (TWÓRZĄCO)

niem harmonijki ustnej. Od wydania „The Rising” wiele się jednak w Ameryce zmieniło. Wybuchła wojna z irakiem, doszło do reelekcji George'a W. Busha, w którego antykampanię artysta się zaangażował. I choć na tej płycie nie ma ewidentnych manifestów politycznych, to powagę sytuacji czuć od początku. Najważniejsze, że Springsteen wciąż opowiada do bólu prawdziwe amerykańskie historie, takie jak te o nielegalnych imigrantach („Matamoros Banks”) czy przygodnie poznanej prostytutce („Reno”). To album, którego Springsteen bardzo potrzebował. Potrzebowała go też Ameryka.

JACEK HAWRYLUK

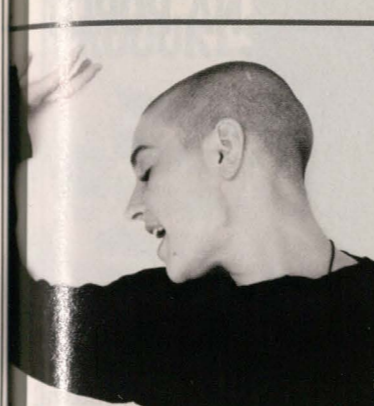


BRUCE SPRINGSTEEN „DEVILS & DUST”, Columbia

WIELKI BOSS

Wielki Springsteen znów się obudził – choć już w innej Ameryce

Po konfekcyjnej płycie „The Rising” z 2002 roku obiecałem sobie, że nie będę uważał na Springsteena. Zbyt wielu utalentowanych songwriterów wydała ostatnio na świat Ameryka, by zajmować się kimś, kto dawno się wypalił. Złamałem się jednak i nie żałuję. „Devils & Dust” to jedna z najlepszych płyt artysty od lat, a kto wie, czy nie od słynnej „Nebraska” z 1982 roku. „Boss” powrócił do folkowej tradycji, świetnych, akustycznych ballad suto inkrustowanych smyczkami i brzmie-



GŁOS DO WYNAJĘCIA

Sinéad O'Connor wciąż świetna – ale tylko w cudzych piosenkach

Astrojowy utwór z towarzyszeniem Massive Attack, a potem kapitalny „1000 Mirrors” z Asian Dub Foundation „ustawiają” odbiór tej płyty. Leniwe tempa, częste wycieczki w stronę dubu i reggae. Album podsumowuje kilkanaście lat wspólnych projektów irlandzkiej wokalistki z różnymi artystami: od najwcześniejszych, jak bardzo ładny „Kingdom Of Rain” z The The nagrany już w 1989 roku, po późniejsze piosenki z gwiazdami tego kalibru co U2, Peter Gabriel czy Moby. Nie ma co się łudzić – z wiekistością z nich Sinéad nawet się nie spotkała w studiu, po prostu dograła swój charakterystyczny wokal korespondencyjnie. Lecz mimo to płyta się broni, znacznie lepiej niż jej ostatnie autorskie projekty. Nie życząc nikomu takiego spadku tempa kariery solowej, jaki miał miejsce u Sinéad (od fantastycznego debiutu „The Lion & The Cobra” było już tylko gorzej), natomiast takiej serii udanych duetów życzyłbym już wszystkim.

BARTEK CHACIŃSKI



SINÉAD O'CONNOR „COLLABORATIONS”, EMI

PRZEKRÓJ MUZYKI: HIP-HOP

Alfabet hip-hopu – na nowej płycie „Przekroju” i w zestawieniu poniżej

Jest już kolejna kompilacja z serii „Przekrój muzyki” – „Korzenie hip-hopu”. Zawiera to, co miłośnik tego gatunku znać musi. A jeśli miałby ochotę wyjść poza 16 utworów, które zmieściliśmy na dostępnej od dziś płycie, powinien sięgnąć po poniższe pozycje:

GRANDMASTER FLASH & THE FURIOUS FIVE „The Message” (1982)

Klasyki ery „old school”. Grandmaster Flasha, autora tej płyty, okrzyknęto „Toscanim gramofonów” i choć komu innemu przypadło w udziale nagranie pierwszej rapowej płyty w dziejach, „The Message” i tak przeszło do historii.

RUN-DMC „Raising Hell” (1986)

Trzy miliony sprzedanych egzemplarzy „Raising Hell” mówią same za siebie. Trzech elegantów w skórach i melonkach udowodniło, że hip-hop może mieć styl i klasę. Ich okraszony rockowymi samplami rap trafił na antenę MTV i pod strzechy całej Ameryki.

PUBLIC ENEMY „It Takes A Nation Of Millions To Hold Us Back” (1988)

Nie z telewizji i gazet, ale z płyt tej legendarnej grupy kolorowoi fani hip-hopu poznawali prawdę o Ameryce pod rządami białego establishmentu, służb specjalnych i mass mediów. Zaangażowanie Public Enemy przyniosło tej muzyce etykietkę „czarnego CNN”.



Płyta „Przekrój muzyki: Korzenie hip-hopu” wydana przez „Przekrój” i Kompanię Muzyczną „Pomaton” w sprzedaży od 2 czerwca. To zestaw klasyków hiphopowych, utworów takich wykonawców, jak: Grandmaster Flash, Afrika Bambaataa, Run-DMC, Beastie Boys, Public Enemy i Cypress Hill. 80 minut muzyki! Cena 29,99 zł. Wciąż do nabycia płyta „Nowy rock”, a kolejna część kolekcji już w lipcu!

X&Y

X od wieków symbol wielkiej niewiadomej

Y 24. litera alfabetu angielskiego, wymowa: "Why?" - pytanie o przyczynę i powód

X&Y biologia: para chromosomów biorąca udział w wyznaczaniu płci organizmu

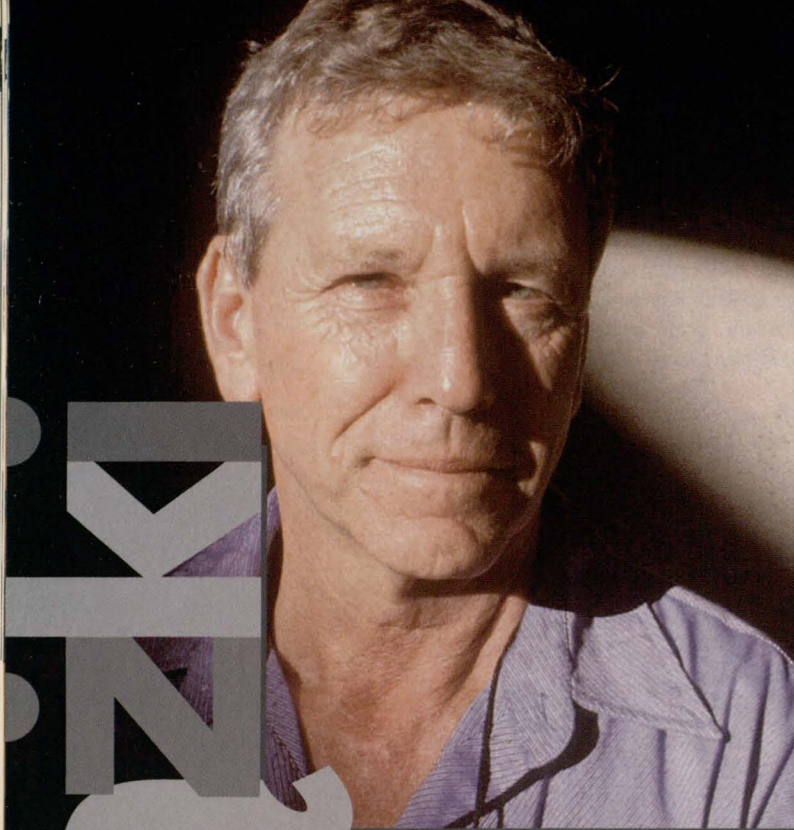
X&Y muzyka: język nowej ery

X&Y muzyka: język współczesnego świata

X&Y muzyka zakodowana w genach

X&Y

mistrzostwo na piątkę warto ujdzie kiepskie dno



AMOS OZ STANOWICZO
POWINNIEN OTRZYMAĆ
LITERACKIEGO NOBLA.
NIE DOŚĆ, ŻE JEST
WYŚMIENIANYM PISARZEM,
TO JESZCZE DZIAŁA NA RZECZ
POJEDNANIA IZRAELA
I PALESTYNY

OSZ
K
S
Q

OSZ, CZYLI MOC

Powieści o esej o autobiografia
jednego z największych dziś pisarzy

Oz znaczy po hebrajsku moc. Kiedy 14-letni Amos Klausner wyprowadzał się z rodzinnego domu do jerozolimskiego kibucu Chulda, postanowił zmienić nazwisko na Oz właśnie. Nie chciał mieć nic wspólnego z przeszłością, która kojarzyła mu się z uczonym ojcem, z literaturą, którą opętana była większość jego rodziny. Sam był wychowywany na mola książkowego, w domyśle – profesora uniwersytetu. Kiedy matka, opętana magią i manią czytania, a skazana na vegetację kury domowej, popełniła samobójstwo (chorowała na depresję), trauma stała się już zbyt silna. Chłopca odrzuciło ostatecznie od literackich fikcji i wybrał „prawdę” utożsamioną z pracą fizyczną. Tak narodził się Amos Oz, prosty robotnik żydowskiego kibucu. Nie mógł jeszcze wtedy przewidzieć, że to imię i nazwisko kilkadziesiąt lat później będzie wymieniane wśród nazwisk kandydatów do literackiej Nagrody Nobla.

W kibucu spędził 31 lat. Nauczył się jeździć na traktorze, uprawiać jęczmień i tak dalej. Ale wrócił do czytania, a potem do pisania. Po dzieciennych wierszach odkrył prozę. Miała się stać jego największą bronią literacką obok eseistyki społeczno-politycznej, zwłaszcza gdy został znanym działaczem na rzecz pojednania Izraela i Palestyny. Jego debiut, zbiór opowiadań „Tam, gdzie wyją szakale”, ukazał się w 1965 roku. Potem przyszły następne, nagradzane, tłumaczone na dziesiątki języków, aż do ostatniej, bodaj największej nie tylko objętością – „Opowieści o miłości i mroku”. Która nie wiadomo, czym jest: powieścią, antypowieścią, pamiętnikiem, autobiografią, fabularyzowanym esejem... Chyba wszystkim po tro-

szę. Jest historią o obu rodzinach Oza, Klausnerów ze strony ojca i Herców ze strony matki, także historią Europy Środkowej i po trosze Rosji, skąd się wywodzili. Jest też historią narodzin Izraela i opowieścią o dziwnym życiu w tym jeszcze dziwniejszym kraju, gdzie małżeńska tradycyjna hupa, czyli specjalna narzuta, pod którą biorą ślub Żydzi, wspierała się wówczas na dwóch parach wideł i dwóch karabinach, symbolach kraju walczącego i rolniczego zarazem.

Ale przede wszystkim jest wspaniałą, przenikliwą i nieraz okrutną autobiografią dziecka i chłopca, który z racji pochodzenia miał prawo nie przeżyć w XX wieku ani godziny, a został jednym z największych pisarzy naszych czasów. Fenomen własnego życia obserwuje tu z perspektywy ukończonej sześćdziesiątki – jak anatom badający strukturę organizmu ukształtowanego z tak różnych ingrediencji, że nieraz trudno mu samemu uwierzyć w racjonalne istnienie takiego kłębka sprzeczności. Zaczął pisać, kiedy uświadomił sobie, kim naprawdę jest. „Zrozumiałem, skąd pochodzę: z luźnego splotu smutku i pretensjonalności, tęsknoty i komizmu, miernoty i prowincjonalnego napuszenia, sentymentalnego wychowania, dawno przebrzmiałych ideałów, tłumionych lęków, służalczości i rozpacz. (...) Pochodzę z okolic, gdzie drobni blagierzy pozowali na groźnych terrorystów i heroicznych bojowników o wolność, (...) kasjerzy ze sklepu spółdzielczego albo z kina co noc układali wiersze i pamflety”.

W takich okolicznościach nie dało się nie zostać pisarzem.



AMOS OZ „OPowieść o miłości i mroku”, PRZEL. LESZEK KWIATKOWSKI, MUZA, WARSZAWA 2005

PORA NA POPLIT



Kolejny festiwal literacki Instytutu Książki w Krakowie i Warszawie

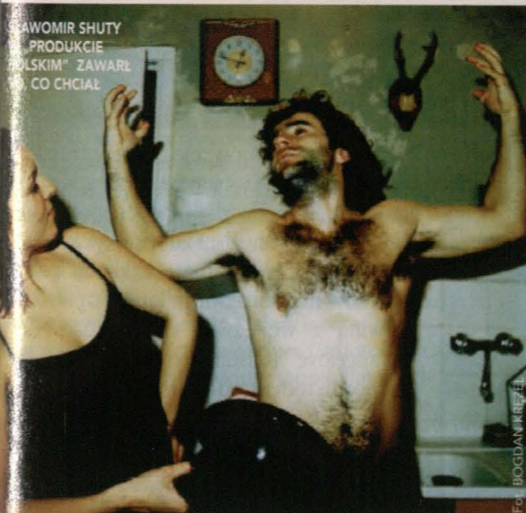
Jeśli nie udało się państwu jeszcze spotkać z **Eduardem Menco**z, autorem „Przygód fryzjera damskiego”, 3 czerwca znajdziecie go w Warszawie. A wśród gości spotkań jest Jonathan Carroll, Anita Nai, Natalia Śniadanko. O zagranicznej karierze „Wiedźmina” posłuchacie na spotkaniu z Andrzejem Sapkowskim. O literaturze science fiction będą dyskutować między innymi Jacek Dukaj i Maciej Parowski. Ciekawia was polskie powieści grozy? Albo fantastyka baśniowa? O tym też możecie posłuchać, podobnie jak o literaturze kobiecej. Nie zabraknie też spotkań komiksowych. „Komiks sztuką jest i basta” (jak brzmi tytuł dyskusji) – czyż nie? A jeśli chcecie uczestniczyć w intensywnym kursie rysowania – jedyna okazja w Krakowie w sobotę. Wszystko potrwa do niedzieli 5 czerwca. I wszystko w ramach kolejnej odsłony cyklu „4 pory książki”. Festiwal literatury popularnej trwa jednocześnie w Warszawie i w Krakowie. (JS)

Program na stronie: www.institutksiadzki.pl

PRODUKT SHUTEGO

Książka do trzymania, obracania i oglądania. **Czytać nie warto**

„Ktoś kiedyś powiedział (była to Kinga Dunin), że „Bełkodu” Sławomira Shutego nie da się czytać, ale sama książka „jest bardzo ciekawym przedmiotem”. Można ją postawić w widocznym miejscu i trochę się jej poprzyglądać, można poobrać ją w dłoniach, można pokazywać się z nią w towarzystwie etc. Innymi słowy, „Bełkot” ma wiele różnych zastosowań (czasem nawet bardzo pożytecznych), ale nie nadaje się do lektury. „Produkt polski” – najnowsza książka Shutego – jest pod tym względem bardzo podobna do „Bełkotu”. Bez wątpienia nie da się jej czytać. Można ją za to oglądać – zwłaszcza że w środku znajdują się między innymi kolaże publikowane wcześniej jako dodatek

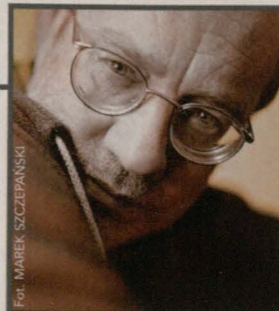


do czasopisma „Ha!art”, zreprodukowane i „lekkio” podrasowane zdjęcia z czasopism wysokonakładowych, a nawet ilustracja Marcina Maciejowskiego. „Produkt...” można także obracać w dłoniach, jeśli ktoś nie ma co zrobić z rękami. Pokazywanie się z książką w towarzystwie może być ryzykowne (ze względu na okładkę), ale nie powinno to nikogo zniechęcać. Mówiąc całkowicie poważnie, nowa produkcja Shutego jest najlepszą książką w jego dorobku! Autor napisał, wykleił, wyciął i złożył to, co chciał, a nie to, czego chciało od niego wydawnictwo. Jest to rzadkie dzisiaj świadectwo odwagi, bezkompromisowości i antykonsumpcjonistycznego nastawienia.

GRZEGORZ JANKOWICZ



SŁAWOMIR SHUTEGO „PRODUKT POLSKI”, Korporacja Ha!art, Kraków 2005



CZYTANIE NA TRAWIE...

...czyli rollercoaster Masłowskiej, świński trochę

„Wojny polsko-ruskiej...” wyszedłem znacznie poturbowany. Jej dzikie zdania jak bliźni tkwią wbite w moją pamięć i zatrzeć się nie chcą. Na „Pawia Królowej” rzuciłem się więc jak masochista jakiś i lykać go łapczywie zacząłem, choć lykanie pawia jest czynnością z natury sprzeczną i źle się kończąca najczęściej. I dołykałem do końca w poczuciu sporego zamętu. Bo nic to, że utwór napisany jest prozą z lekka rytmizowaną, a niekiedy rymowaną. Że wielokrotnie powtarza się tam refrenowa fraza, iż „piosenka ta powstała za z Unii Europejskiej pieniądze”, co z jednej strony może znaczyć, że wydawca wie, gdzie kasa leży, a z drugiej, że książka w muzycznej konwencji wykonana jest. Ponoć hipopowej, więc młodzieżowo adekwatnej do prądów i nurtów. I też nic to, że przez pagórki i wądoły tej meandrycznie barokowej poezjoprozy jedzie się jak na amerykańskim urządzeniu zwanym rollercoaster, co po naszymu tłumaczy się jako diabelski młyn. Bo nie pawia królowej do prądów i nurtów. I też nie, przyjemność samą, choć dzieci bym raczej na ten młyn nie wsadzał, bo wyrazy są i sytuacje świńskie trochę. Kłopot mam z tym

„Pawiem...” inny. Choć on jakby wszystko ma. I błyskotliwość nadzwyczajną, i różne takie zaśpiewy autoironiczne o **Masłowskiej Dorocie**, której już nikt nie pyta o wojnę w Iraku i jakie jej dziecko robi kaku. Nurtem wartkim płynie tam sobie jacyowanie z kultury masowej, co żuje i wypluwa, z dumnych heterosamców dumnych homo zrobić potrafi i z tragedii ludzkich się śmieje, bo wszystko to towar tylko do przewалу i przemiatu. Ale ja kłopot mam inny. Taki mianowicie, że jak opadną te bujne wody stylu i pogasną z ostatnią stroną fajerwerki myśli złotych i rące słów, to mi na piasku piasek zostaje i popiołu garstka. Bo te historyjki tam opisanie prawie o niczym są i po nic. Ludzie bez sensu są i po nic. Jakieś figurki plączące się po mieszkaniach nieważnych, sprawach przelotnych i ulicach niepotrzebnych. I nagle „Wojna polsko-ruska...” ważnie mi w trójnasób. Bo tamto małe Wejherowo było ciężkie i wielkie, a ta Warszawa z „Pawia Królowej” to jakaś Warszawka lekka jak dym. I tamci ludzie, ten Silny i Andżela, ta Arleta, Natasza i sama Masłowska, to był ktoś żywy i strasznie ważny, a te Retro Stachy, te Lep Katarzyny i Pitz Patrycjje to jakieś domki z kart i lalki z papieru maché. Jakby forma z treścią rozkleiły się w tym „Pawiu...” i rozbiegły. Jakby Masłowska uwierzyła, że tylko w formie jej siła i że tu się naprawdę przyłożył trzeba. No to się przyłożyła. Ale powieść nie piosenka, cyraneczka nie ptak, dziewczyna nie ludzie, a warszawska Praga jeszcze nie Wejherowo. Wgryźć się tu trzeba chyba, a nie tylko mieszkać.

TADEUSZ NYCZEK

COOLDRIPPLAY

NOWY ALBUM
X&Y



PREMIERA
6 CZERWCA

Music from **EMI** www.emimusic.pl





PUSTYNNY BZIK

●●●●● dla maluchów
●●●○○ dla starszaków

Jarzyna bardziej Szekspira widzi i słyszy, niż rozumie

Ostrzeżono mnie, że nocną porą w hali Bumaru na Kolejowej 57, gdzie Grzegorz Jarzyna gra spektakl „2007: Macbeth”, zimno jak jasny gwint. Ziołowa nalewka będzie jak znalazł – pomyślałem. Niestety, już po kwadransie okazało się, że mam w zanadrzu nie te zioła, co trzeba.

POLITICAL FICTION

W „Plutonie” Olivera Stone’a była scena, w której amerykańscy żołnierze w Wietnamie wdychali hasz przez lułę granatnika. Po takim „big wdechu” zmieniła się im percepcja wojny – widzieli ją jako ciąg irracjonalnych wideoklipów. Z warszawskim „Makbetem” jest podobnie. Barbarzyńsko parafrazując tragedię Szekspira, Jarzyna zamyka przebranych we współczesne mundury bohaterów w bunkrze dowodzenia. Wchodzimy na terytorium political fiction. Jest rok 2007, trwa okupacja jakiegoś arabskiego kraju. Właśnie stłumiono kolejną rebelię. Ale chłopakom ciągle mało. Cały czas działają jak odurzeni, jakby dopadł ich bzik tropikalny, pustynny obłąd. Są upaleni arabskim światem, zapachem krwi, piasku i władzy. Dowodzący komandem najemników major Macbeth (Cezary Kosiński) dopada w meczecie terrorystę w typie

Al-Zarakawiego i obcina mu głowę. Ale nie czujemy grozy, bo krew i obcięta głowa to tylko gadżety, tak samo jak flary w rękach aktora na łodowisku dla helikopterów. Między nami a teatralnym światem reżyser rozsunął dziwny, niewidzialny filtr. Zdarzenia tracą sens, treść opuszcza słowa.

GORE OR NOT GORE?

Jarzyna bardziej „Makbeta” widzi i słyszy, niż rozumie. Jakby czytając, wyciągał ze słów głównie obrazy, dźwięki, emocje i przeczucia. W tle dialogów i monologów słychać nieustannie szczekające psy, ciężki oddech Makbeta, zawodzenia muezinów, krople deszczu, helikopter, arabskie disco. W pewnym momencie bohater, rozmawiając z doktor Hekate (Danuta Stenka), zastępuje tekst Szekspira frazami Rogera Watersa z „The Wall” Pink Floydów. Aktorstwo polega tu na skokach emocjonalnych, przechodzeniu z jednego skrajnego stanu w inny, równie skrajny. Wystarczy podmienić jeden element, a mechaniczna marszruta spacyfikowanej oficerskiej żony (Lady Makbet Aleksandry Koniecznej) stanie się obłądem. Jedno słowo, a entuzjazm Macduffa (Michał Żurawski) skończy się drgawkami rozpacz.

Jarzyna, czytając Szekspirowską tragedię, nie może się przedrzeć przez narosłe na niej warstwy obrazów, interpretacji, skojarzeń. Woli więc skryć się za pastiszem. W efekcie nie wiadomo, kiedy kpi, a kiedy mówi serio. Groza sąsiaduje z groteską, patos z autokompromitacją bohaterów. Reżyser niemal w każdej scenie podkreśla prze-

sadę w grze aktorów, nie boi się też tandetnych skojarzeń i cytatów. Wszystkiego tu za dużo. Krwi, decybeli, projekcji. Jakby Jarzyna inscenizował „Makbeta” w konwencji filmów gore. Lepiej Szekspira z fragmentów trzeciorzędnego kina, doprawiając drwiną z wojskowej mentalności („Dr Strangelove” Kubricka), intensyfikując sceny agonii rodem z horrorów Wesa Cravena.

POP-TRIK, PAINTBALL I WIDEO

To dlatego nie ma w spektaklu ocen moralnych, pytań o naturę zła. Trzy dni śmiałem się z krytyków, którzy odebrali „Makbeta” jako dzieło antyamerykańskie, mające wstrząsnąć widzom. Jarzyna wcale nie godzi w nasze sojusze, nie martwi się o polską obecność w Iraku. „2007: Macbeth” nie jest przedstawieniem antywojennym. To jest wojna telewizyjno-komputerowa.

Reżyser nawet nie ukrywa, że jego grupa docelową są chłopcy, których rajcuje pirotechnika, walki komandosów na noże, teatralny paintball i triki wideo. Wydobywa sensacyjność fabuły. Tizyma tempo. Działa na zmysły i emocje. Jakis sens to ma (podobno na takim najprostszym poziomie odbierała Szekspira elżbietańska publiczność), tyle że niewielki i raczej jałowy. Toteż bez dopalacza ani rusz. Panie, panowie: jak teatr akcji, to idźmy na całość!

ŁUKASZ DREWNIAK

„2007: MACBETH” WEDŁUG SZEKSPIRA, REŻYSERIA I ADAPTACJA GRZEGORZ JARZYNA, SCENOGRAFIA I KOSTIUMY STEPHANIE NELSON, MUZYKA ABEL KORZENIOWSKI, TR WARSZAWA



SIOSTRY NA LODOWISKU

●●●●●
Oktet na cztery kobiety i cztery męskie wymoczki

Wchodzą na scenę we cztery. Żadne tam modelki ani damy. Królowe osiedla, uczelnianej stolówki, przystanku PKS. Dziewczyny z krakowskiej PWST: Karolina Porcari, Roma Gąsiorowska, Marta Malikowska, Iwona Głowińska. Wyzywająco naturalne, bezczelnie ściszone i spuchnięte od tajemnicy. Mówią jakby od niechcenia, jakby były lekko wczorajsze, podśpiewują pod nosem. Jakoś inaczej akcentują wyrazy, zwłaszcza ta cholera Gąsiorowska. Porcari gładko polyka bzdury tego świata wielkimi oczami, podejrzewam, że zamiast nich ma obiektywy dwóch zsynchronizowanych aparatów fotograficznych. I uśmiecha się tak jakoś opelzywie. Zdesperowana wojowniczką Malikowska zaciska pięści, gotowa do pojedynku z każdym mężczyzną, który jej nie pokocha. Głowińska zmienia się w mały, lekki przedmiot, popychadło do mebli kuchennych.

Tandem reżyserski – profesor Peszek i student Tworus – umieszcza te cztery zadziwiająco nowoczesne kobiety w przestrzeni gry, w której jest osiem krzeseł, szyba od restauracyjnej toalety i czterech wymoczkowatych chłopców, których nawet nie zapamiętałem. Bohaterki „Zimnego dziecka” porządkują świat z litości, wyrwywają się z kręgu kłamstw, iluzji i idiotycznych rytuałów życia rodzinnego. Są za młode na gorycz, za dojrzałe na nadzieję. Wrzucone w samodzielność robią tylko to, co nieoczekiwane. Jakby same chciały udławić się sobą.

Dobra obsada wyjaśnia wszystko. Wydobywa na wierzch coś, co było dotąd w dramacie Mayenberga ukryte. Nie wiedziałem, że „Zimne dziecko” jest o kobietach porzuconych na wielkim lodowisku świata.

ŁUKASZ DREWNIAK

„ZIMNE DZIECKO” MARIUSA VON MAYENBERGA, REŻYSERIA JAN PESZEK I ARKADIUSZ TWORUS, SCENOGRAFIA MARCIN JARNUSZKIEWICZ, PWST IMIENIA LUDWIKA SOLSKIEGO W KRAKOWIE

MY Z TAŚMY

●●●●●
Jak kaleka pokazał zdrowym, że są chorzy

Trzykrotnie Zbigniew Brzoza podchodził do tego tekstu: w łódzkiej szkole filmowej, w Teatrze Telewizji i u siebie, w warszawskim Studiu. Dwa lata żył pytaniami wylaniającymi się z historii nieszczęsnego downa zatrudnionego w kamieniołomach na głębokiej prowincji. Wolno sądzić, że dopiero z ostatniej wersji może być w pełni zadowolony. Telewizyjna wpadła w pułapkę pozornej atrakcyjności pleneru – zachorowała na dosłowność i zmieniła się w wiejski obrazek. Tymczasem spektakl teatralny toczy się w przestrzeni obitej szarą wykładziną – jakby



świat zachował kształt domu, knajpy, plotu, ale barwy zostały z niego wysane. Mdle światło latarni rozrzedza wodna zawiesina tkwiąca tu na stałe. Pojazdy – trabant nadzorca i autobus gruchot wożący robotników – wylaniają się z nicości jak potwory. Taśma przemysłowa, przy której pracują bohaterowie, to w dwójnasób nieludzki cień przesuwany się pod sufitem. W tym świecie nieprzejrzystym niczym szara jama postacie robotników, rencistów i wiejskich bab, znakomicie naszkicowane przez Sławomira Orzechowskiego, Andrzeja Mastalecra, Stanisława Brudnego czy Dorotę Pomykałę, zdają się, przy całym bogactwie obyczajowego rysunku, też zszarzałe, zautomatyzowane, wprzęgnięte w refrenowy kołowrót praca-knaja-lóżko-autobus. I musi przyjść kaleka precyzyjnie, w szczegółach wymyślony przez Wojciecha Zielińskiego, żeby zrodzone w jego spowolnionym umyśle pytania o elementarny sens obsługiwanego taśmy, w którą przemieniono życie, uderzyły w samą istotę szarej beznadziei – nie czyniąc jej, rzecz jasna, żadnej krzywdy. My, zdrowi, znów jutro nałożymy kaski...

JACEK SIERADZKI

„GÉZA-DZIECIAK” JÁNOSA HÁYA, PRZEKLAD JOLANTA JARMOŁOWICZ, REŻYSERIA ZBIGNIEW BRZOZA, SCENOGRAFIA MARCIN JARNUSZKIEWICZ, MUZYKA JACEK GRUDZIŃ, TEATR STUDIO W WARSZAWIE

moby.
15.06.2005
torwar

warszawa
ul. łazienkowska 6 a

wejście. 18:00
koncert. 21:00



organizator: ALTER ART

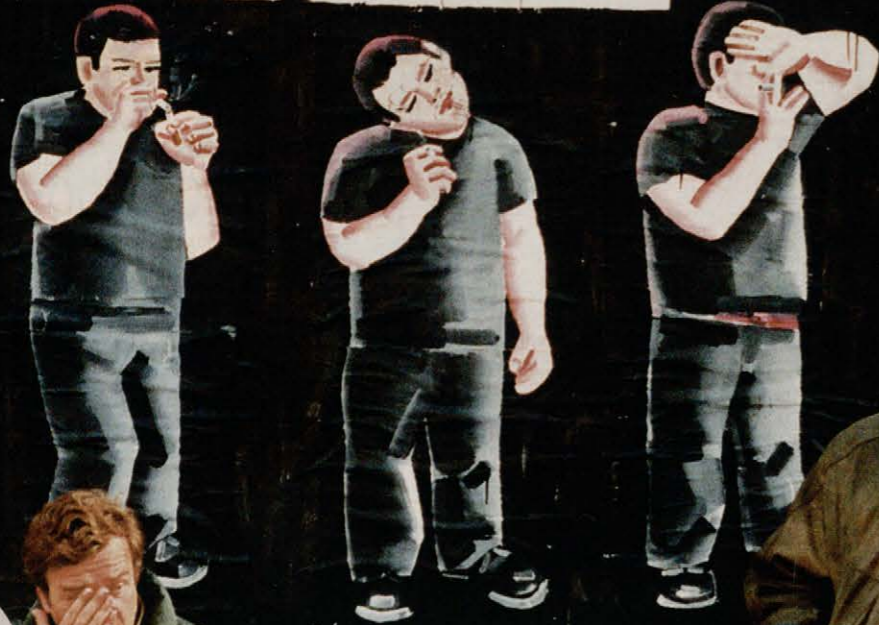
patroni medialni:



bilety do nabycia:

www.alterart.pl
(22) 444 74 74
www.ticketpro.pl

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno



**OSTAWOWE POZYCJE
ŁADZIE MARCIN**

RADIO NIEMOŻLIWE

Radiostacja zmieniła formułę, Bis wyrzucił Sito, a Jazz upada – czy alternatywne radio dla młodych jest możliwe?

Kiedy Paweł Sito – znany jako współtwórca Radiostacji – w marcu tego roku został szefem publicznego Polskiego Radia Bis, mniej lub bardziej oczekiwano powstania Radiostacji Bis. Bo właśnie stara Radiostacja nadal jest punktem odniesienia i ocen dla wszelkich stacji, które chcą o sobie mówić „młodzieżowe”, a Sito – najgorliwszym obrońcą doktryny „radia młodzieżowego”. Jednak po dwóch miesiącach pracy w Bisie Sito został z pracy wyrzucony.

„Trybuna” ogłosiła teorię spiskową, według której powodem zwolnienia Sity było nadanie po śmierci Jana Pawła II na antenie Bisu debaty poświęconej roli zmarłego papieża. Oprócz młodych księży wypowiadały się feministki, ateści i Zieloni, którzy twierdzili, że nie dla wszystkich Jan Paweł II był największym autorytetem. Inna plotka głosiła, że Sito poleciał ze względów dyscyplinarnych, choć najbardziej prawdopodobna była informacja o konflikcie Sity z załogą stacji, którą rzekomo miał gnębić, zapowiadając masowe zwolnienia. Ale jak się okazuje, pracę straciła tylko jedna osoba.

Przyszł z poczuciem misji i chciał momentalnie dretnąć stację zamienić w rozgłośnię, która porwie słuchaczy – wyjaśnia jeden z dziennikarzy stacji. – A tu rzeczywi-

stość zaskrzeczała. Stara ekipa – czy raczej jej „czapa” – bała się o swoje wpływy.

Kiedy Sito zadarł z „czapą”, do zarządu wpłynęło siedem listów ze skargami na szefa. Został zwieszony, a potem zwolniony. Argument wzrostu słuchalności się nie liczył. – Nie zdawałem sobie sprawy z niechęci części zespołu – tłumaczy Sito. – Chciałem stworzyć radio prawdziwie młodzieżowe, czyli nie tylko przeznaczone dla młodych ludzi, ale i przez nich tworzone. To wymagało zdecydowanych kroków. Chyba najbardziej zabolalo niektórych pracowników, że pytałem ich, jak mogła im nie przeszkadzać praca przez lata w radiu, które miało słuchalność na granicy błędu statystycznego.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji poprosiła zarząd Polskiego Radia o wyjaśnienie decyzji. A Bożena Samowska, która po usunięciu Sity pełni obowiązki dyrektora programowego Bisu, odmówiła jakiegokolwiek komentarza w tej sprawie.

MIT RADIOSTACJI

Dziś tylko jedna stacja ogólnopolska (właśnie Bis) i jedna regionalna (Radiostacja) ma młodzież, czyli słuchacza w wieku 15–24 lat sprecyzowanego jako grupa docelowa. Radiostacja stworzona w 1998 roku na bazie działającej od 1957 roku Rozgłośnia Harcerskiej była radiem alternatywnym, prezentującym najnowszą muzykę nieobecną w innych stacjach. Szybko stała się tym, czym przed kilkunastu laty była dla młodzieży w Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii MTV – kreatorem tren-

Ogólnopolskie wyniki słuchalności w grupie 15–24-latków:	II-IV 2004	II-IV 2005
Eska	12,1 proc.	17,1 proc.
Radiostacja	2,1 proc.	2,3 proc.
Polskie Radio Bis	0,1 proc.	0,9 proc.

Zródło: Badanie Radia - Trac - KBR MillwardBrown SMG



DIDJEJE PROWADZĄCY „PEPSI FAZE”, JEDEN Z FLAGOWYCH PROGRAMÓW „STAREJ” RADIOSTACJI. OBOK: BILLBOARD REKLAMOWY RADIOSTACJI AUTORSTWA MARCINA MACIEJOWSKIEGO

zastąpił Sito, dziś dyrektor programowy MTV: – Radio młodzieżowe to utopia. Młodzież nie jest grupą jednorodną. A i radio spełnia dziś inną rolę. Nie jest już ani źródłem trendów, ani symbolem jak niegdyś. Celbiorca też się zmienił – jest bardziej wyrobiony, więc i trudniejszy. Jeśli słucha rocka, wybierze stację rockową, jeśli hip-hopu – radio, które gra wyłącznie hip-hop. Radio może być dziś albo uniwersalne – grać Top 20 – albo wąsko wyspecjalizowane.

Wielu młodych przyciąga alternatywność małych rozgłośni – jak w przypadku Jazz Radia. W Warszawie słucha go niemal tyle samo młodzieży, ile Bisu. I to młodzi najgorliwiej walczą dziś w jego obronie, kiedy po ograniczeniu finansowania przez właściciela zostało mu pieniędzy na dwa miesiące nadawania. – Na rynku przeżyją tylko ci, którzy zdobędą reklamodawców. Małe stacje nie mają szans. Dlatego wątpię, że nastąpi wyraźna specjalizacja na stacje młodzieżowe, studenckie i dla dorosłych – uważa Bartek Maciejczak z Domu Mediowego „Starcom”. Mit spontanicznego radia młodych dla młodych jest więc ciągle żywy, ale rzeczywistość niezmienna: młodzież wybiera grającą pop Eskę oraz rozgłośnie lokalne.

SYLWIA CZUBKOWSKA



SŁOWA WYCZESANE

obsysać

Orturze od odkurzacza można by pewnie napisać, że obsysa. Ale obsysa bardziej, gdy nie uprzątnie brudu do cna. Bo „obsysa” (a czasem „ssie”) to, co jest wadliwe, kiepskie. Po angielsku powiedzielibyśmy: „It sucks”. Mówią tak w amerykańskich filmach, nawet tych poniżej 12 lat i przed godziną 12 w południe. Tłumacz pisze wtedy: „do luzu”, „do chrzanu” albo – już w ostateczności – „do dupy”. Mógłby napisać „obsysa”, gdyby znał to słowo i miał dość odwagi, bo przecież skojarzenia związane z tym słowem bywają bardziej niebezpieczne (i pokrętnie) niż ta rura od odkurzacza.

Po co zatem w ogóle się tym zajmować? Otóż, po pierwsze, jest to całkiem sympatyczny desant językowy, bo przecież słowo angielskie przetłumaczyliśmy i odmieniamy. Po drugie, pięknie ilustruje trend na nadużywanie przedrostka „ob-” („obcinać” – przyglądać się, wlepiać wzrok; „obczajać” – sprawdzać, poznawać; „oblukać” – obejrzeć; wreszcie najnowsze „obciążać się” – zająć w ciężę).

Kolega z redakcji zwrócił mi uwagę na „obsysanie” w kontekście rozmów informatyków. I rzeczywiście, wśród użytkowników słowa tacy dominują. „Gigabyte śmierdzi i obsysa” – oceniają płyty główne. „Ja doradzam ATI. nVidia zaczy-

na obsysać coraz mocniej, a na Matroskie nie bardzo się daje pograć podobno” – doradzają wybór karty graficznej. Ale melomani też mówią „obsysa” – gdy ktoś skrzeczy, zamiast śpiewać. Jak w komentarzu na stronie warszawskiego klubu muzycznego Progresja: „Kolo na wokalu fałszował, wchodził nierówno i obsysał”. Kiedy Radio Bis miało nadawać koncert pamięci Johna Peela tuż po śmierci słynnego brytyjskiego didżeja, ktoś skomentował: „Ja nagram to z radia bezpośrednio, stream biski ssie po calości” (stream to przekaz internetowy). W dodatku im cięższa muzyka, tym cięższy kaliber skojarzeń. „Mogę ci w ogóle oddać tę płytę Creedu, bo obsysa po calości” – pisał w dyskusji jeden (arch2.triger.com.pl). Inny, w tej samej dyskusji, poszedł dalej i ostrzej: „Laaz Rockit obsysa po same kule”. Mamy więc przy okazji przykłady użycia słowa w związkach – frazeologicznych, oczywiście.

Jeden z amerykańskich serwisów zajmujących się kulturą Internetu ogłosił niedawno śmierć słowa „sucks”. Stwierdził, że jest seksistowskie i lepiej zastąpić je bardziej demokratycznym „probes” (co to znaczy, proszę się już samemu domyślić na podstawie słownikowych definicji). Sam myślę jednak, że nie ma sensu niczego zmieniać. „Obsysać”, tak samo jak „to suck”, w znaczeniu „do luzu”, oddaliło się od seksualnego kontekstu. Bo czy jak ktoś mówi: „coś mnie ssie w żołądku”, to też mu się kojarzy seksualnie – niczym żart ze słynnego przeboju Kayah i Bregovicia: „Ssij, kochanie, ssij”? Tu chodzi o obsysanie nie fizyczne, ale mentalne. Kiedy więc – dajmy na to – prawy i sprawiedliwy heteroseksualny mężczyzna próbuje odebrać komuś prawo do podkreślenia homoseksualnej inności, można by w złości (lecz bez obrazu) powiedzieć o nim, że obsysa.

bartek.chacinski@przekroj.pl

JAROCIN PRL FESTIWAL
 3-4 CZERWCA KONCERTY - WYSTAWY - FILMY - HAPPENINGI
 MFFITEATR PRZESŁUCHANIA KONKURSOWE / KINO PLENEROWE
 STADION KONCERT ACAPULCO - ARMIA - BAKSHISH - DEZERTER - DZEM - KOBRANOCKA - SYJON - TSA - VARIETE+ RZECZYWISTOŚĆ PRL LAT 80. PROPAGANDA - REGLAMENTACJA
 BILETY W SALONACH EMPIK - 15 ZŁ / W DNIU KONCERTU 20 ZŁ INFO: WWW.PRLFESTIWAL.JAROCIN.PL

OD LEWEJ: BOOMBOX
TYPU JAMNIK
(W RĘKACH
THE ROLLING STONES),
OLDSCHOOLOWY
MAGNETOFON
NA HARLEMIE (1984 ROK)
I WSPÓŁCZESNA
TOREBKA
STYLIZOWANA
NA BOOMBOX

boombox

DRUGA MŁODOŚĆ BOOMBOKSÓW

Miały być sprzętem grającym, a stały się ideologią. Dziś wracają w nowej formie

Ich druga nazwa – ghettoblaster – tłumaczyła wszystko. To sprzęt dla takich ludzi jak ci z amerykańskich gett. Dla tych, którzy chcą wolności słowa i emocji, eksplozji muzyki na ulicach i wyzwolenia energii tańca. „Blaster” wzięło się od angielskiego słowa „ryk, dźwięk wybuchu, eksplozji”. Amerykanie mówili na to jeszcze boogie-box, a Anglicy – rasta-box (tam z boomboksami na ramieniu chodzili najczęściej miłośnicy reggae niż hip-hopu) lub Brixton briefcase, czyli „walizka z Brixton”. Wraz z powrotem mody na stary hip-hop boomboksy – choć w nowej technologii – wracają.

Manifest niezależności

Pierwsze radiomagnetofony z przytwierdzonymi na stałe głośnikami powstały już w latach 70. Pionierski był Superscope Marantz, potem pałeczkę przejął Panasonic. Ale szczyt popularności boomboksów to lata 80. W Polsce sukcesy święcili wtedy ich naśladowcy – kasprzaki na licencji Grundiga i condory z Uniry. Ghettoblasterzy zagrały role w niejednym filmie: „Star Treku IV”, „Bad Boys” (1983) z Seanem Pennem czy „Więcej czadu” z Christianem Slaterem. Jeden nawet załapał się na małą rolę w filmie o Jamesie Bondzie („Zabójczy widok”, 1985). W Internecie można wspominać ich historię (www.pocketcalculatorshow.com/boombox). Jednak boom na boomboksy przeminął. Zaczęliśmy chować muzykę głębiej do kieszeni. Walkmany, odtwarzacze CD czy mp3 zmieniły sposób słuchania muzyki. Choć nie wszyscy się poddali. – Boomboksy są dla mnie pewnym manifestem. Manifestem zarówno szacunku dla korzeni mojej kultury, jak i pewnego rodzaju propa-

gowania muzyki. Bo przecież boombox daje możliwość podzielenia się nią z innymi ludźmi – mówi Kamil „Jakuza” Jaczyński, redaktor portalu Hip-hop.pl.

Muzyka wraca na ulicę

– Z rynku eliminowane jest to, co niewygodne, ciężkie i nieporęczne. Boomboksy w gruncie rzeczy takie właśnie są. Mój unitra condor wraz z bateriami w liczbie 10 sztuk waży aż 8,5 kilograma. Ale może to właśnie dodaje im wyjątkowości – dodaje Jakuz. Jednak gdy już minęły reformatorskie lata 90., moda na boomboksy nieśmiało zaczęła powracać. W swoich teledyskach wykorzystali je Dirty Vegas i Björk. Ekspozują stylowe spoty reklamowe, choćby ostatnia kampania Pumpy. Powstają takie grupy jak amerykański Rajar, które improwizują i mieszają dźwięki, wykorzystując najnowsze technologie i stare boomboksy. Mp3 jest tu kluczem – bo przecież teraz można starą maszynę typu boombox podrasować, wrzucając do środka twarde dyski z tysiącami nagrań. Właściciel iPoda może zbuntować się przeciw izolacji muzyki, wynieść ją na ulicę i być retro w dobrym stylu. Wystarczy załadować odtwarzacz do kieszonki iBooma, położyć na ramieniu i w drogę. Są też jeszcze bardziej stylowe reaktywacje ghettoblasterów. Brytyjczyk Greg Dalrymple odnowił swoje go hitachi TRK-8200HR, wycinając kieszeń kasetową i umieszczając w jej miejscu... minikomputer PC z USB i nawigacją dotykową, którego grafika imituje tę właśnie kieszeń. Dwaj studenci z Nowego Jorku, umieszczając komputer w ghettoblasterze, skonstruowali Bass-Station (www.bass-station.net). Za pomocą punktów dostępowych wi-fi użytkownicy sieci mogą budować playlistę, która później jest odtwarzana w takim przebudowanym starym radiomagnetofonie. Chcecie wyprzedzić innych? Na lato reaktywujcie swoje kasprzaki – w wersji mp3.

KAROLINA DELING-JÓZWIK

rzeczy niedorzeczne



WYSTRZAŁOWY ODTWARZACZ

Na ramię broń, a w magazynku... muzyka?

Nic prostszego. Jeśli już masz AK-47, czyli starego, dobrego kalasznikowa, to dokończ sobie tylko magazynek AK-mp3. Na dysku ukrytym w oryginalnym magazynku zmieści się 20 GB, czyli około dziesięciu tysięcy piosenek w formacie mp3. Starczy na partyzancką noc w lesie, tym bardziej że odtwarzacz będzie działał przez osiem godzin na samych tylko akumulatorach. Dodatkowe atuty: stal nierdzewna i system antywstrząsowy. Dodatki: pokrowiec moro, czyli z zachowaniem stylizacji wojskowej, oraz para słuchawek. I niech wam ktoś spróbuje ukraść odtwarzacz! Twórcy AK-mp3 AudioBooksForFree.Com (ABFF) twierdzą beczelnie, że urządzenie to ich skromny wkład w pokój na świecie. (KD.J)

CZŁOWIEK Z BOOMBOKSEM
WEDŁUG MARCINA MACIEJOWSKIEGO

raczej RACZKOWSKI



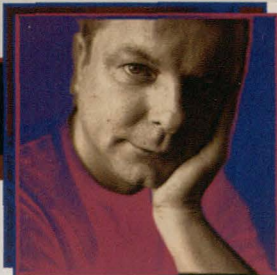
WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

IBOOM, NAJNOWSZY KRZYK MODY W ŚWIECIE BOOMBOKSÓW



Fot. WWW.THEREGISTER.CO.UK

KULINARNE
PIÓRO
POLSKI



TADEUSZ PIÓRO

Są

W tym roku zacząłem od białych. Coś mnie tknęło, żeby usmażyć je w maśle. Wiem, że ludzie robią to od stuleci, lecz nigdy samemu nie próbowałem, chyba bałem się tego smażenia w maśle. Zrozumiałem jednak, że szparagi boją się kontaktu z wodą, wyciszyłem zatem własny lęk, starannie je obrałem, sklarowałem pół kostki masła i na małym ogniu podsmażałem sztuki dorodne, choć szczupłe, przez niecałe 10 minut. Było cudownie, tylko trybuli brakowało. Trudno w maju o trybulę, właściwie przez cały rok o nią trudno. Tak być nie powinno; posypałem liśćmi kolendry, lecz to nie to samo. Więc powtórzyłem procedurę, dodając szczyptę zmielonej kozieradki do masła, a po usmażeniu posypując szparagi natką kolendry. Powstało połączenie bardzo ciekawe, skłaniające do namysłu nad tym, jak często traktujemy szparagi sztafpowem, bezrefleksyjnie, byle ich więcej zjeść, obojętnie z czym. A szparag jako roślina kapryśna istotą swoją właśnie do kaprysów mógłby skłaniać i do coraz większego wyrafinowania (proszę wybaczyć hiphopową kadencję).

Zielone upiekłem w temperaturze 200 stopni, z tym że najpierw wytyłtałem je w oliwie, drobno posiekanych czosnku i dużej ilości rozterwanych na strzępy listków bazylii, doprawiłem zmielonymi kryształkami morskiej soli i czarnym pieprzem. Po kwadransie były gotowe. Na drugie danie podałem zielone zapiekane z pomidorami koktajlowymi, rozmarynem i czarnymi oliwkami. Na deser były zielone zapiekane z serem, a właściwie z czterema serami: jedną czwartą powierzchni ułożonych w formie szparagów pokryłem serem taleggio, na następną ćwiartkę poszedł caciocavallo, dalej gorgonzola i w końcu mozzarella. Niby

dobrze, ale to nie to. Kiedy jem ser, nie chcę, żeby rozpraszał mnie zielony szparag, i vice versa.

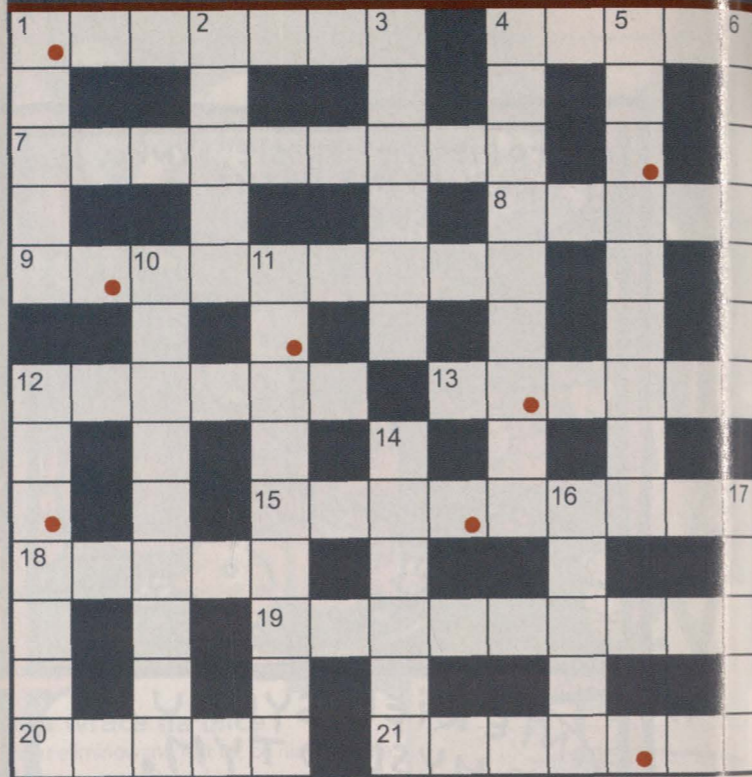
Obyło się bez zgrzytów, kiedy – już w ramach innego menu – podałem na przystawkę zielone szparagi ugotowane na parze, rozłożone na półmisku i upakowane galaretką z octu balsamicznego, która pod wpływem gorąca powoli topniała. Osobno podana została dziewicza oliwa i morska sól. Nazwałbym to połączenie eleganckim, stosownym na specjalne okazje (również ze względu na cenę galaretki).

Następnie – risotto, również z zielonymi. Odciąłem czubki, obrane łodygi zblanszowałem (w drodze wyjątku – szparag, którego mamy jeść w całości, powinien zostać ugotowany na parze, upieczony lub usmażony, ponieważ woda zabiera mu dużą część smaku przeznaczanego bądź co bądź dla nas, a nie dla jakiejś wody). Z łodyg i szklanki wywaru mięsnego zrobiłem purée w robocie kuchennym, po czym tradycyjną metodą przyrządziłem risotto, dolewając do obsmażonego w oliwie z masłem ryżu wrzący wywar stopniowo, w miarę wchłaniania płynu przez ziarna.

Kiedy ryż był prawie ugotowany, dodałem purée, czubki, pół kieliszka wytrawnego wermutu, dwie łyżki masła i cztery łyżki parmezanu, starannie wymieszałem i – gotowe. Szparagi były cienkie, więc czubki ugotowały się błyskawicznie, czubki grubszych szparagów należałoby przed dodaniem do ryżu ugotować na parze. Przyszło mi do głowy, że na deser mógłbym podać lody szparagowe. Spojrzałem w lustro, popukałem się w czoło i podałem galaretkę z porto. Ale od tamtej pory śnią mi się lody szparagowe. I nie wiem, co począć.

www.przekroj.pl/pioro

KRZYŻÓWKA nr 23



POZIOMO:

- 1. ELIMINACJA GORSZYCH
- 4. CEBULEK
- 7. STOLICA PREZENTÓW
- 8. PAN POD PANEM
- 9. WYSZŁA MACHULSKIEM
- 12. PRZYSZLI RODZICE
- 13. POLNA AMERYKANKA
- 15. PRODUCENT KOSTEK
- 18. WODA NA MŁYN

- 19. ZIMNA LUB GORĄCA
- 20. RUCH NA OKRĘCIE
- 21. MÓWI, ŻE WAS TO CO

PIONOWO:

- 1. KOMISJA BEZE MNIE
- 2. MIĘSKO-FIASKO
- 3. SĄ JUŻ RAZEM
- 4. ZAWIĄZYWANIE KRZYŻÓWEK

- 5. ZIELONY Z TALEIZA
- 6. DO ODPRAWIANIA MSZ
- 10. NIEWIELKIE URZĄDZENIE ELEKTRYCZNE
- 11. LAS MAMAS
- 12. POPOTOMEK
- 14. ZDRADZA POLAŃ
- 16. WYRAZ ZAUFANIA
- 17. KOBYŁKA POD WARSZAWĄ

LITERY Z OZNACZONYCH PÓL CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE

Rozwiązanie krzyżówki nr 19: RAKIETKA

- Poziomo:** 1.romans 4.kopyto 7.kontener 8.etyk 9.prokurator 11.szylid 13.obraz 17.bestseller 19.żubr 20.horoskop 21.bilard 22.trójka
- Pionowo:** 1.rekopis 2.manko 3.sknera 4.kopyto 5.przeręb 6.turysta 10.kolubryna 12.Zanusz 14.zdrapka 15.Wschód 16.Wstręt 18.lokaj

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 17 nagrody wylosowali: Andrzej Adamkiewicz, Tarnobrzeg; Irena Bobak, Szczecin; Iwona Bocek, Białystok; Jakub Grzeszkowiak, Kalisz; Tomasz Napierala, Ostrołęka; Janusz Puszka, Tarnobrzeg; Maria Trojanowska, Szczecin; Janusz Wojna, Dębica; Maria Ziamba, Tarnobrzeg; Helena Żorska, Poznań. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 23 lub Jolka 23

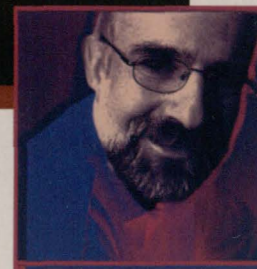
GRUPA TWOŻYWO



WWW.TWOZYO.ART.PL

WINNY

BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Dom, w którym mieszkasz

o wyglądało jak lądowanie Marsjan na glebie Mazowsza, choć doprawdy nie spodziewaliśmy się, że przybędą w garniturach Armaniego, w dodatku nie w zielonych. Tak, stało się, UFO wylądowało, tym razem naprawdę – w warszawskim Sheratonie 28 kwietnia roku Pańskiego 2005. Bliźnie spotkanie zaczęło się o 10 i trwało cały, dla nas boży, dzień.

W najlepszych koszulach polecieliśmy ze szwagrem zobaczyć, co i jak. To znaczy, które wina i roczniki. Nie było wątpliwości, przywieźli, co tam mają u siebie najlepszego. Mouton-Rothschild 1986, butelkę legendę, Vega Sicilia 1989, Scharzhofberger Auslese 1989, La Chapelle 1988, Sassicaia 1980 i wiele innych. Bezbłędnie przysiedliśmy na spotkanie z człowiekiem, wiedzieli, jak go podejść. Jakże nie szło w nich uwierzyć? Uwierzyliśmy od razu, w Marsjan, w Jowiszana, wokolwiek błyska na wysokim firmamencie i pije tam lepiej od nas. Dlatego ten felieton powinienem pisać do „Fantastyki”, tam głębiej by go pojęli.

Fantastyka, bo jak inaczej mówić o tym zdarzeniu? Kiedy w domu, w którym mieszkasz (a to Polska właśnie), pojawia się ni stąd, ni zowąd tuż po najwybitniejszych producentów wina ze swymi wybitnymi winami ze starych, wybitnych roczników? Tuzin nocolistów w dziedzinie wina? No tak, dzień wcześniej byli w Moskwie, ale nikt nie jest doskonały. Degustację, jak ta warszawska, organizują raz, dwa razy do roku. Nazywają się Primum Familiae Vini, co znaczy Najznamienitsze Rody Winiarskie. Istnieją od 10 lat, są niezmiernie elitarni. Od 1998 roku jedno miejsce w stowarzyszeniu było wolne, dopiero po pięciu latach przyznali je nowemu członkowi, rodowi markiza Incisa delle Rocchetta. Skupili się, by dbać o interesy, lecz także szerzyć wiarę w kulturę wina. Dla winomana ich nazwiska mówią więcej niż wiele, one krzyczą, wrzeszczą mu prosto w serce. Takie rodzinki jak Rotszyldowie, Symingtonowie, Müllerowie tworzą od stuleci



Dobre węgierskie chardonnay klasztriling St. Andrea z Egeru. około 35 zł/butyli

dzieje winiarstwa, pędzą jego najlepsze śmietanki, których swobodne spijanie w walecznym mieście Warszawie wydaje się graniczyć z bajką. Wiadomo, wiele się rzeczy ze szwagrem robiło, ale takich win w ciągu paru godzin, jednego po drugim, się nie piło.

Po południu przyszli dziennikarze dodatków stołecznych, prasy people. Ich także interesowały nazwiska osób na sali. Tyle że nie tych, które częstują, ale tych, które piją. Pytali nas, czy są tu jakieś znane postacie, rozpoznawalne buzie. No, jest księżniczka Incisa, odpowiadaliśmy, sam Egon Müller, ten łysy i godny, młody baron

Rotszyld w tych fioleciach, Symington w osobie własnej, tam, w kącie. Nie wykazali zainteresowania, bo baron Rotszyld nie gra, zdaje się, w „M jak miłość”, a księżniczka Incisa nie prowadzi ostatnio talk-show w Polsce. Na szczęście wypatrzyli jakiegoś aktora i prezydentkę, ich nazwiska jako jedyne pojawiły się nazajutrz w notkach prasowych. Szwagier szukał nawiązań swojego, ale fakt, że zaśpiewał piosenkę w radiu i udzielił wywiadu piśmku osiedlowemu, jakoś nie wystarczały.

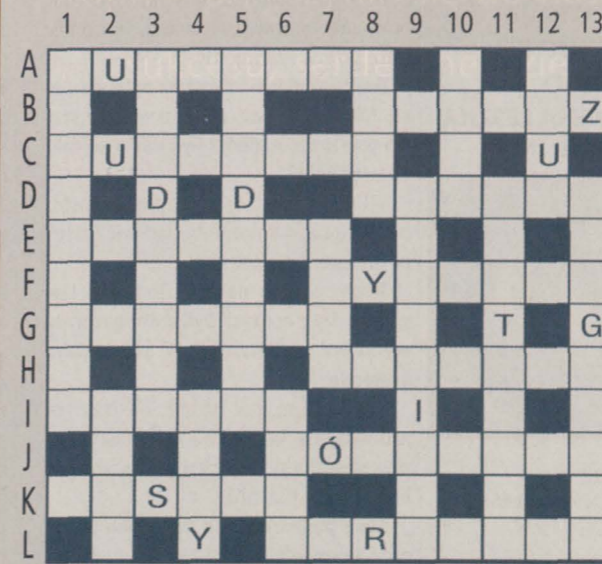
Jednak co się dziwić gazetom, przecież życie toczy się tutaj, a nie w kosmosie. Pod wieczór pomachałszy przybyszom na pożegnanie, pomknęli szybko w stronę gwiazd, a my wróciliśmy na osiedle. W TV leciał kolejny odcinek serialu, niech oni tam sobie piją w swych podniebnych zamkach, czy nam jest tak źle w naszym domu, na Ziemi, gdzie miłość wszystko wybacza?

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 23

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

G5_F10_D1_L12_D8_H5_H13_C6_F3_J12_/E9_E13_H8_E2_B3_A8_K2_K5_/L2_B9_K1_L10_I11_J13_G1_G9_F1_D12_.



Rozwiązanie jolki nr 19: NIE KOŁYŚ SIĘ NA KRZEŚLE

Rzędami: triduum, intruz, oślica, zbożówka, **Kolumnami:** dogład, wywiad, rylec, lichtarz, zarobek, dwuślad, nędzarka, huśtanie, uraza, Antyle, brzdęk, mimoza, ćwiartka, taniec, żagiel, Eskulap. datek, stróżowa, ruina, ruskie, kłamca.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 17 nagrody wylosowali: Lesława Adrjanowicz, Rudnik; Jadwiga Andrzejewska, Borowiec; Zbyszko Chmielowiec, Żelistrzewo; Tadeusz Dułowski, Chrzanów; Maria Góral, Toruń; Kazimierz Oleś, Drawno; Renata Piasecka, Nowogrodzic; Anna Siemianowicz, Kalisz; Irena Sienkiewicz, Łapy; Stanisława Szymusiowa, Sieniawa. **Gratulujemy!**

WYRAZY 9-LITEROWE:

- len w opalach
- stary dla stu Rzymian
- obciach w ramie
- spec od IQ-fiku-miku
- ogon Karoliny
- ciucha nie złacha

WYRAZY 8-LITEROWE:

- numer murów
- kaem myszką trącają
- odskocznia od tańca
- kotwica rutwicy

WYRAZY 7-LITEROWE:

- skalka palka
- w harmonogramie dzikiego osła
- leży na dużym
- kropla w miarce

WYRAZY 6-LITEROWE:

- płachta na Wenus
- trzy plazy i oby bez skazy
- panierowany podtwarzek Polski sobotniej
- kultu łaknie

WYRAZY 4-LITEROWE:

- najmniej Demokryta
- koleś A/Tomka
- but bez wycucia
- zarada na rady
- godowe peregrynacje
- własnym wierzyć łatwiej
- takielunek kuropatwy

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS-a o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI lub PRKJ.HASLO JOLKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS).

Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 12 czerwca nadesłały prawidłowe rozwiązanie jolki lub krzyżówki za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 20 książek Eliego Barbura „Strefa Ejlata” (wydawnictwo Sic!).

How do you do?

– Och nie, tak nie będziemy się witać.

Nie? Dlaczego?

– To jest formalne powitanie. Tak zwracają się do siebie zupełnie obcy sobie ludzie. Bardzo oficjalnie. Ja z panią witałbym się zupełnie inaczej.

Czyli?

– How are you?

I'm fine. And you?

– Fine.

To widać, zwłaszcza po pana bardzo żywiołowym przemówieniu na konwencji SLD. Specjalnie pan na nią przyjechał?

– Specjalnie. Uważałem, że będzie przełomowa, i nie pomyliłem się. Chciałem też pokazać, że plotki rozsiewane wokół mojej osoby są kompletnie wyssane z palca. Nie zamierzam uciekać, zostawać w Ameryce na stałe.

Ale gdy pan wyjeżdżał, atmosfera wokół pana była gęsta. Teraz wraca pan jak Feniks odrodzony z popiołów, a koledzy znów pana oklaskują.

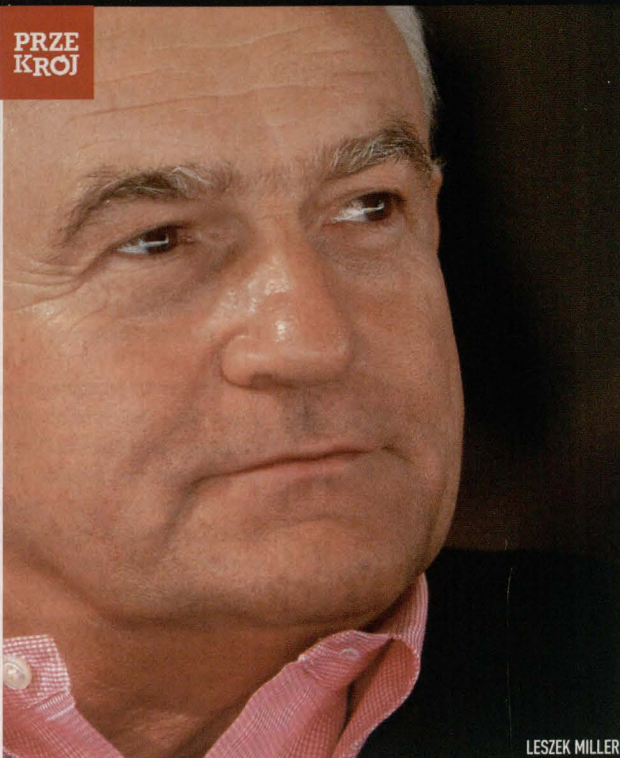
– Tak to już jest w polityce. Czas zmienia różne oceny. Tak też będzie z SLD. Do Sojuszu przylgnęła opinia ugrupowania nieuczciwego, a to nieprawda. SLD musi uwierzyć w siebie.

Przyjechał pan z Ameryki specjalnie po to, żeby wiać w swoich kolegów trochę amerykańskiego optymizmu?

– Niektórzy się śmieją z Amerykanów, że pytani, co u nich słychać, zawsze odpowiadają: super. I ja się nauczyłem, że tak właśnie powinno być. Ten amerykański optymizm bardzo by nam się przydał. Przecież jest super. 15 lat minęło, a my jesteśmy częścią Europy. Mamy swoje problemy, ale możemy być dumni z naszych osiągnięć. A co ja słyszę po powrocie? Polska to kraj pełen nieszczęść, nic się nie udaje, wszystko źle. Od rana do nocy leje się tu czarna propaganda.

Dużo się pan w Stanach nauczył.

– Po tych kilku miesiącach tam spędzonych rzeczywiście dużo się nauczyłem. Uderzył mnie ogromny patriotyzm Amerykanów, podkreślany zresztą na każdym kroku. Ale to się nie wzięło z niczego. Amerykanów od dziecka uczy się szacunku do własnego kraju, elity kształtują postawy obywatelskie. Oczywiście Ameryka jest krajem wielu patologii, ale Amerykanie czują, że ten kraj jest ich i mogą być z niego dumni. I są z niego dumni. Jasne, tam też jest korupcja, ale gdy rozmawiam na ten temat, to nikt nie uważa, że dotyczy ona wyłącznie Ameryki. Chodzi raczej o to, aby znaleźć mecha-

PRZE
KROJ

LESZEK MILLER

WRACAM ZA MIESIĄC

CZEGO NAUCZYŁ SIĘ W STANACH ZJEDNOCZONYCH I CZY WRACA DO POLITYKI? – BYŁEGO PREMIERA LESZKA MILLERA PYTA



KATARZYNA KOŁENDA-ZALESKA „FAKTY”, TVN

nizmy, które ją będą powstrzymywać. Nie ma społeczeństwa, które składa się z samych aniołów. I nie będzie. Ale trzeba znaleźć właściwą miarę. A co ja tutaj czytam? Polska to Rywinland. I jak to wygląda w oczach obcokrajowców, potencjalnych inwestorów? Jak oni mają szanować nasz kraj, skoro my sami go nie szanujemy?

Ten Rywinland też ostrzy zęby na pana. Nie boi się pan, że po powrocie stanie pan przed sądem i być może pójdzie do więzienia?

– Proszę bardzo. Ja na swój sposób byłbym zadowolony, będąc więźniem politycznym u Rokity.

To chyba panu nie grozi. To Rokita i jego koledzy z opozycji byli autentycznymi więźniami politycznymi w poprzednim systemie.

– Nie wiem, jak będzie, ale byłbym zadowolony, bo to byłaby fantastyczna przepustka do kariery w kolejnym politycznym rozdaniu.

Ale z pana cynik. To też nauka płynąca z Ameryki?

– Nie. Raczej zetknięcie z fanatyzmem reprezentowanym przez Kaczyńskich i Rokitę. Mam wrażenie, że to jest właśnie polityczny cynizm. Taki fanatyzm na pokaz. Polska jest już daleko w Unii Europejskiej. Gdyby oni chcieli wprowadzać w życie te swoje rozmaite pomysły, to musieliby chyba wprowadzić Polskę z Unii. Za dużo

tu szkodliwej retoryki, za mało dyskusji o celach strategicznych.

Podobają się panu zmiany w SLD?

– Bardzo. W końcu dokonano się to, o czym mówiono od lat. Wymiana generacyjna.

Mówiono o tym, gdy pan zostawał przewodniczącym. Był pan młodszy od odchodzącego wtedy Józefa Oleksego o dwa tygodnie.

– Ha, ha. Tak było, przynajmniej, ale w końcu się zmieniło. I dobrze. Zresztą we wszystkich partiach się o tym mówi, a tylko SLD tego dokonał.

Czy Wojciechowi Olejniczakowi udało się wydobyć SLD z sondażowego dna?

– Może partia złapie drugi oddech i przestanie zajmować się sama sobą.

A pan wiąże swoją przyszłość z SLD?

– Jeśli mam być w jakiejś partii, to na pewno będzie to SLD.

Będzie pan kandydował?

– Nie wiem. Zdecyduję po powrocie. Rozmawiałem z kolegami, którzy zachęcają mnie do kandydowania. Nie wykluczam takiej możliwości, choć odkryłem, że życie pozaparlamentarne może być bardzo przyjemne.

Tak. Zwłaszcza w Ameryce.

– No, tak.

Ale przecież pan mówił, że potrzebna jest wymiana generacyjna w SLD. Jest tam miejsce dla pana w średnim wieku z siwymi włosami?

– Jeśli ma coś do powiedzenia, może służyć radą – to tak. Pamiętam, jak prosiłem kiedyś młodzieńca Sylwii Pusz, że jeśli kiedyś zostanie szefową SLD, to niech mnie wyprosi z Sojuszu, kiedy zacznę gadać bez sensu. Tak jak niektórzy nasi nestorzy dziś.

Sylwii Pusz w SLD już nie ma, bo nie wierzyla w jego odnowę. Pan wierzy?

– Wierzę, choć myślę, że ostatnie kilka miesięcy to był dla SLD czas stracony. Daliśmy sobie wmówić, że jesteśmy źli, sprzedajni i skorumpowani. Założono, że nie ma co z tym walczyć, i to był błąd. Liczono, że to Belka poprawi notowania Sojuszu, a Belka zrobił to, co zrobił. Czas płynął, a my pograżaliśmy się w niemocy. Chyba sami uwierzyliśmy w ten nasz fatalny wizerunek. Ale czas z tym skończyć! Czas ruszyć do walki, do wyborców. Przekonać ich, że owszem, popełniliśmy błędy, ale też zrobiliśmy wiele dobrego. Czy ktoś z ręką na sercu może powiedzieć, że te cztery lata zostały całkowicie zmarnowane?

Kiedy pan wraca do gry?

– Jeszcze przez miesiąc będę w Stanach. I wracam!

Jesteśmy wniebowzięci!

Bardzo, bardzo miło nam poinformować, że Zenith Media został wyróżniony przez Media & Marketing Polska tytułem Domu Mediowego Roku 2004. Wszystkim, którzy nawet w najmniejszym stopniu przyczynili się do naszego sukcesu, serdeczne dzięki!

NEWS

Premier w prążki
TOMASZ
WYSOCKI

Mark Belska chce definitywnie uciąć stery z...
mat swojej podwójnej roli na scenie politycznej. Dotąd nie było wiadomo, kiedy występuje jako premier, a kiedy wypowiada się jako członek Partii Demokratycznej. – Zasady są przejrzyste. O planach rządu będę mówił ubrany w fioletowo-żółty garnitur i sandały. Twedowa marynarka i koszula z sze-rokin kohenierzem oznaczają, że występuję jako przedstawiciel demokratów – wyjaśnia szef rządu.

Za to w szlafroku z wyszywanyimi chińskimi smokami prezes Rady Ministrów zawsze zostaje Mareczkiem.

PRZYGOODY PRĘTRUSIA.

POMIEDZ SZCZĘ-
RZE, PIOTRUSIU,
KOCZASZ PANA
BOGA?

NO WIEC...?

WIE...
WIE...

BRZDO GO
LUBIE.

BRZDO GO
LUBIE.

PYTAJKI

Józef Bułtawicz

Czy i do wrzuceń
dopłacać muszę?

Niekiedy zastanawiam się,
czy pła wle, co rżnie?

Oko wszystkiego jeszcze się ima,
ale czy moje serce wytrzyma?

Z głowy KRZYSZTOFA BILICZY

Dzieci nie są
infantylnie.
Chyba że udają
dorosłych.

Dariusz
Brzóska
Brzósław

Dzień Dziecka

Lubię
Dzieci
Nie Lubię
Dziecinady

Haiku Brzóska

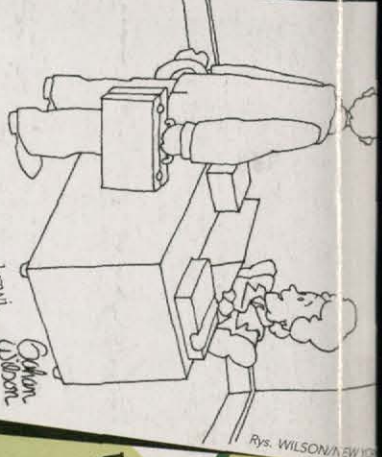
Rodzina Obłych Tarcza

Syn Obły przynosi do szkoły tarczę i cią-
gę się za nią kryje. Tarcza broni go
przed pytaniami nauczycieli, ponieważ żadne
pytanie się przez nią nie przebiję.

– Odłóż tarczę – radzi chłopakowi pan od mate-
matyki i zapewnia, że nie zada mu żadnego pyta-
nia na ocenę.

Ale syn Obły mu nie wierzy. Jeśli odłoży tarczę,
nauczyciel na pewno go zapyta i oceni. Tylko tarcza
go przed tym ochroni, ponieważ odbija pytania, a gdy
zachodzi potrzeba, odbija także odpowiedzi.

Patryk Pałaj



Rys. WILSON/NEW YORK

Przemysław Borkowski

Asi i Jarkowi

Na początku nic nie mówi.
Ledwo leży. Ledwo siedzi.
Drze się w nocy. Aż siewięją
w mieszkaniach swoich sąsiedzi.

Potem zaczyna lazić.
A wleźć potrafi wszędzie.
Kobiety przy nim głupeją.
I to im starsze, tym więcej.

Najbardziej lubi się brudzić.
Ma pociąg do białych psich kup.
A gdy już zaczyna mówić,
To ciągle powtarza: „Kup!”.

A potem rośnie i rośnie.
Wciąż na kolanach ma strupy.
I nagle się okazuje,
że wszyscy jesteśmy głupi.

Człowiek się męczył, poświęcał
I odejmował od ust,
Lecz nawet nie podziękuję.
Tylko odchodzi. I już.

Lecz poczekajmy. Spokojnie.
Niedługo się bowiem okaże,
Ze też mu się takie urodzi.
To mu dopiero pokaze!



Rys. PAULUS MAZUR

KRZYSZTOF BILICZY

O Dniu Dziecka
Dlaczego Dzieci Dziecka
jest fajniejszy niż Wigilia?
– Bo nikt nie pyta,
czy byłem grzeszary.

POCIECHA